KULISY WYPRAWY MAGELLANA
Portugalski odkrywca w służbie Hiszpanii miał swoje ukryte cele

HORROR W DOMU BORDENÓW
Ten proces wstrząsnął Ameryką, a werdykt do dziś wzbudza dyskusje

PRAWDZIWE PRZESŁANIE „LALKI”
Krzysztof Masłoń zagląda za kulisy wielkiej powieści Prusa, którą wykoślawił Netflix

NR 11(165)/2026 LISTOPAD 2026

CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY



RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Orlęta, Łyczaków, batiary

LWOWSKA EPOPEJA

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031
9 772299 951509 11>

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 6f4955209e

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktor: **Tomasz Stańczyk**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: **Agnieszka Szpak**

OKŁADKA: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

WYDAWCA:
Do Rzeczy SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00
Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI DO RZECZY SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: **reklama@dorzeczy.pl;**
tel.: +48 508 040 890

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Lwów, styczeń 1937 r.

Siatkarki Akademickiego Związku Sportowego Lwów



Od redaktora



Piotr Włoczyk

Lwowski smak polskości

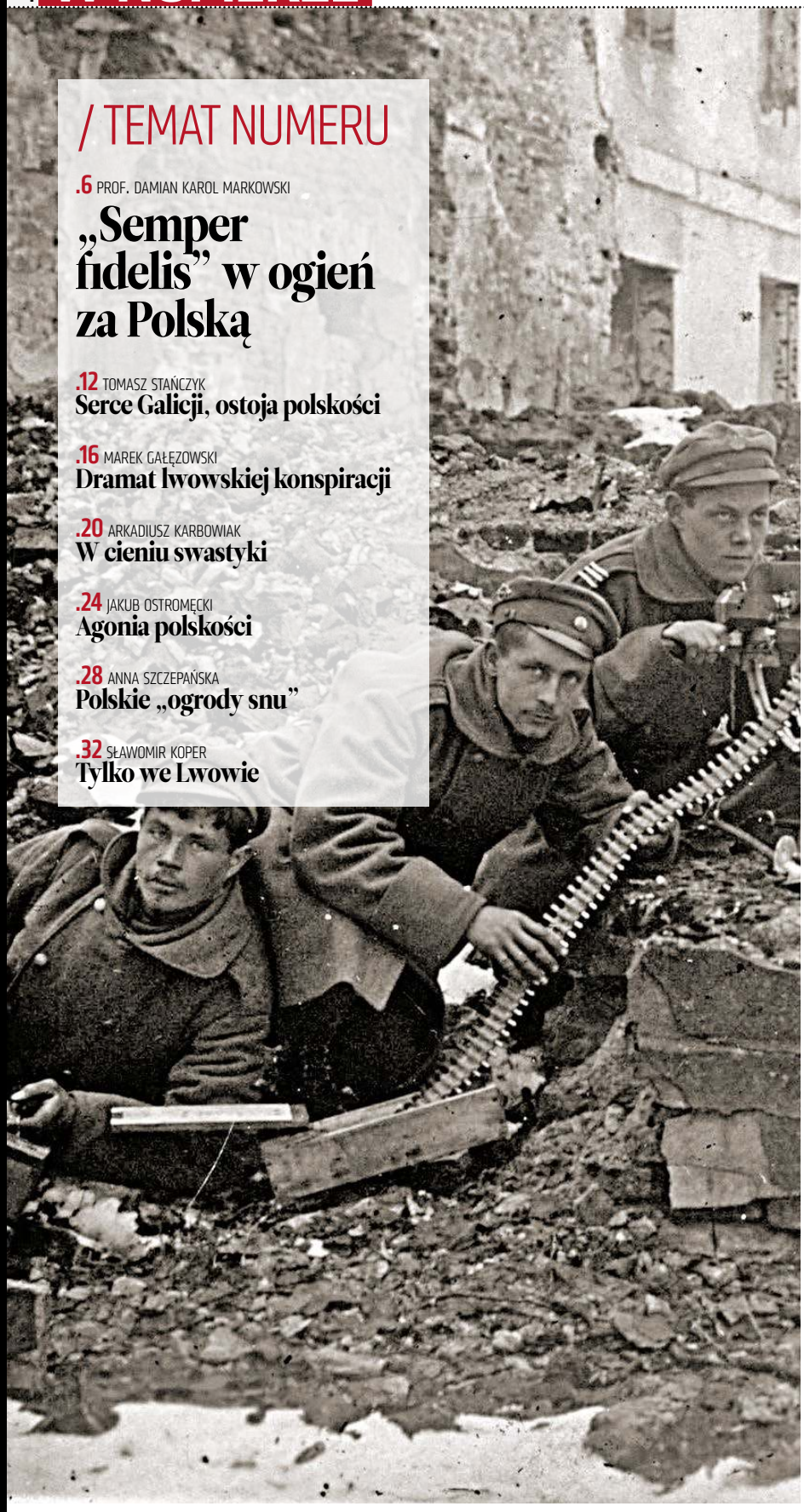
„Semper fidelis". Na dźwięk tych słów przed oczyma staje nam cała bohaterska epopeja, która sprawiła, że Lwów zajmował tak wyjątkowe miejsce w przedwojennej Polsce i jest w naszych sercach do dziś. Kolebka polskiego ruchu niepodległościowego – którego twarzą był Józef Piłsudski – korzystającego pełnymi garściami z autonomii Galicji, miasto, które odparło najpierw ataki Ukraińców, a potem bolszewików. Zwieńczeniem zaciętej walki o polskość Kresów Południowo-Wschodnich było odznaczenie Lwowa Orderem Virtuti Militari przez marszałka Piłsudskiego.

Wspominając Orlęta Lwowskie, listopadowy numer poświęcamy miastu, które zawsze było wierne. Ale przecież tej wielkiej epopei nie można sprowadzić jedynie do spraw wojskowych. Lwów był po prostu niesamowicie ciekawym miejscem, o czym opowiada w wywiadzie prof. Damian Karol Markowski, znawca tego tematu.

„Kocham Warszawę, ale mam wrażenie, że Lwów był miastem, które miało swoje niepowtarzalne »genius loci« – mówi prof. Markowski. – Żyli tam razem Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Rusini, Rosjanie, Niemcy, Ormianie... Polskość miała tam zupełnie inny »smak« niż w innych częściach II RP".

Lwów zachwycał swoim wyjątkowym kolorytem społecznym, barwnym życiem artystycznym, a także prężnie działającym światem akademickim. To wszystko skończyło się wraz z drugą wojną światową, odcięciem miasta „Semper fidelis" od reszty kraju i wyrzuceniem jego polskich mieszkańców. Sowieci zadbali o to, by wyrugować stamtąd polskość, co dobrze symbolizuje los zdewastowanego przez nich Cmentarza Orląt Lwowskich. Jednak do dziś pozostały we Lwowie okruchy polskości, wciąż żyją tam, nieliczni już, Polacy, a to sprawia, że ta wielka polska historia miasta nie została całkowicie utracona. ©℗

eprasa.pl 6f4955209e



/ TEMAT NUMERU

.6 PROF. DAMIAN KAROL MARKOWSKI
„Semper fidelis" w ogień za Polską

.12 TOMASZ STAŃCZYK
Serce Galicji, ostoja polskości

.16 MAREK GAŁĘZOWSKI
Dramat lwowskiej konspiracji

.20 ARKADIUSZ KARBOWIAK
W cieniu swastyki

.24 JAKUB OSTROMĘCKI
Agonia polskości

.28 ANNA SZCZEPAŃSKA
Polskie „ogrody snu"

.32 SŁAWOMIR KOPER
Tylko we Lwowie

/ CZASY I LUDZIE

.36 ROGER CROWLEY
Żądza Magellana

.40 PIOTR SEMKA
Tajna stolica Niemiec

.44 MIKOŁAJ IWANOW
TV Kreml przeciw Polsce



.48 LESZEK LUBICKI
Misja niemieckiej królowej Polski

.52 KRZYSZTOF DROZDOWSKI
Horror w domu Bordenów

.56 ANNA BRZEZIŃSKA
Groźne, potężne i pobożne

/ CO CZYTAĆ



.60 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Tajemnice prawdziwej „Lalki"

.64 TOMASZ STAŃCZYK
Zaginiona Warszawa Prusa

eprasa.pl 6f4955209e



.68 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Księżniczki i chochoły

.71 PIOTR SEMKA
Marszałek Koniew w Dolinie Smierci

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Angielska kontrarmada wstydu

.76 MICHAŁ MACKIEWICZ
Kurlandia, pole bitwy

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Krzyż i szkiełko

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Hrabina w matni powstania

/ KOMIKS



.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Odbić Grodno!

REKLAMA



eprasa.pl 6f4955209e



Obrońcy Lwowa na stanowisku przy pałacu Siemieńskich FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Wywiad / Z prof. Damianem Karolem Markowskim, autorem książki „Dwa powstania. Bitwa o Lwów 1918”

rozmawia Piotr Włoczyk

„Semper fidelis” w ogień za Polską

PIOTR WŁOCZYK: 1 listopada 1918 r. Polacy dali się we Lwowie zaskoczyć Ukraińcom jak dzieci?

PROF. DAMIAN KAROL MARKOWSKI: Zdecydowanie tak. W niemałej mierze był to efekt stereotypów na temat Ukraińców.

Polacy byli przeświadczeni, że Ukraińcy nie będą się w stanie zorganizować?

Tak, ale zaskoczenie nie było jedynym problemem. Polacy byli podzieleni. We Lwowie działały wtedy co najmniej trzy organizacje polskich konspiratorów, szykujących się na odebranie władzy Austro-Węgrom. Każda reprezentowała inny kierunek polityczny: Polska Organizacja Wojskowa z por. Ludwikiem de Laveaux, Polskie Kadry Wojskowe z kpt. Czesławem Mączyńskim i do tego jeszcze niewielka organizacja konspiracyjna pułkownika Władysława Sikorskiego. Tylko dzięki dobrej woli i przezorności porucznika de Laveaux, który zgodził się oddać komendę w ręce kpt. Mączyńskiego, udało się skupić polską obronę pod jednym dowództwem.

– To właśnie tam padły pierwsze strzały w obronie odradzającej się Polski. Lwów bardzo szybko stał się swego rodzaju wyrzutem sumienia dla tworzących się władz centralnych. Jednym z pierwszych zadań Józefa Piłsudskiego było więc zorganizowanie odsieczy dla Lwowa – mówi historyk

Byliśmy do tej bitwy zupełnie nieprzygotowani. Nasze elity we Lwowie uważały najwyraźniej, że przejęcie władzy w mieście przez polską administrację będzie miało taki charakter, jak wcześniej w Krakowie. Czyli niemal bezproblemowo.

Jakie siły wystawili wtedy we Lwowie Ukraińcy?

Tajny Ukraiński Komitet Wojskowy działał już od wielu tygodni i przygotowywał plan zajęcia miasta. Trzonem ukraińskiej akcji mającej opanować Lwów i stworzyć Państwo Zachodnio-Ukraińskie był Legion Ukraińskich Strzelców Siczowych. Można powiedzieć, że to był odpowiednik polskich Legionów. Służyło w nim wielu patriotycznie usposobionych Ukraińców, którzy mieli za sobą poważne doświadczenie bojowe, przeszli cały szlak armii austro-węgierskiej, walcząc z Rosjanami na wschodzie. My mieliśmy Kostiuchnówkę, a oni bardzo krwawą

eprasa.pl 6f4955209e

bitwę o górę Makówka (Makiwka) w Karpatach Wschodnich.

Mankamentem ukraińskiego planu było optymistyczne założenie, że legion bardzo szybko, w ciągu kilkunastu godzin, przemieści się koleją do Lwowa z Czerniowiec na Bukowinie, gdzie znajdował się pod koniec października.

Natomiast na samym początku walk o miasto miało stanąć do boju 2 tys. żołnierzy narodowości ukraińskiej z jednostek armii austro-węgierskiej. Szybko okazało się, że również to założenie jest nierealistyczne.

Dlaczego?

W tamtym czasie, gdy armia austro-węgierska rozpadała się, bardzo wielu przymusowo zmobilizowanych żołnierzy opuszczało jej szeregi i po prostu wracało do domów. Ukraińcy nie byli tu wyjątkiem. Oficerowie chcieli włączyć szeregowców w Listopadowy Czyn, jak nazwane zostały potem przez Ukraińców te wydarzenia, ale wielu żołnierzy narodowości ukraińskiej wyszło ze Lwowa w kierunku swoich domów, zabierając ze sobą nierzadko broń. Szeregi ukraińskich wojsk topniały więc z godziny na godzinę.

Od czego zaczęła się próba przejęcia kontroli nad Lwowem?

Nocą 1 listopada ukraińskie oddziały opanowały najbardziej strategiczne punkty miasta: dworzec główny, ratusz, dworce podmiejskie jak Persenkówka czy Podzamcze. Co istotne, przejęły także cytadelę i główne koszary, gdzie zdobyły duże ilości broni i amunicji.

Polacy nie dowierzali tamtego poranka własnym oczom?

To był dla nich szokujący widok. Lwowscy Polacy od rana widzieli na ulicach błękitno-żółte flagi, po ulicach miasta krążyły ukraińskie patrole na ciężarówkach z karabinami maszynowymi. Szybko zaczęły jednak padać do nich strzały. Początkowo strzelały luźne grupy Polaków, którym nie podobała się ta sytuacja, ale po kilku godzinach opór był już lepiej zorganizowany. Jego fundamentem był odział kpt. Zdzisława Tatara-Trześniowskiego, niedawnego oficera I Brygady Legionów, który utworzył się w zachodniej części miasta w budynku szkoły im. Henryka Sienkiewicza.



Ludwik de Laveaux

FOT. WIKIPEDIA

Coraz więcej polskich konspiratorów włączało się do walki, nie zważając na przynależność organizacyjną. W godzinach popołudniowych na ulicach Lwowa trwała już regularna strzelanina. Ukraińskie wojska czuły się coraz mniej pewnie. Zresztą było to naturalne, bo dla zdecydowanej większość żołnierzy ukraińskich Lwów był obcym miejscem, pochodzili przecież z prowincji, a wielu z nich po raz pierwszy było w tym mieście.

Co się wtedy działo z Legionem Ukraińskich Strzelców Siczowych?

Ta doborowa jednostka miała wielkie problemy z przedostaniem się do Lwowa koleją. Wielu polskich kolejarzy sabotowało przejazd legionu. Podróż do Lwowa trwała przez to nie kilkanaście, a ponad 48 godzin. Miało to kluczowe znaczenie dla rozwoju sytuacji w mieście, ponieważ dało Polakom czas, by utworzyć komendę obrony Lwowa z kpt. Mączyńskim na czele.

W miarę upływu kolejnych godziny powstawały poszczególne odcinki obrony miasta i nowe oddziały, więc ten początkowy chaos i zaskoczenie szybko przerodziły się w zorganizowany opór. Polakom było oczywiście łatwiej, bo Lwów był w przeważającej części miastem polskim. Ci, którzy włączali się do walki, znali każdy zaułek miasta, to były ich ulice, place i kamienice.

I to był problem dla ukraińskich żołnierzy, byli ostrzeliwani zza węgła, z okien piwnic i poddaszy. W ciągu kilku dni całe miasto zostało podzielone wewnętrzną linią frontu.

Jeżeli opóźnienie w dotarciu Strzelców Siczowych było kluczowe, to czy można powiedzieć, że Lwów uratowali wtedy polscy kolejarze?

Może to trochę za duże słowo, ale na pewno kolejarze pomogli stronie polskiej uratować sytuację w pierwszych dniach walki. W momencie gdy legion przybył do Lwowa, dworzec główny był już odbity przez Polaków. Dlatego Strzelcy Siczowi rzuceni zostali właściwie „z marszu" do – nieudanej – próby jego odbicia. Dowództwo ukraińskie popełniło wtedy poważny błąd, przydzieliło poszczególne pododdziały legionu do różnych odcinków frontu. Od tego momentu ta jednostka nie bierze udziału w walkach jako jeden, zwarty organizm bojowy. A to oczywiście osłabiło jej skuteczność.

Tymczasem stronę polską wzmacniają posiłki, spoza miasta i z samego



Szkoła im. Sienkiewicza, pierwsza polska reduta FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ŚLĄSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

eprasa.pl 6f4955209e

Lwowa. Pod koniec pierwszej dekady listopada posiłki zaczną również przybywać dla strony ukraińskiej, oddziały były sprawnie formowane na prowincji.

Na ile kluczowy był udział Orląt?

W pierwszych dniach – decydujący. Gdy trwały jeszcze gorszące spory w sprawie tego, kto powinien objąć komendę nad polskimi oddziałami, młodzież walczyła już na ulicach, „kupując" własną krwią czas Mączyńskiemu i jego ludziom na organizację sztabu, zaplecza, na wywalczenie terenu.

Część Orląt stanowiły dzieci elity Lwowa – urzędników, nauczycieli, intelektualistów. Jednak wśród Orląt sporo było też dzieci ulicy. Wbrew temu, co może się nam wydawać, Lwów wcale nie był zdominowany przez elity. To było pod tym kątem miasto jak każde inne. Dlatego wśród Orląt znaleźli się też młodzi ludzie, którzy chwytali za broń z innych pobudek. Mówiąc wprost, niektórzy chcieli w chaosie walk coś dla siebie wyrwać, wzbogacić się. Ale generalnie Orlęta były gotowe na wszystko, łącznie z poświęceniem własnego życia, co finalnie wiele z nich spotkało.

W pierwszych dniach ich udział był decydujący, ale potem opór miał charakter coraz bardziej zorganizowany, do walki dołączało wielu weteranów, żołnierzy Legionów Polskich czy też Polaków z armii austro-węgierskiej.

Ile było w tym wszystkim brutalności? Jeżeli słyszymy o walkach Polaków i Ukraińców, to mamy jednak przed oczami przede wszystkim horror z czasów drugiej wojny światowej...

Konflikt polsko-ukraiński nabrzmiewał długo przed listopadem 1918 r. i czasem przybierał bardzo ostre formy. Pamiętamy zabójstwo namiestnika Andrzeja Potockiego i walki między polskimi i ukraińskimi studentami. Po obu stronach widać było jednak wahania, do czego można się posunąć.

2 listopada do Naczelnej Komendy Obrony Lwowa przybywa delegacja polskiej elity miasta. Jej przedstawiciele wprost wzywali do jak najszybszego zaprzestania walk, mimo że Polacy mieli przewagę, argumentując: „Z Ukraińcami należy się ułożyć, nie należy walczyć, ponieważ nie jest to wróg, którego pokonać można. To jest wróg, który mieszka z nami".



Zdzisław Tatar-Trześniowski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Ten podział często przebiegał przez rodziny. Przypomnijmy choćby słynną rodzinę Szeptyckich: z jednej strony mieliśmy metropolitę Andrzeja Szeptyckiego, głowę Kościoła greckokatolickiego, najwybitniejszego ukraińskiego działacza narodowego. Ponadto jego rodzony brat Stanisław Szeptycki był generałem, szefem sztabu odrodzonego Wojska Polskiego.

W listopadzie 1918 r. początkowo nie dochodziło do szczególnie krwiożerczych aktów. Co ciekawe, po stronie opanowanej przez Ukraińców aż do końca działały kuchnie polowe, które dokarmiały całą ludność mieszkającą w tej części miasta, bez względu na narodowość czy religię.

Z perspektywy tego, co ukraińscy nacjonaliści robili pokolenie później na Wołyniu i w Galicji Wschodniej, brzmi to zdumiewająco.

Jednak im dłużej będzie trwać walka, tym chętniej obie strony będą popełniały zbrodnie na ludności cywilnej. Gdy w drugiej dekadzie listopada na odsiecz stronie ukraińskiej przybędzie oddział atamana Andrija Dołuda, popełni masowe zbrodnie na polskich mieszkańcach północnych dzielnic Lwowa.

Co oznaczało wtedy „masowe"?

To nie były zbrodnie porównywalne do wymordowanej Janowej Doliny wiosną 1943 r., tylko dwie czy trzy rodziny zamieszkujące daną kamienicę. Z drugiej strony – polskiej – nie zanotowaliśmy zbrodni takiej jak w Sahryniu, w marcu 1944 r., lecz kilkanaście–kilkadziesiąt cywilnych ofiar ukraińskich, które padły z rąk „strzelców zza węgła".

Przelaniem czary goryczy była masakra, którą wojska ukraińskie dokonały w drugiej dekadzie listopada w miejscowości Sokolniki pod Lwowem. Mieszkali tam głównie Polacy, otoczeni przez ukraińskie wioski. Gdy po raz pierwszy do Sokolnik dotarli wysłannicy komendy obrony Lwowa z prośbą o zorganizowanie tam placówki zbrojnej, to przedstawiciele miejscowych władz – na czele z sołtysem i księdzem rzymskokatolickim – stwierdzili, że nie przyjmą broni.

Czym to tłumaczyli?

Nie chcieli się skłócać z ukraińskimi sąsiadami... Niestety, skończyło się to tragicznie. Kilka dni później do tej miejscowości przybyła ukraińska ekspedycja karna, która wymordowała 16 osób, w tym sołtysa i księdza.

Później tragedia mieszkańców Sokolnik stała się przedmiotem korespondencji między arcybiskupami rzymskokatolickim Józefem Bilczewskim i greckokatolickim Andrzejem Szeptyckim. Obaj hierarchowie wzywali do zaniechania wzajemnej przemocy. Niestety, nie udało się temu położyć kresu i spirala przemocy nakręcała się, obie strony popełniały zbrodnie na jeńcach wojennych. Część polskich jeńców wojennych została uśmiercona głodem, ale także przy użyciu przemocy w obozie jenieckim w Kosaczowie pod Kołomyją. Liczba ofiar mogła przekroczyć w tym przypadku nawet 1,3 tys. To już jest masowa skala.

Wspomniał pan o przewadze Polaków we Lwowie. Jak dokładnie wyglądały wtedy proporcje?

To trudne pytanie, bo sytuacja zmieniała się bardzo dynamicznie. Inaczej było wieczorem 31 października, a inaczej 24 godziny później, gdy okazało się, że z szeregów ukraińskich odpłynęło kilkuset żołnierzy.

Przystępując do walki, Ukraińcy dysponowali 1,5 tys. żołnierzy. To były dość szczupłe siły jak na tak duże miasto, Lwów liczył niemal 200 tys. mieszkańców, z czego Polacy stanowili 55 proc. Największą mniejszością były w tej metropolii Żydzi – ponad 30 proc. I dopiero po nich kilkanaście procent stanowili Ukraińców.

Polacy dysponowali na tyle dużą przewagą liczebną, że na kilka dni odzyskali inicjatywę w walkach o miasto. Udało im

eprasa.pl 6f4955209e

się zająć wielkie austriackie magazyny z bronią pod Skniłowem, dzięki czemu weszli w posiadanie karabinów maszynowych, artylerii i dużych ilości amunicji. Polacy zdobyli też lotnisko na Lewandówce i uruchomili dwa samoloty, które bombardowały pozycje ukraińskie.

Jak w tym wszystkim odnajdywali się Żydzi?

Ta mniejszość była przestraszona perspektywą wybuchu walk pomiędzy Polakami i Ukraińcami. Żydzi bali się tego, do czego doszło w początkowej fazie rewolucji bolszewickiej i podczas rewolucji ukraińskiej w centralnej i wschodniej Ukrainie, tzn. masowych aktów przemocy wobec nich. Dlatego Żydzi postanowili zawiązać swój własny komitet, który dbałby o ich prawa. Powołali również własną milicję, która patrolowała wybrane kwartały północnej części miasta, gdzie Żydzi stanowili większość mieszkańców. Ta formacja zbrojna poruszała się po grząskim gruncie, patrole żydowskie przechodziły obok walczących Polaków i Ukraińców, a w tle działały jeszcze grupy maruderów. Nawiasem mówiąc, maruderzy zwalczani byli zarówno przez Polaków, jak i przez Ukraińców, a niekiedy nawet przez mieszane pododdziały polsko-ukraińskie, które umawiały się w celu zwalczania takich grup. Jak widać, walki o Lwów nie zawsze były czarno-białe.

Skala ofiar śmiertelnych podczas walk o Lwów też mówi coś o rzeczywistym poziomie napięć między Polakami a Ukraińcami. To była trzytygodniowa bitwa miejska, ale obie strony straciły w tym czasie po ok. 200 zabitych. To nie jest olbrzymia liczba. Pokazuje to, że znacznie częściej brano przeciwników do niewoli, niż zabijano. Niestety, później było tylko gorzej.

Ale prawdziwa nienawiść jeszcze nie nadeszła.

Zaczynała się jednak rodzić. Jeden z żołnierzy brygady lwowskiej po kilku miesiącach poznał w jednym z jeńców ukraińskich członka plutonu egzekucyjnego z Sokolnik. Ten jeniec został dosłownie rozszarpany na strzępy przez polskich żołnierzy.

Wracając do kwestii żydowskiej, polscy uczestnicy walk wprost oskarżali milicję żydowską o angażowanie się po stronie ukraińskiej. Faktycznie, Żydowski Komitet Bezpieczeństwa Publicznego



DAMIAN K. MARKOWSKI „DWA POWSTANIA. BITWA O LWÓW 1918”
WYDAWNICTWO LITERACKIE

zajmował stanowisko dość zbliżone do Ukraińców, gdy Zachodnioukraińska Republika Ludowa (ZURL) wydawała się krzepnąć. Mam jednak wrażenie, że to oskarżenie było formułowane na wyrost.

W listopadzie 1918 r. doszło we Lwowie do regularnego pogromu ludności żydowskiej.

Pogrom wybuchł pod koniec walk o Lwów. W ślad za wycofującymi się oddziałami ukraińskimi wchodziły oddziały polskie – być może padło kilka strzałów ze strony milicji żydowskiej, ale to mogła być samoobrona – i na ulicach miasta rozpętał się pogrom, którego ofiarami padło co najmniej 79 żydowskich cywilów.

Kapitan Mączyński wywodził się z endecji i przejawiał silną antypatię wobec Żydów. Nie podjął działań, kiedy zaczęły do niego spływać pierwsze meldunki odnośnie do brutalnych ataków w północnych częściach miastach: podpaleń, gwałtów na kobietach, zabijania bezbronnych ludzi.

Pogrom próbowali opanować poszczególni polscy oficerowie, zdając sobie sprawę z tego, że dochodzi tam do zbrodni wojennych. Rzeczywistość była wówczas zdecydowanie bardziej skomplikowana niż opis, który przedstawił na łamach swojej książki o pogromie Grzegorz Gauden. Trzeba też powiedzieć, że poza motywacją antysemicką u podstaw pogromu widać również przeświadczenie, że milicja żydowska angażowała się po stronie ukraińskiej, ale swoją rolę odegrał też motyw czysto rabunkowy.

Bez względu na wszystko, była to jednak zbrodnia wojenna, zło w czystej postaci. Niestety, zdecydowana większość sprawców nie poniosła za to żadnej odpowiedzialności, ponieważ instytucje odrodzonego państwa polskiego nie chciały ich ukarać. Wynikało to m.in. z faktu, że część sprawców poszła walczyć dalej, co miało rzekomo zdejmować z nich winę.

Jak się tu rozkładała odpowiedzialność?

Pogrom był wywołany w sposób spontaniczny, komenda obrony nie zorganizowała tych brutalnych ataków. Kluczowe znaczenie w tym, że w ogóle do tego doszło, miał udział dzieci ulicy i części żołnierzy odsieczy, którzy przybyli wcześniej z płk. Michałem Karaszewiczem-Tokarzewskim. Wśród nich nastroje antyżydowskie również były mocno widoczne.

Zasadniczo sztab obrony Lwowa, świadomie, nie stanął na wysokości zadania, by jak najszybciej położyć kresu pogromowi. To była czarna karta w złotej księdze polskiej obrony miasta.



Orlęta Lwowskie, ilustracja z „Albumu pamiątkowego obrony Lwowa 1918–1919”
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 6f4955209e

Na fundamencie pogromu lwowskiego propaganda ZURL próbowała, z niezłym skutkiem, werbować do walki z Polakami ludność żydowską, stwierdzając, że Żydzi mają prawo do odpłaty za to, co im Polacy zrobili we Lwowie.

Inna sprawa, że to wydarzenie zostało mocno nagłośnione na arenie międzynarodowej i mocno popsuło opinię Polski w tamtym newralgicznym czasie.

Dużo się w Polsce działo pod koniec 1918 r. Na ile lwowska epopeja zajmowała resztę Polaków?

Walki o Lwów były bardzo ważne. To był przejaw woli części społeczeństwa, by podjąć bój o odradzające się państwo polskie. To właśnie tam padły pierwsze strzały w obronie odradzającej się Polski. Lwów bardzo szybko stał się swego rodzaju wyrzutem sumienia – i przy okazji problemem – dla tworzących się władz centralnych. Do Warszawy udał się lotnik ze Lwowa – Stefan Stec – przynosząc wieści, że miasto się broni, ale bez wsparcia z centralnej Polski nie będzie w stanie utrzymać się na dłuższą metę. Jednym z pierwszych zdań Józefa Piłsudskiego było więc zorganizowanie odsieczy dla Lwowa.

To miasto będzie jeszcze później odcinane przez wojska ukraińskie i będzie walczyło w całkowitym okrążeniu, ale będzie już do tego dużo lepiej przygotowane.

W listopadzie każdego roku pamiętamy o obrońcach Lwowa, ale przecież walki o to miasto trwały jeszcze długo.

Wojna polsko-ukraińska trwała do połowy 1919 r. Był to krwawy konflikt, zginęło w nim w sumie 10 tys. polskich żołnierzy i 15 tys. ukraińskich. Niestety, nie znamy całkowitej liczby ofiar cywilnych, choć na pewno była ona mniejsza niż straty poniesione przez wojskowych.

Rok po zakończeniu wojny z Ukraińcami Lwów znów znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jak wiele brakowało latem 1920 r., by miasto wpadło w ręce Sowietów?

Podczas wojny polsko-bolszewickiej Armia Czerwona została powstrzymana na dalekich przedpolach Lwowa. Miasto oczywiście przygotowywało się do działań wojennych. W sytuacji gdy w polskim froncie ziała ogromna, szeroka na kilkanaście kilometrów luka, ze Lwowa



Obrońcy Lwowa z grupy atakującej cytadelę. Wśród nich Helena Bujwidówna

FOT. WIKIPEDIA

wymaszerował samotny oddział „ostatniej szansy", składający się z ochotników. Dowodził nim kpt. Bolesław Zajączkowski. Ten walczący w pojedynkę batalion najpierw odbił z rąk Konarmii Budionnego strategicznie ważną stację kolejową Zadwórze przy wschodnim podejściu do miasta, a później, 17 sierpnia 1920 r., przez kilkanaście godzin tych 360 żołnierzy powstrzymywało nieprzyjaciela dysponującego kilkunastokrotną przewagą.

Kolejne polskie Termopile...

Powiedziałbym wręcz, że były to największe polskie Termopile, większe nawet niż obrona Wizny z września 1939 r. Obrońcy Zadwórza walczyli na straconych pozycjach, ale swoją determinacją „kupili" kilkanaście bezcennych godzin. Ceną za uratowanie miasta były jednak olbrzymie, 90-procentowe straty batalionu.

Lwów wkraczał więc w erę II RP z dwiema legendami: Orląt i Termopil. Te bohaterskie karty w historii miasta zostały docenione przez Marszałka Józefa Piłsudskiego, który odznaczył Lwów Orderem Virtuti Militari.

Mieszkańcom miasta została oszczędzona bolszewicka okupacja, ale...

... Lwów był na wojnie tak naprawdę od 1914 r. Jego mieszkańcy przeżyli kilkumiesięczną okupację rosyjską, podczas której prześladowane były polskie i ukraińskie elity, a kieszenie mieszkańców były drenowane, ponieważ Rosja desperacko potrzebowała pieniędzy na wojnę.

Później Lwów cierpiał przez dłuższy czas z powodu ogólnego zubożenia wojennego, następnie stał się areną walk Polaków i Ukraińców, a na koniec przygotowywał się do oblężenia przez bolszewików. Epopeja wojenna trwała więc siedem lat.

Dość powiedzieć, że na przełomie lat 1918–1919 ludność ogrzewała swoje mieszkania nawet drzwiami i meblami. Cena żywności – towaru deficytowego – biła rekordy. Miasto przez kilka lat odradzało się po wojennych trudach.

Nie ma wątpliwości, że Lwów zajmował absolutnie wyjątkowe miejsce na mapie II RP.

Przed drugą wojną światową Polacy nie wyobrażali sobie, że Polska może istnieć bez Lwowa. To trochę tak, jakbyśmy dziś mieli sobie wyobrazić Polskę bez Krakowa. Lwów otoczony był legendą miasta zawsze wiernego, jeszcze bardziej podbudowaną przez wydarzenia lat 1918–1919. Ale nie tylko Polacy tak spoglądali na tę metropolię. Lwów był najważniejszym miastem dla społeczności zachodnioukraińskiej, która nadal widziała w nim swój Piemont, swoją „perłę w koronie".

Można to porównać do tego, jak Litwini postrzegali Wilno?

W pewnym sensie tak, ale są tu jednak wyraźne różnice. Nawet gdy stanowili we Lwowie niewielką mniejszość, Ukraińcy byli znacznie mocniej obecni w życiu miasta – w sprawach kulturowych, edukacyjnych czy nawet politycznych – niż ludność litewska w Wilnie, która przed drugą wojną funkcjonowała tam na absolutnym marginesie. Lwów ukraiński, mimo że nieco na uboczu i w kontrze do Lwowa polskiego, cały czas realnie istniał.

Oba miasta różniło coś jeszcze. Poza Lwowem i niektórymi miastami Polacy stanowili w dawnej Galicji Wschodniej mniejszość. Ukraiński Lwów promieniował na okoliczną prowincję zdominowaną przez ludność ukraińską. Natomiast poza granicami Wilna to Polacy stanowili większość. Zresztą do dziś pozostało tak w niektórych regionach Wileńszczyzny.

Lwów w II RP był potęgą w kwestiach edukacyjnych. Lwowska szkoła matematyczna jest w tym kontekście bodaj najsłynniejsza, ale przecież to tylko jedna dziedzina, z której dumni byli Lwowiacy.

Zawsze cieszy mnie, gdy przypominamy tamtejszą szkołę matematyczną, ale

eprasa.pl 6f4955209e

rzeczywiście ten temat przesłania nieco całą masę wielkich osiągnięć lwowskiej nauki. Można się pokusić o stwierdzenie, że Lwów był właściwie równorzędny w tych sprawach z Warszawą.

Uniwersytet Lwowski, który później przybierze imię Jana Kazimierza, Politechnika Lwowska, Akademia Rolnicza w pobliskich Dublanach, te instytucje wykształciły tysiące światłych umysłów. Zresztą Lwów przyciągał wybitne jednostki nie tylko polskiego pochodzenia.

W końcu był to niesamowity tygiel kulturowy.

Kocham Warszawę, ale mam wrażenie, że Lwów był miastem, które miało swoje niepowtarzalne „genius loci". Mieszały się tam wpływy nie tylko Wschodu i Zachodu, lecz także Północy i Południa. Żyli tam razem Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Rusini, Rosjanie, Niemcy, Ormianie… Lwów był mieszanką wszystkich tych kultur i widać to było w życiu codziennym miasta. Polskość miała tam zupełnie inny „smak" niż w innych częściach II RP.

Ale we Lwowie cały czas wrzało, czego najbardziej widomym znakiem były zamachy. W 1921 r. ukraińscy nacjonaliści chcieli tam zabić Marszałka Piłsudskiego, a trzy lata później prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. W tym ostatnim przypadku niedoszły zamachowiec uciekł do Niemiec, gdzie otrzymał status uchodźcy, co pokazywało, jak Niemcy postrzegali Ukraińców z Galicji Wschodniej.

Od przełomu lat 20. i 30. niemiecki wywiad blisko współpracował z OUN. To, że we wrześniu 1939 r. w Galicji Wschodniej nie doszło do zakrojonego na szerszą skalę ukraińskiego powstania na tyłach walczącego Wojska Polskiego, wynikało jedynie z faktu, iż Polska upadła bardzo szybko. Niemcy uznali po prostu, że nie potrzebują takiej rebelii.

Na ulicach miasta wrogość między Polakami a Ukraińcami rosła w okresie międzywojennym, co było widać w potyczkach między studentami przy okazji różnych manifestacji patriotycznych i religijnych. Im bliżej drugiej wojny światowej, tym bardziej ten tygiel wielokulturowy przypominał bombę z podpalonym lontem.

Myślę, że zaprzepaszczono szansę, by część tych podziałów zniwelować. Polska polityka narodowościowa względem



RYS. MARZENA WŁOCZYK, COMMONS.WIKIMEDIA.ORG/HOLM

Ukraińców miotała się od radykalnych prób polonizacji i odbierania praw obywatelskich do prób zjednania tej ludności za rządów wołyńskiego wojewody Henryka Józewskiego.

We wrześniu 1939 r. Lwów skończył w kleszczach niemiecko-sowieckich. Walczył, ale tylko z jednym najeźdźcą…

Od samego początku wiadomo było, że Lwów będzie się bronił. Pojawienie się Niemców we Lwowie już 12 września było szokiem. Zdawano sobie sprawę z tego, że może dojść do bombardowań i ataków sabotażowych, ale generalnie Lwów miał być stosunkowo bezpieczny, korzystając ze swojego położenia geograficznego. Lwów był szturmowany przez oddziały doborowej 1. Dywizji Górskiej Wehrmachtu. Po kilku dniach dołączyły do niej kolejne dywizje.

Bitwa pod Lwowem została wyjątkowo niefortunnie rozegrana przez polskie dowództwo, które nie potrafiło wykorzystać chwilowo posiadanej przewagi, i to zarówno liczebnej, jak i sprzętowej, gdy to my mieliśmy czołgi – dysponowała nimi zmotoryzowana 10. Brygada Kawalerii płk. Stanisława Maczka, walcząca na przedpolach miasta – a Niemcy byli ich na tym odcinku pozbawieni.

Oczywiście pojawienie się wojsk sowieckich całkowicie przesądziło los nie tylko miasta, lecz także całej II RP. Niemcy nie zdołali zdobyć Lwowa, ale dowodzący obroną gen. Władysław Langner poddał go wojskom sowieckim i 22 września miasto znalazło się pod okupacją ZSRS.

Generał Langner uznał po prostu, że Armia Czerwona nie jest do końca wroga. Sowieci złamali przyrzeczenie, że polskie oddziały będą mogły odejść w dowolnym kierunku. Od razu doszło do masakr polskich żołnierzy, a także policjantów. Strasznym finałem była oczywiście zbrodnia katyńska.

Mimo wszystko miasto „Semper fidelis" jednak broniło się w 1939 r. Wilno niestety nie jest tu dobrym przykładem.

A wręcz jest to fatalny przykład. Lwów i Grodno były symbolami obrony Kresów. Lwów dalej mógł się bronić, ale jednak faktem jest, że poddanie przez gen. Langnera oszczędziło miasto. Ze wszystkich metropolii II RP Lwów był, obok Krakowa, najmniej zniszczony. Dla porównania: Wilno było zniszczone w czasie drugiej wojny światowej w niemal 40 proc., a Lwów stracił w tym czasie „jedynie" 12–13 proc. zabudowy.

Zdecydowana większość tkanki miejskiej przetrwała do dziś, ale historia mogła się potoczyć zupełnie inaczej. I to po wojnie! Na przełomie lat 40. i 50. stalinowscy architekci planowali, by zburzyć część Starego Miasta i Śródmieścia. W tym miejscu utworzona miała być długa, ponadkilometrowa aleja do defilad, a zwieńczać ten projekt miał gigantyczny Pomnik Stalina zbudowany na Kopcu Unii Lubelskiej. Na szczęście śmierć dyktatora pogrzebała ten projekt.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Damian Karol Markowski jest historykiem, znawcą relacji polsko-ukraińskich w XX w., autorem wielu publikacji na ten temat, m.in. „Dwa powstania. Bitwa o Lwów 1918". Wiosną przyszłego roku ukaże się książka prof. Markowskiego na temat dziejów Lwowa.

eprasa.pl 6f4955209e

1866–1922 / Lwów – kolebka polskiego ruchu niepodległościowego



Wizyta Franciszka Józefa I w gmachu Sejmu Krajowego we Lwowie, 1880 r. Obraz Henryka Rodakowskiego FOT. WIKIPEDIA

Serce Galicji, ostoja polskości

Adres Sejmu Krajowego Galicji we Lwowie z grudnia 1866 r. do Franciszka Józefa I miał wiele zdań, ale zapamiętano z niego tylko jedno: „Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy". Jeden z posłów zaproponował poprawkę: skreślić „stać chcemy", żeby nie zobowiązywać się na przyszłość, jednak przepadła ona w głosowaniu. To jedno zdanie przywoływano wielokrotnie jako przejaw lojalizmu czy wręcz serwilizmu wobec zaborcy, płaszczenia się elit galicyjskich przed Franciszkiem Józefem I.

A jednak ta deklaracja lojalności opłaciła się, gdyż odegrała ważną rolę w uzyskaniu autonomii przez Galicję – ziemię Rzeczypospolitej zagarniętą przez Austrię podczas pierwszego rozbioru. Status autonomiczny Galicji odegrał niezwykle istotną rolę w przetrwaniu narodu w epoce rozbiorów. Trwała ona



Tomasz Stańczyk

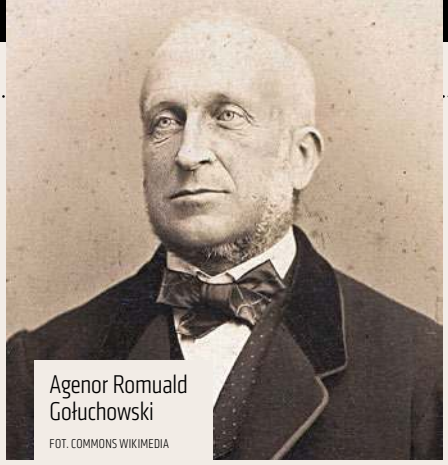
Status autonomiczny Galicji – z Lwowem jako jej sercem – odegrał niezwykle istotną rolę w przetrwaniu narodu w epoce rozbiorów

123 lata, jednak aż przez pół wieku Polacy w Galicji – w przeciwieństwie do rodaków poddawanych germanizacji i rusyfikacji – cieszyli się możliwością pielęgnowania i wzmacniania narodowej tożsamości dzięki polskiej administracji, szkolnictwu i szerokiej wolności słowa.

Ognisko dążeń

Droga do autonomii była długa i niełatwa. Podczas burzliwej Wiosny Ludów w 1848 r. Polacy w Galicji zbuntowali się przeciw swojemu położeniu. W petycji do cesarza Ferdynanda I, podpisanej m.in. przez Franciszka Smolkę i Floriana Ziemiałkowskiego, żądano spolszczenia urzędów i szkół, wolności słowa i uwolnienia więźniów politycznych. Ogniskiem dążeń do zdobycia samodzielności w ramach monarchii Habsburgów był właśnie Lwów, tam właśnie powołano Komitet Narodowy, reprezentację społeczeństwa polskiego. W mieście wybuchły zamieszki, co skończyło się ostrzelaniem go przez artylerię i spacyfikowaniem przez wojsko austriackie.

eprasa.pl 6f4955209e



Agenor Romuald Gołuchowski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Rok później na scenę polityczną wkroczył 37-letni ziemianin Agenor Gołuchowski, który został namiestnikiem Galicji i starał się uniezależnić od ministra spraw wewnętrznych Alexandra von Bacha, zwolennika twardych rządów centralistycznych. Po 10 latach Gołuchowski uzyskał podwójną satysfakcję: Bach został zdymisjonowany, a on zajął jego miejsce. Stało się to w roku 1859, naznaczonym ciężką klęską Austrii w wojnie z Królestwem Sardynii (Piemontem), w której utraciła Lombardię. Ta przegrana przyczyniła się do pojawienia się w monarchii Habsburgów tendencji decentralizacyjnych. Minister Gołuchowski został autorem tzw. dyplomu październikowego z 1860 r. Przewidywał on, że część władzy, dotąd skupionej w Wiedniu, przejdzie do sejmów krajów koronnych, w tym do sejmu Galicji. Jednak patent lutowy z 1861 r. znacznie ograniczył kompetencje tych reprezentacji narodów i w tym samym roku Gołuchowski ustąpił ze stanowiska. Trzeba było kolejnej klęski Austrii, latem 1866 r. z Królestwem Prus, by decentralizacja monarchii ruszyła z miejsca.

W grudniu 1866 r. galicyjski Sejm Krajowy zadeklarował wprawdzie lojalność wobec Franciszka Józefa I, ale w istocie powiedział mu: „Dobrze, ale coś za coś!". Skierowany do cesarza adres stwierdzał, że gdy „dziejowe tradycje krajów, w skład państwa wchodzących", uznane w dyplomie z października 1860 r., zostaną wcielone w życie, „niepodobnym już stanie się system centralizacji, który paraliżuje siły żywotne ludów". Postulowano samorządne ukonstytuowanie się krajów koronnych, dzięki którym „na dziejowych i narodowych podstawach", będą wzrastać ich moralne i materialne siły. Tylko wtedy – dodawano przebiegle – Austria będzie silna i potężna.

W tym samym czasie Węgrzy walczyli o równorzędną pozycję w państwie i uzyskali ją. W 1867 r. powstały Austro-Węgry. Radykałowie z Galicji chcieli takiego samego statusu, jaki zdobyli Węgrzy, jednak te dążenia zakończyły się fiaskiem. A licytacja wzwyż, jaką był postulat, aby wydział wykonawczy Sejmu podlegał tej izbie, a nie Wiedniowi, skończyła się odwołaniem wizyty Franciszka Józefa I w Galicji.

Nieoceniona zdobycz

Galicja ostatecznie uzyskała autonomię: spolszczono szkolnictwo, łącznie z wyższym, administrację krajową i sądy, a liberalne prawo pozwalało na dużą wolność słowa, kultywowano polskie tradycje, kulturę i tożsamość narodową. Była to nieoceniona zdobycz dla narodu pod zaborami, i to nie tylko dla Polaków z Galicji. Autonomia oddziaływała bowiem na rodaków z zaborów rosyjskiego i pruskiego. A Gołuchowski, mianowany w 1866 r. namiestnikiem Galicji (był nim do 1868 r., a następnie w latach 1871–1875), przeprowadził jej degermanizację. Jest on stanowczo niedocenianą i niezauważaną postacią w naszych dziejach (w 1901 r. we Lwowie odsłonięto jego pomnik, który zniknął i najpewniej został zniszczony niedługo po rozpoczęciu w 1944 r. drugiej sowieckiej okupacji Lwowa).

Deklaracja lojalności w zamian za autonomię wiązała się z ostrym potępieniem powstań narodowych i spisków przez konserwatywne elity rządzące w Galicji. W świeżej pamięci miały to, że powstanie styczniowe nie tylko przekreśliło korzystne dla narodu zmiany w Królestwie Polskim, wywalczone przez margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, lecz także przyniosło represje, zsyłki na Sybir, konfiskatę majątków osób walczących w powstaniu i wzmożoną rusyfikację.

Historyk Józef Szujski stwierdził, że tak jak „liberum veto" zniszczyło Rzeczpospolitą, tak „liberum conspiro" może zniszczyć naród. „Obłędzie! Który mniemasz, że dosyć jest chcieć wypędzić nieprzyjaciół, że dość jest zrobić konspiracyjkę jedną lub drugą, aby być wolnym i niepodległym, wynoś się z ziemi naszej, opuść ją na zawsze, bo sprowadzasz tylko klęski bez granic" – pisał w 1867 r. Szujski w książce „Kilka prawd z dziejów naszych: ku rozważeniu w chwili obecnej". W zamian proponował drogę „organicznego rozwoju narodowego", wykorzystując uzyskaną autonomię.

A duch narodowy rozkwitał w Galicji. W 1869 r. odbył się, po odkryciu jego grobu w katedrze na Wawelu, ponowny pochówek Kazimierza Wielkiego. Była to pierwsza ważna manifestacja narodowa po uzyskaniu autonomii, za nią szły następne, a w Galicji potrafiono celebrować pogrzeby. W 1880 r. kościele na Skałce powstała krypta Zasłużonych, panteon narodowy, w której spoczęli Jan Długosz, Wincenty Pol, Lucjan Siemieński, Józef Ignacy Kraszewski, Teofil Lenartowicz, Adam Asnyk, Henryk Siemiradzki i Stanisław Wyspiański. Obchodzono uroczyście jubileusz 50-lecia pracy twórczej Kraszewskiego, który naszkicował w swoich powieściach panoramę dziejów Polski, a na 100-lecie insurekcji kościuszkowskiej powstała we Lwowie „Panorama Racławicka", która znacznie



Gmach Sejmu Krajowego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, EDWARD TRZEMESKI

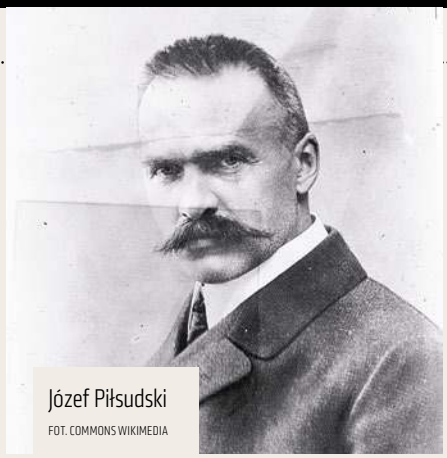
eprasa.pl 6f4955209e

przyczyniła się do narodowego uświadomienia chłopów.

W 1890 r. sprowadzono prochy Adama Mickiewicza i pochowano je w katedrze wawelskiej. Po latach starań odzyskano w 1905 r. Zamek Królewski na Wawelu, w którym mieściły się austriackie koszary. Wielką manifestacją narodową była rocznica bitwy pod Grunwaldem w 1910 r., powiązana z odsłonięciem Pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie. Kwitła kultura i sztuka; Jan Matejko utrwalał na swoich obrazach ważne wydarzenia w dziejach Polski, prężnie działało lwowskie Ossolineum (większość jego zbiorów prawem kaduka przetrzymują Ukraińcy, mimo że Józef Maksymilian Ossoliński ofiarował je narodowi polskiemu). Wydawano książki, w prasie ukazywały się artykuły, na które nie zgodziliby się cenzorzy w zaborze rosyjskim i pruskim. W Galicji mogły powstać polskie partie polityczne: Stronnictwo Ludowe, Polska Partia Socjalno-Demokratyczna Galicji i Śląska Cieszyńskiego, Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe, a polscy posłowie nabywali praktyki w parlamencie w Wiedniu.

Jednak te liczne manifestacje patriotyczne, obchody ważnych dla Polaków rocznic spowodowały, paradoksalnie, że znikała myśl o niepodległości, o odrodzeniu polskiego państwa. Warunki bytu narodowego były więcej niż znośne i Polacy w Galicji pogodzili się ze swoim życiem w ramach monarchii Austro-Węgierskiej. A myśli i dążenia niepodległościowe napawały ich obawą przed zburzeniem ładu, utratą autonomii, powstaniem, które mogło przynieść tylko klęskę i represje. Profesor Anatol Lewicki w „Zarysie historyi Polski i krajów ruskich z nią połączonych", podręczniku szkolnym dla szkół galicyjskich, pisał: „Mając zapewniony rozległy samorząd, używając języków rodzimych w szkole, w sądzie i urzędzie, biorąc udział w rządach państwa, a przedewszyskiem ciesząc się ojcowską życzliwością miłościwego Monarchy, posiadamy wszystkie warunki skutecznego rozwoju i postępu na tej drodze, którą nam Opatrzność wyznaczyła".

Szkoła galicyjska, mimo niezaprzeczalnych zasług dla utrzymania tożsamości narodowej Polaków, uczyła więc, że tak jak jest, jest dobrze i niczego więcej nie potrzeba.



Józef Piłsudski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

To pogodzenie się z życiem pod zaborami, choć w warunkach autonomii, zakwestionował Józef Piłsudski, który kilka lat przed wybuchem pierwszej wojny światowej zbulwersował tamtejsze społeczeństwo swoją „agitacją militarną".

Dwa grosze

Gdy Piłsudski uciekł w 1901 r. ze szpitala psychiatrycznego w Petersburgu, gdzie badano go, czy symuluje zaburzenia umysłowe czy jest niespełna rozumu, nie zamierzał być emigrantem. Osiedlił się w Galicji, by tutaj, po upadku rewolucji 1905–1907 r., która była nie tylko buntem klasowym, lecz także narodowym prowadzić „agitację militarną". Jej celem było przyzwyczajenie Polaków do myśli o niepodległości i do tego, że trzeba o nią walczyć z bronią w ręku. Uważał, że jest to obowiązkiem każdego pokolenia i zgryźliwie, ale nie bez racji, stwierdził w 1912 r., że „Polacy pragną niepodległości, lecz pragnęliby, by ta niepodległość kosztowała tylko dwa grosze wydatków i dwie krople krwi, a niepodległość jest dobrem nie tylko cennym, ale i bardzo kosztownym".

W 1908 r. działalność bojówki PPS w Królestwie Polskim, na której czele stał Piłsudski, wygasała. Tymczasem potrzebował on pieniędzy na tworzenie kadr przyszłego wojska polskiego. W czerwcu tamtego roku spotkał się w lwowskiej kawiarni z 23-letnim Kazimierzem Sosnkowskim, studentem politechniki, niedawnym bojowcem PPS. Piłsudski był przygnębiony klęską rewolucji 1905–1907 r. Nie zdradzał Sosnkowskiemu, że planuje akcję zdobycia pieniędzy na niepodległościową działalność PPS, choć powiedział, że chce zakończyć działalność bojówki „ostatnią grą". Sosnkowski pod wrażeniem depresyjnego nastroju Piłsudskiego postanowił, nie mówiąc mu o tym, podbudować go psychicznie. Wkrótce w jego mieszkaniu przy ul. Lenartowicza 12 (dziś Neczuja-Ławyckiego) odbyło się zebranie założycielskie Związku Walki Czynnej, tajnej organizacji kształcącej przyszłych kierowników powstania narodowego w zaborze rosyjskim. Gdy Piłsudski wrócił spod Bezdan z workami pieniędzy, organizacja ta już działała. Sosnkowski przekazał mu to nieocenione narzędzie do prowadzenia akcji niepodległościowej.

Kryzysy bałkańskie w latach 1908–1912 zaostrzyły rywalizację między Rosją a Austro-Węgrami. Na to tylko czekał Józef Piłsudski, licząc na wielką europejską wojnę. Wychowany w kulcie bohaterów 1863 r., nie był jednak szaleńcem zamierzającym wzniecić powstanie wbrew wszystkim i wszystkiemu. Stąd wzięło się – w nadziejach na wojnę między zaborcami – jego porozumienie z wywiadem Austro-Węgier. Piłsudski w zamian za informacje wywiadowcze z terenu Rosji, szczególnie z Królestwa Polskiego, uzyskał zgodę na powstanie przewidzianych w prawie austriackim organizacji strzeleckich, które w wypadku konfliktu miały prowadzić działania dywersyjne i sabotażowe wobec Rosji. W 1910 r. we Lwowie powstało Towarzystwo „Strzelec", a wkrótce potem w Krakowie – Związek Strzelecki. Polskie społeczeństwo Galicji w swojej większości postrzegało – jak wspominał Piłsudski – jego strzelców jako dziecinadę lub uważało ich za groźnych szaleńców, pragnących wywołać powstanie o nieobliczanych, ciężkich dla Polaków skutkach.

W przededniu pierwszej wojny światowej w organizacjach strzeleckich Piłsudskiego oraz w Polskich Drużynach Strzeleckich, które wówczas się mu podporządkowały, służyło 13 tys. młodych Polaków, głównie z Galicji, ale też z Królestwa Polskiego, czyli z zaboru rosyjskiego. To oni stanowili trzon Legionów Polskich w pierwszej fazie ich istnienia. Piłsudski był rozczarowany, że tak mało – zbyt mało – ludzi zgłosiło akces do związków strzeleckich. W pierwszą rocznicę powstania Legionów, jako dowódca I Brygady, mówił: „Że szabla nasza była małą, że nie była godną wielkiego 20-milionowego narodu, nie nasza w tym wina. Nie stał za nami naród,

eprasa.pl 6f4955209e

nie mający odwagi spojrzeć olbrzymim wypadkom w oczy i oczekujący w biernej »neutralności« jakiejś dla siebie od kogoś »gwarancji«".

Centrum, kolebką polskiego ruchu niepodległościowego, był Lwów, siedziba zakonspirowanego ZWC, sprawującego pieczę nad obiema organizacjami strzeleckimi. Piłsudski, który mieszkał w Krakowie z żoną Marią Piłsudską, często jeździł do Lwowa, łącząc przyjemne z pożytecznym. Przyjemne było to, że we Lwowie odwiedzał młodszą od siebie o 15 lat Aleksandrę Szczerbińską – późniejszą żonę – z którą łączył go romans.

Działała ona w bojówce PPS, tam poznała Piłsudskiego, a we Lwowie udzielała się w Związku Walki Czynnej. Pożyteczne były natomiast służbowe pobyty we Lwowie związane właśnie z ZWC i tworzeniem kadr przyszłego wojska polskiego w organizacjach strzeleckich. Piłsudski zatrzymywał się niejednokrotnie u Hipolita Śliwińskiego w jego kamienicy przy ulicy Kadeckiej 6 (dziś Bohaterów Majdanu). Śliwiński był inżynierem prowadzącym znakomicie prosperującą firmę budowlaną i współfinansował działalność niepodległościową Piłsudskiego.

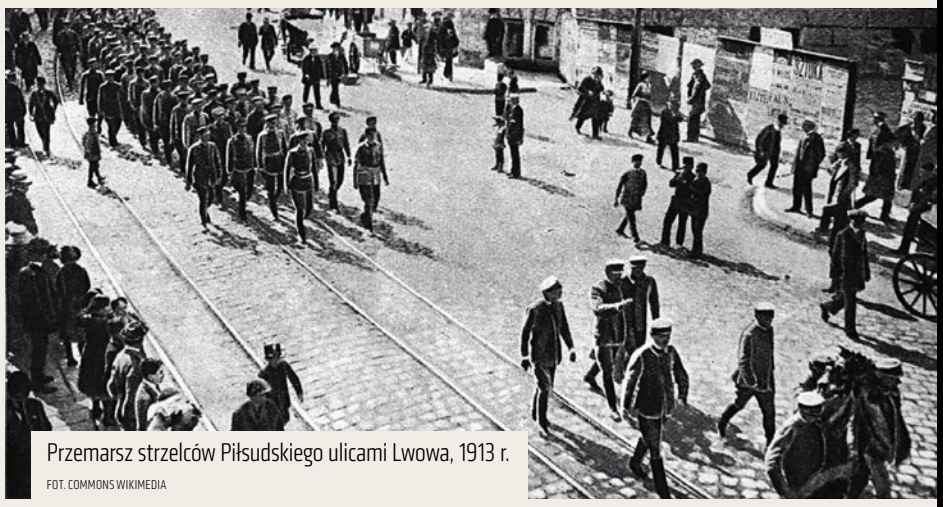
W latach międzywojennych na froncie kamienicy Śliwińskiego odsłonięto tablicę upamiętniającą wizyty Piłsudskiego (zachowała się ona do dziś jako nieliczna tego rodzaju ocalała pamiątka polskiej wielowiekowej obecności we Lwowie). W 1913 r. Lwowianie byli świadkami przemarszu strzelców Piłsudskiego ulicami miasta, miało to związek z rocznicą powstania styczniowego, a Piłsudski z tej okazji wygłosił odczyt.

Nie pogrzeb, lecz triumf

1 listopada 1918 r. Ukraińcy podjęli próbę opanowania Lwowa, który zamierzali uczynić stolicą Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej. Zamach na miasto spotkał się z oporem jego polskich mieszkańców. Rozpoczęła się trzytygodniowa obrona Lwowa. Do Warszawy poleciał pilot Stanisław Stec, walczący z powietrza z Ukraińcami, by prosić Piłsudskiego o ratunek. Narodowa Demokracja atakowała Naczelnika Państwa, że zwleka z pomocą dla Lwowa, niesłusznie zresztą. To właśnie ludzie Piłsudskiego ruszyli pod koniec listopada z odsieczą, na czele ekspedycji stał 25-letni pułkownik Michał Tokarzewski-Karaszewicz, były oficer I Brygady Piłsudskiego, urodzony we Lwowie. Połączone siły obrońców i odsieczy spowodowały, że Ukraińcy wycofali się z miasta. Ale Lwów był nadal osaczony przez Ukraińców. W grudniu 1918 r. Piłsudski przyjechał trzymaną przez polskich żołnierzy linią kolejową, by odwiedzić walczących na pierwszej linii frontu.

Dwa lata później, 22 listopada 1920 r., w rocznicę zakończenia listopadowej obrony, marszałek Józef Piłsudski przybył do Lwowa, by ozdobić herb miasta „Semper Fidelis", czyli zawsze wiernego Rzeczypospolitej, orderem Virtuti Militari, za „zasługi położone dla polskości tego grodu i jego przynależności do Polski". Powiedział wówczas: „Po 1863 roku Lwów był miastem najmniej ugodowym. Wówczas to wszędzie panowała ugoda, wszędzie hasłem była tzw. rozwaga, tak często równoznaczna z tchórzostwem, wszędzie panował tzw. rozsądek, który jakże często był tylko bojaźnią. Lwów był zawsze najbardziej bez trwogi. Tu serca Polski biły najśmielej. Kto pragnął odetchnąć uczuciem wolności i nawiązać nić tradycyjną myśli, czy walki o niepodległość Polski, musiał oprzeć pracę o Lwów, gdzie biły serca goręcej rwące się do wolności. Na tarczy waszej herbowej wypisane są słowa »Zawsze wierny!« – i dlatego iluż tu wiernych szukało ucieczki. Ilu wiernych złożyło tu głowy, by swym duchem otoczyć opieką to, co tu w sercach najgoręcej żyło – wiarę, że jeszcze nie zginęła. Niech mi będzie wolno, jako temu, który tu, we Lwowie, o ruchu zbrojnym marzył i w czyn realizować się go starał, złożyć osobistą podziękę miastu, które mnie i moich uczniów chowało, gorącym swym uczuciem grzało. W chwili, kiedy zginęła zmowa naszej niewoli, wam przypadł honor pierwszej walki przy waszych murach i domach. Tak, jakby na zakończenie marszu pogrzebowego, który grano nad Polską, u was zabrzmiał ostatni akord – nie pogrzebu, lecz tryumfu".

Związki Józefa Piłsudskiego ze Lwowem mogły się skończyć tragicznie, właśnie pogrzebem. W 1921 r. jako Naczelnik Państwa przybył do Lwowa i niewiele brakowało, by zginął z rąk młodego członka Ukraińskiej Organizacji Wojskowej (UWO), pragnącego powtórzyć udany zamach z 1908 r. na Andrzeja Potockiego, namiestnika Galicji. Ukrainiec uważał za prowokację ze strony szefa państwa polskiego wizytę na terenach okupowanych – zdaniem UWO – przez Polaków. Ta „okupacja" Lwowa, miasta o niezaprzeczalnie polskim, a także żydowskim, ale nie ukraińskim obliczu, skończyła się z woli Józefa Stalina, który Lwów podarował Ukraińcom. Do dziś niektórzy z nich ubolewają, że nie dorzucił do tego daru Przemyśla, Jarosławia i Chełma, a nawet kolportują mapy, na których te miasta znajdują się w granicach Ukrainy.



Przemarsz strzelców Piłsudskiego ulicami Lwowa, 1913 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f4955209e



Defilada sowiecka we Lwowie, jesień 1939 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

1939–1941 / Okupacja sowiecka

Dramat lwowskiej konspiracji



Marek Gałęzowski

Niefrasobliwość konspiratorów, zinfiltrowanie organizacji podziemnych przez agentów sowieckich oraz zeznania złamanych aresztowanych spowodowały rozbicie działalności niepodległościowej we Lwowie

Podziemie niepodległościowe pod okupacją sowiecką zaczęto tworzyć niemal natychmiast po ustaniu walk z dwoma najeźdźcami. W odróżnieniu od okupacji niemieckiej powstawało ono jednak w zupełnie odmiennych warunkach. Inna struktura narodowościowa sprawiała, że działalność polskiej konspiracji była od początku skazana na otoczenie w znacznym stopniu nie tylko obojętne, lecz także często wrogie. Groźniejszym było jednak lekceważenie okupanta, co tylko w pewnym stopniu można uzasadnić całkowitą niewiedzą o metodach działania sowieckiego aparatu represji. Dlatego niezwykle sprawne uderzenia w podziemie, wsparte wykorzystaniem licznej agentury ułatwiały także dość umowne na początku okupacji przestrzeganie zasad konspiracyjnych w powstających organizacjach. W znacznej części wyjaśnia to sparaliżowanie już po kilku miesiącach wszelkich form polskiej aktywności niepodległościowej, której dodatkowy cios zadały deportacje ludności z 1940 r., niszczące bazę społeczną oporu.

Pełnomocnictwa

Głównym ośrodkiem konspiracji pod okupacją sowiecką był Lwów, gdzie jej zręby powstały już w chwili poddania miasta Armii Czerwonej. 22 września 1939 r. dawni oficerowie legionowi, generałowie WP Mieczysław Boruta-Spiechowicz i Marian Januszajtis, rozpoczęli tworzenie Polskiej Organizacji Walki o Wolność. Inną konspirację zainicjował płk Władysław K. Żebrowski i to on otrzymał wkrótce pełnomocnictwo do

eprasa.pl 6f4955209e

utworzenia Związku Walki Zbrojnej na terenie Polski południowo-wschodniej. Przekazał je Żebrowskiemu w końcu 1939 r. emisariusz władz polskich na uchodźstwie Tadeusz Strowski, jak się okazało osoba przypadkowa, której zachowanie niedługo później negatywnie odcisnęło się na lwowskim podziemiu.

Nieco wcześniej do Lwowa dotarł z Warszawy mjr Aleksander Klotz, emisariusz wysłany przez gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza, twórcę Służby Zwycięstwu Polski. Klotz, który zresztą nic nie wiedział o utworzeniu ZWZ, nie został uznany przez Żebrowskiego i w tej sytuacji, wykonując rozkaz gen. Tokarzewskiego, zaczął tworzyć własne struktury konspiracyjne. Dlatego we Lwowie powstały dwie organizacje. Pierwsza, tzw. ZWZ-1, była kierowana przez płk. Władysława K. Żebrowskiego „Żuka", którego zastępcą został mjr Emil Macieliński „Kornel", a jej trzon stanowiły środowiska narodowe. Na czele drugiej, umownie określonej później jako ZWZ-2, stali piłsudczycy – ppłk Jan Sokołowski „Trzaska" oraz wspomniany już Klotz, a od wczesnej wiosny 1940 r. mjr Zygmunt Dobrowolski. Do ZWZ-2 przyłączyła się także powstała na bazie Związku Legionistów Polskich i Związku Strzeleckiego nieliczna organizacja Antoniego Hollendra i ppłk. Tadeusza Z. Słoniewskiego, nazywana Grupą Hollendra.

Dlaczego jednak nie doszło do porozumienia między dwoma „zetwuzetami"? W ZWZ-1 Klotza nazywano jednym z „najbardziej znienawidzonych pretorianów sanacyjnego reżimu", zarzucano mu prześladowanie opozycji narodowej i młodzieży akademickiej, gdy był starostą we Lwowie, a także skłonność do intryg. W rzeczywistości Klotz jako urzędnik państwowy zdecydowanie przeciwdziałał nie opozycji, tylko wystąpieniom antysemickim i antyrządowym, do których w tym mieście doszło w końcu lat 20. Rzekoma skłonność do intryg była w istocie nieufnością wobec pełnomocnictw Żebrowskiego. Te bowiem – jak wspomniano – szef ZWZ-1 otrzymał od Strowskiego, który stracił wiarygodność, kiedy okazało się, że nie jest – jak podawał – majorem WP, a plutonowym, do tego z kryminalną przeszłością. Tę zdemaskował właśnie Klotz, który też dostrzegł, że ZWZ-1 został zdekonspirowany przed okupantem, do czego m.in. przyczyniły się zeznania Strowskiego, aresztowanego na początku 1940 r. przez NKWD i – jak pisano w jednym z dokumentów ZWZ – „w więzieniu zdradził wszystko".



Emil Macieliński

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Ufność położona w Żymierskich

Lecz do dramatu ZWZ we Lwowie przyczyniło się przede wszystkim to, że od początku tworzenia tam konspiracji nie przestrzegano jej zasad i płk Żebrowski nie różnił się w tym od innych jej inicjatorów, budując organizację masową. „W październiku 1939 r. Lwów był ogarnięty szaleństwem konspirowania. Szeroką falą rozlały się po całym obszarze niezliczone ilości różnych organizacji i organizacyjek, z których większość działała z zaprzeczeniem wszelkich zasad konspiracji. Hałaśliwość i afiszowanie się miały więcej podobieństwa do reklamowej działalności firm handlowych niż do metod podziemia. Większość organizacji miała swoje »sztaby« w kawiarni Welza lub wprost na lwowskim deptaku – ul. Akademickiej. Rozgorączkowani i nadęci powagą szefowie sztabów biegali ze zwojami map pod pachą i z minami co najmniej Moltkego (Starszego) na swych obliczach. Adiutanci, przeważnie w spódniczkach pensjonarskich, z wypiekami na twarzyczkach roznosili rozkazy, przekazując je najczęściej ustnie z jednego trotuaru na drugi, przez całą długość Akademickiej [...]. Wśród tłumów krążyli bojcy i zagadkowi panowie w kaszkietach z zadartymi daszkami..." – pisał Aleksander Klotz.

I chociaż niewątpliwie jest to relacja znacznie przerysowana, to sam fakt niedostrzegania odmiennych niż pod okupacją niemiecką warunków działalności podziemnej i lekceważenie Sowietów nie ulega wątpliwości. Nieprzestrzeganie zasad konspiracji było co prawda zjawiskiem typowym również dla części organizacji konspiracyjnych, które tworzono pod okupacją niemiecką, co spowodowało



Delegaci do Zgromadzenia Ludowego Zachodniej Ukrainy, jesień 1939 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 6f4955209e

bardzo dotkliwe straty w pierwszych miesiącach okupacji, ale warunki do jej prowadzenia, zwłaszcza w Generalnym Gubernatorstwie, były korzystniejsze, a służby niemieckie mniej skuteczne niż sowieckie.

Te bowiem skorzystały również na konflikcie w kierownictwie ZWZ we Lwowie i rozłamie na dwie komendy – ZWZ-1 i ZWZ-2 oraz z fatalnej roli, którą w rozwoju konspiracji odegrali emisariusze władz polskich na uchodźstwie we Francji, których kierowano na tereny pod władzą Sowietów. Najpierw wspomniany Tadeusz Strowski, który po aresztowaniu przez NKWD zdekonspirował wielu prominentnych działaczy podziemia, a następnie Stanisław i Józef Żymierscy, bracia Michała Żymierskiego, zdegradowanego generała WP i współpracownika sowieckiego wywiadu, a w czasie wojny komendanta komunistycznych bojówek GL, a potem AL. Stanisława i Józefa, także oficerów WP, władze polskie na uchodźstwie obdarzyły zaufaniem, powierzając tak bardzo odpowiedzialną misję. Dzięki nim NKWD poznała strukturę organizacyjną, kontakty i formy działania ZWZ, co umożliwiło infiltrację lwowskich niepodległościowców.

Należy podkreślić, że Stanisław Żymierski już w końcu lat 30. zaczął pomagać przyszłemu komunistycznemu marszałkowi „Roli" w zdobywaniu informacji dla sowieckiego wywiadu. Nie mogły o tym wiedzieć władze polskie, niemniej Michała Żymierskiego dezawuowała wcześniejsza degradacja i wyrok, dlatego też pochopność wysłania jego braci z Paryża do okupowanego kraju w misji wymagającej wyjątkowego poczucia odpowiedzialności musi zastanawiać. Najwyraźniej jednak dla ówczesnych władz podstawowym wyznacznikiem była okazywana wrogość wobec obozu piłsudczykowskiego, a tej wszystkim Żymierskim nie brakowało. Bracia Stanisław i Józef Żymierscy wyszedłszy cało z sowieckiego więzienia, bez przeszkód rozwijali później swoją karierę w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, by zaraz po wojnie znaleźć się w komunistycznym „ludowym" wojsku w kraju.

Do pierwszych aresztowań we Lwowie doszło kilka tygodni po zajęciu miasta przez Sowietów, gdy NKWD rozbiło rozbudowaną do masowych rozmiarów



Leopold Okulicki

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE



Aleksander Klotz

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Polską Organizację Walki o Wolność, aresztując wielu jej członków wraz z komendantem, gen. Marianem Januszajtisem. Przykład postępowania sowieckich służb wobec tego oficera WP świadczy o tym, jak wyrafinowanymi metodami posługiwały się one w swoich działaniach. W odróżnieniu od większości innych aresztowanych Januszajtis nie był bity, lecz przekonywany do współpracy. Jego postawę w śledztwie znakomicie skomentował badacz dziejów polskiej konspiracji pod zaborem sowieckim, Rafał Wnuk: „Umiejętne podsycanie miłości własnej gen. Januszajtisa przez Berię sprawiło, że wcielił się on w rolę doradcy okupantów, o czym pisze z nieukrywaną dumą. Polski dowódca był przekonany, że to on przechytrza Sowietów, i nie dostrzegł, jak krok po kroku »rozmiękczany« dostarcza im kolejnych informacji i opinii".

Misja „Mrówki"

Likwidacja POWW rozpoczęła proces niszczenia polskiej konspiracji w tej części Polski, okupowanej przez Sowietów, zakończony wymordowaniem wielu jej uczestników i przejęciem przez NKWD kontroli nad ZWZ Obszaru Lwowskiego. Te wydarzenia nie były jednak w pełni znane w Warszawie. W tej sytuacji komendant ZWZ gen. Stefan Rowecki „Grot" zdecydował o wysłaniu tam jednego ze swoich najlepszych oficerów, z zadaniem przywrócenia zwartości szeregom podziemnego wojska. Był nim ppłk dypl. Leopold Okulicki, słynący z energii dawny legionista, kawaler Virtuti Militari za wojnę z bolszewikami, mężny obrońca Warszawy z września 1939 r., współtwórca ZWZ. Okulicki, który przybrał pseudonim „Mrówka", mianowany został komendantem ZWZ na okupację sowiecką.

Przerzut Okulickiego przez granicę okupacji niemieckiej i sowieckiej zorganizował Bolesław Zymon „Waldy Wołyński". 2 listopada 1940 r. Okulicki bez żadnych problemów przybył do Lwowa. Generał Rowecki poinformował o tym komendanta ZWZ-1, którym po płk. Żebrowskim (zaginionym wiosną 1940 r. po nieudanej próbie przedostania się na Węgry) został mianowany podpułkownikiem Emil Macieliński. Kiedy miesiąc później „Grot" zdał sobie sprawę, że swoją depeszę wysłał do zdrajcy, było już za późno.

Wbrew późniejszym swoim twierdzeniom Okulicki nie rozwinął poważniejszej działalności po przybyciu do Lwowa. Spotkał się m.in. z Sokołowskim i Klotzem, którzy wycofali się z działalności w ZWZ, uznając, że została zinfiltrowana przez NKWD. Przestrzegli oni nowego komendanta przed „Kornelem", twierdząc, że ten jest agentem NKWD. Okulicki odmówił więc kontaktu z Macielińskim, utrzymał go jednak z Zymonem. W nocy z 21 na 22 stycznia 1941 r., po niespełna trzech miesiącach pobytu we Lwowie, ppłk Okulicki został aresztowany przez NKWD.

Sprawcą jego uwięzienia był najpewniej tajemniczy Zymon, który we wrześniu 1940 r. przybył do Warszawy, podając się za porucznika WP (w przedwojennym wojsku nie było

eprasa.pl 6f4955209e

oficera o takich personaliach) i adiutanta komendanta Okręgu Wołyńskiego ZWZ płk. Tadeusza Majewskiego „Śmigla". Zymon poinformował gen. Roweckiego o aresztowania Majewskiego przez NKWD 31 maja 1940 r., ten zaś nakazał mu powrót na Wołyń i odbudowę okręgu. W listopadzie Zymon znalazł się jednak ponownie w Warszawie i jeszcze raz spotkał się z gen. Roweckim. Ten skontaktował go z Okulickim, który właśnie szykował się do wyjazdu do Lwowa.

Wobec przywołanych zdarzeń nie może dziwić, że w województwach południowo-wschodnich prowadzono ograniczone działania, wydając na niewielką skalę prasę konspiracyjną, prowadząc sabotaż. Na kolei – przede wszystkim niszczenie materiałów pędnych kierowanych do Niemiec oraz magazynów żywności, dokonano też kilku akcji likwidacyjnych. Dochodziło także do samorzutnego oporu zbrojnego przeciw okupantowi. Jednym z jego najtragiczniejszych epizodów było tzw. powstanie w Czortkowie. 21 stycznia 1940 r. sowiecki garnizon w tym mieście został zaatakowany przez ok. 200 źle uzbrojonych konspiratorów. Po kilku godzinach Sowieci stłumili tę lokalną insurekcję, mordując blisko setkę jej uczestników.

Zagadkowi Wierni Polsce

Prześladowań sowieckich we Lwowie uniknęli jedynie nieliczni konspiratorzy. Byli wśród nich Klotz i Sokołowski, którzy wycofali się z ZWZ-2, uznając, że także i ona została zdekonspirowana przed NKWD. Mieli następnie utworzyć odrębną organizację, którą nazwali Wierni Polsce. Jak podawał badacz dziejów konspiracji lwowskiej Grzegorz Mazur grupa ppłk. Sokołowskiego unikała kontaktów z ZWZ-1 oraz z oficerami przychodzącymi z zewnętrz (tj. z terenu okupacji niemieckiej lub z Węgier) i w bardzo ograniczonym zakresie utrzymywała kontakt z ZWZ-2, co uchroniło ją od infiltracji i aresztowań.

W rzeczywistości obaj ci oficerowie formalnie wciąż pozostawali członkami ZWZ, a dla utworzonej przez nich grupy, a raczej kilkuosobowej grupki najbardziej adekwatną byłaby nazwa ZWZ-3. Informacja o organizacji Wierni Polsce pod okupacją sowiecką nie pojawia się bowiem w dokumentach z tego okresu, które informują o odejściu „Trzaski" z ZWZ oraz o odrębnej grupie, której przewodził. Nazwa Wierni Polsce nie została wymieniona również w raporcie Klotza z podróży po ZSRS latem 1940 r. (w którą – jak twierdził – udał się w celu odnalezienia aresztowanego w tym czasie przez NKWD gen. Tokarzewskiego-Karaszewicza) ani w jego powojennych wspomnieniach. W obu określał się on jako członek komendy ZWZ na okupację sowiecką.

Rola Klotza w konspiracji lwowskiej pozostaje jeszcze jedną z jej zagadek. NKWD znała jego nazwiska i funkcje konspiracyjne (jak również Sokołowskiego) co najmniej od marca 1940 r. z zeznań Edwarda Goli, który wydał też w ręce NKWD mjr. Zygmunta Dobrowolskiego i wielu innych konspiratorów. O ile Sokołowski pozostawał nieuchwytny, o tyle Klotz został wiosną tego roku aresztowany przez NKWD, zidentyfikowany jako przedwojenny starosta i oficer WP, ale w odróżnieniu od innych członków ZWZ zwolniono go. Mimo to nadal formalnie pozostawał w konspiracji i jak wspomniano, twierdził, że szukał gen. Tokarzewskiego po ZSRS (na temat Klotza i jego „podróży" pisałem w jednym z pierwszych numerów „Historii do Rzeczy"). Po aresztowaniu Okulickiego objął komendę ZWZ-2 pod okupacją sowiecką, którą wiosną 1941 r., przed wyjazdem do Wilna, przekazał Sokołowskiemu. Była to formalność bez znaczenia, gdyż rozbita aresztowaniami organizacja mogła być nią jedynie z nazwy. W nowych warunkach wojny niemiecko-sowieckiej Klotz objął jedną z kierowniczych funkcji w wywiadzie ZWZ-AK, co oznaczało, że jego wersję udziału w podziemiu pod okupacją sowiecką uznano za wiarygodną.

Działania NKWD i jego agentów, których Sowieci umieścili w kierownictwie ZWZ we Lwowie Macielińskiego, a także innych oficerów – Edwarda Goli i Edwarda Metzgera, doprowadziły do sparaliżowania polskiej konspiracji w południowo-wschodniej części okupowanej Polski, i poddania jej kontroli sowieckiego aparatu przemocy. Jak dalece sięgały sowieckie „macki", świadczy jednak przede wszystkim to, że potrafiły one dotrzeć także do dowództwa ZWZ w Warszawie, paraliżując próbę przeciwdziałania akcji NKWD. Wymownym dowodem jest przykład Zymona, osoby, o której nic nie wiadomo, potrafiącej jednak znaleźć się w otoczeniu gen. Roweckiego i Okulickiego już w Warszawie, a nie we Lwowie.



Ulica Akademicka we Lwowie
FOT. NAC

Sowieckie działania przerwał dopiero wybuch wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r., niemniej Obszar Lwowski ZWZ w nowych warunkach, wskutek poniesionych strat, trzeba było budować od nowa. Wymienieni zdrajcy zostali skazani na śmierć przez Sąd Kapturowy przy Komendzie Głównej ZWZ. W wypadku pierwszych trzech wyrok wykonano, uniknął tego natomiast Zymon, którego dalsze losy pozostają nieznane.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl 6f4955209e



Hans Frank przed frontem ukraińskich ochotników do dywizji SS „Galizien", 1943 r.
FOT. NAC

1941–1944 / Trzy lata w Generalnym Gubernatorstwie

W cieniu swastyki



Arkadiusz Karbowiak

Niemiecka okupacja Lwowa rozpoczęła się od mordów na Żydach, ale hitlerowcy bardzo szybko wzięli też na celownik polską elitę. W cieniu terroru III Rzeszy dochodziło do rozgrywek polsko-ukraińskich

W poniedziałkowy ranek 30 czerwca 1941 r. do Lwowa wkroczyły pododdziały niemieckiej 1. Gebirgs-Division oraz Kampfgruppe Heinz. W skład tej ostatniej wchodziły m.in. trzy kompanie 350-osobowego batalionu Nachtigall, sformowanego z ukraińskich ochotników (w jednostce tej służyło 35 Niemców, którzy pełnili funkcje dowódców batalionu, kompanii i plutonów). Nachtigallowcy już o godzinie 4 dotarli do katedry św. Jura, gdzie rezydował metropolita lwowski Kościoła greckokatolickiego Andrej Szeptycki. Następnie poszczególne kompanie Kampfgruppe zajęły ratusz, dworzec kolejowy, magazyny i lwowskie więzienia. Warty wystawiono w 31 ważnych obiektach. Około godz. 8.30 do miasta przybył wyznaczony na stanowisko komendanta płk Karl Wintergerst.

We Lwowie pojawiła się również „grupa pochodna" OUN-B na czele z Jarosławem Stećką. Jej pobyt w mieście wiązał się z koniecznością zrealizowania konkretnej misji politycznej. Chodziło o ogłoszenie aktu restytucji Państwa Ukraińskiego, co nastąpiło 30 czerwca 1941 r. na lwowskim rynku w budynku Proświty. Do proklamacji zdecydowanie negatywnie odniosły się władze niemieckie. Adolf Hitler nie zamierzał patronować procesowi budowy czy też odbudowy państw narodowych na odbitych Sowietom terenach. Z powodu odmowy cofnięcia aktu, na początku lipca Stepan Bandera i Jarosław Stećko zostali zatrzymani i wywiezieni do Berlina. Objęto ich aresztem domowym (we wrześniu 1941 r. zostali oficjalnie aresztowani, a w styczniu 1942 r. deportowano ich jako więźniów uprzywilejowanych do kompleksu Zellenbau w KL Sachsenhausen).

Gdy działacze OUN przygotowywali się do ogłoszenia Aktu 30 czerwca, jak go później nazywano, w mieście lotem błyskawicy rozeszła się wiadomość, że w lwowskich więzieniach Sowieci tuż przed wycofaniem się dokonali masakry więźniów.

Na rozkaz Berii

24 czerwca 1941 r. oddziały NKWD rozpoczęły egzekucje osadzonych na rozkaz Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych ZSRS Ławrientija Berii (tego dnia we Lwowie OUN-B zorganizowała szybko stłumioną przez Sowietów zbrojną rebelię). W wyniku dokonanych w lipcu 1941 r. oraz na przełomie lutego i marca 1942 r. ekshumacji w więzieniu nr 1 (tzw. Brygidkach) stwierdzono, że enkawudziści zamordowali tam 981

eprasa.pl 6f4955209e

osób. W więzieniu nr 2 (przy ulicy Zamarstynowskiej 7) zabito od 558 do 588 osadzonych, w więzieniu nr 4 (tzw. Małe Brygidki) – 457 osób, natomiast w areszcie śledczym przy ulicy Łąckiego – 362. W sumie prawdopodobna (minimalna) liczba ofiar zamordowanych w tamtych dniach w więzieniach przez Sowietów wynosiła od 2358 do 2688 osób (według szacunków niemieckich 3,5 tys., a według danych ukraińskich – 3391), z czego większość stanowili Ukraińcy. Polskich ofiar było ok. 25 proc., pomordowano także nielicznych Żydów i kilku żołnierzy Luftwaffe.

Po południu 30 czerwca w mieście miały miejsce pierwsze ataki na Żydów postrzeganych jako beneficjenci rządów bolszewickich. Następnego dnia doszło do pogromu. Na rozkaz dowódcy XXXXIX Gebirgs Korps gen. Ludwiga Küblera zwłoki pomordowanych przez NKWD miały być wyniesione na zewnątrz budynków i poddane identyfikacji. W celu realizacji tego polecenia najprawdopodobniej to komendantura miasta nakazała, utworzonej 30 czerwca przez Omeliana Matłę i Jewhena Wrecionę ukraińskiej milicji narodowej, doprowadzenie do więzień żydowskich mieszkańców. Milicjanci (pewną ich część, ale nie większość stanowili członkowie OUN-B) wyłapywali Żydów na ulicach i w trakcie doprowadzania ich do więzień lub innych miejsc, gdzie mieli wykonywać prace porządkowe, bili ich pałkami i kijami, co doprowadziło do śmierci części z nich. Żydowskie ofiary maltretowali głównie ukraińscy mieszkańcy Lwowa (Polacy odgrywali w tym pogromie niewielką rolę), którzy zatrzymywali Żydów również w ich prywatnych mieszkaniach.

Najbardziej dramatyczne sceny rozegrały się w więzieniach, szczególnie w tzw. Brygidkach oraz przy ulicy Łąckiego (znaleziono tam ciało Jurija, brata Romana Szuchewycza). O udział w znęcaniu się tam nad Żydami oskarżano członków batalionu Nachtigall. Biorąc pod uwagę zeznania świadków, nie ulega wątpliwości, że niewielka grupa nachtigallowców uczestniczyła w tych działaniach, ale zasadniczo ich zaangażowanie w ten proceder było incydentalne.

Inaczej sprawa wyglądała z zaangażowaniem członków Einsatzgruppen (EG). Po południu 30 czerwca do Lwowa



Dziedziniec więzienia przy ul. Łąckiego, ofiary zbrodni NKWD

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

dotarł jeden z pododdziałów EG C – Sonderkommando 4b pod wodzą SS-Sturmbannführera Günthera Herrmanna. 1 lipca wzmocniły je Einsatzkommando 5 i Einsatzkommando 6. Tego dnia jeden z oficerów EG C wygłosił przemówienie wzywające do dokonania odwetu na Żydach. Niemcy bez wątpienia podżegali Ukraińców do mordowania Żydów, a także sami ich zabijali (ok. 100 zamordowali w Brygidkach). W sumie liczba ofiar pogromu zakończonego 2 lipca wyniosła od 500 do 700 osób. Ten wybuch przemocy dokonanej pod „parasolem ochronnym" Wehrmachtu stanowił – jak się miało okazać – zapowiedź dalszych antyżydowskich działań eksterminacyjnych podjętych we Lwowie (nie tylko przez Niemców) już na pełną skalę w kolejnych dniach, miesiącach i latach.

Jeszcze w lipcu Niemcy zorganizowali tzw. Dni Petlury. Trudno jednak uznać te krwawe wydarzenia (25–27 lipca) za klasyczny pogrom właśnie z uwagi na ich planowy charakter, gdyż w tych masakrach nie było niczego spontanicznego. W trakcie Dni Petlury Żydów mordowało Einsatzkommando z.b.V. Lemberg, a funkcjonariusze ukraińskich formacji pomocniczych pomagali w eksterminacji, m.in. doprowadzając żydowskie ofiary. Zamordowano wówczas najprawdopodobniej 1726 osób.

Mord na profesorach

Einsatzkommando z.b.V. Lemberg pojawiło się we Lwowie już 2 lipca. Jego celem była fizyczna eliminacja grupy miejscowych polskich naukowców. Niestety, nie sposób dzisiaj zrekonstruować, jakimi kryteriami posługiwali się Niemcy, mordując tych konkretnych uczonych. Jest natomiast bezspornym faktem, że listę nazwisk naukowców opracowali jeszcze w 1939 r. członkowie OUN (jednym z nich był wspomniany Jewhen Wreciona), nie znając jednak jej przeznaczenia.

W dniach 2–3 lipca 1941 r. niemiecka Sipo (Policja Bezpieczeństwa) przy udziale ukraińskich tłumaczy aresztowała uczonych, członków ich rodzin oraz osoby, które przebywały w mieszkaniach naukowców. Zabrano ich i umieszczono w Bursie Abrahamowiczów, skąd członkowie EK z.b.V. Lemberg wywieźli ich (jedna grupa szła pieszo) i rozstrzelali nad ranem 4 lipca 1941 r. na Wzgórzach



Upokarzanie Żydówek podczas pogromu

FOT. YAD VASHEM

eprasa.pl 6f4955209e



Pomnik lwowskich profesorów zamordowanych przez Niemców

FOT. M. KULCZYŃSKI/PAP



Niemiecki żołnierz i ukraiński policjant na lwowskiej ulicy

FOT. NAC

Wuleckich. W gronie 37 osób zamordowanych tego dnia znaleźli się pracownicy lwowskiego uniwersytetu, instytutu medycznego, politechniki, szpitala miejskiego i instytutu weterynaryjnego (dawnej polskiej Akademii Medycyny Weterynaryjnej). Kolejne osoby zabito w dniach 4 lub 5 lipca i 26 lipca (tego dnia rozstrzelany został były premier RP Kazimierz Bartel), co wydłużyło listę ofiar do 45. W latach powojennych o dokonanie mordu na profesorach oskarżano Ukraińców z batalionu Nachtigall, co było elementem kampanii dyskredytacji byłego oficera tej jednostki Theodora Oberländera, który po wojnie był ministrem w rządzie Konrada Adenauera.

1 sierpnia 1941 r. Lwów i cała Galicja Wschodnia zostały włączone do GG jako Dystrykt Galicja. Jego pierwszym gubernatorem był Karl Lasch, a od stycznia 1942 r. do końca niemieckiej okupacji funkcję tę pełnił Otto Wächter. Natomiast Lwowem kierował od początku 1942 r. dr Egon Höller. W mieście okazyjnie pojawiał się generalny gubernator Hans Frank. Takim ważnym momentem był 28 kwietnia 1943 r., gdy w budynku władz miejskich miało miejsce uroczyste powołanie do życia dywizji Waffen-SS złożonej z ukraińskich ochotników, która znana była później jako 14. Waffen-Grenadier-Division der SS (Galizische Nr. 1). Z tej okazji w katedrze św. Jura odbyło się nabożeństwo, które odprawił abp Josyf Slipyj.

We Lwowie działały prężnie struktury podziemia polskiego związanego z ZWZ-AK oraz ukraińskiego związanego ze strukturami OUN-B (w mniejszym stopniu z OUN-M). O ile funkcjonowanie lwowskiej AK jest w miarę dobrze znane, o tyle zdecydowanie mniej wiadomo o działalności OUN-B. Ważnym epizodem w historii tej organizacji były aresztowania członków frakcji banderowskiej, do których doszło 21 listopada 1942 r. w mieszkaniu rodziny Sawczuków, znajdującym się przy ulicy Żulińskiego 7. Zatrzymano wtedy pięć osób. W czasie tej akcji w ręce Sipo niemal wpadł Dmytro Majiwski „Kosar", referent propagandy Prowydu OUN-B. W czasie próby zatrzymania zastrzelił on SS-Sturmscharführera Gerharda Scharfa oraz ranił innego funkcjonariusza niemieckiego. Pomimo odniesionych ran (trafiły go dwie kule) Majiwskiemu udało się uciec przez okno. W odwecie za ten czyn 27 listopada Niemcy rozstrzelali 80 Ukraińców oskarżanych o przynależność do OUN-B (wśród nich był brat żony Bandery).

Ciekawostką związaną z przedstawionymi wyżej wydarzeniami jest to, że w aresztowaniach z 21 listopada 1942 r. prawdopodobnie uczestniczył Jan Balicki, oficer Polskiej Policji Kryminalnej (Polacy stanowili zdecydowaną większość spośród 210 funkcjonariuszy tej formacji we Lwowie, natomiast w mieście i w całym dystrykcie nie było struktur Polnische Polizei, funkcjonowała za to Ukrainische Hilfspolizei). Tuż przed wojną Balicki pracował w Gdyni na stanowisku naczelnika Wydziału Śledczego Komendy Policji Państwowej. Po kampanii wrześniowej trafił do niewoli, z której został zwolniony, gdy wyraził chęć służby w Polskiej Policji Kryminalnej. W jej trakcie został członkiem AK, przyjmując pseudonim Czerwiński. Po wojnie NKWD aresztowało go w Polsce, skończył w ZSRS z 20-letnim wyrokiem łagru. Zmarł w 1947 r. podczas odbywania kary.



Władysław Filipkowski, komendant Obszaru Lwowskiego AK (1943–1944)

FOT. IPN

Szczęście Starucha

Ukraińskie podziemie we Lwowie poniosło wkrótce większe straty. Już 4 grudnia 1942 r. na Placu św. Jura został aresztowany w zasadzce Jarosław Staruch „Synij", referent organizacyjny Prowydu OUN-B. Tego samego dnia ujęto Iwana Kłymiwa „Łehendę", krajowego prowidnyka na ZUZ (ukr. Zemle Zachidnoji Ukrainy). Ten ostatni, poza podaniem imienia, nazwiska oraz pseudonimu, postanowił milczeć w czasie śledztwa, co skończyło się dla niego śmiercią.

Nieco więcej szczęścia miał Jarosław Staruch, który choć również torturowany, przeżył uwięzienie na ulicy Łąckiego. Ten przyszły prowidnyk Zakerzonskiego Kraju nawiązał kontakt z podziemiem OUN-owskim za pośrednictwem jednego z ukraińskich strażników z Sonderdienstu (autonomiczna formacja policyjna w GG złożona z volksdeutschów). Innym jego kanałem porozumiewania się ze światem zewnętrznym były kontakty Lecha Sadowskiego „Wasyla", kierującego

eprasa.pl 6f4955209e

Biurem Informacji i Propagandy Obszaru Lwowskiego AK, z którym przebywał w jednej celi.

Ostatecznie to właśnie dzięki „Wasylowi", który zapewnił sfałszowane dokumenty nakazujące przewiezienie osadzonych z więzienia przy ulicy Łąckiego do siedziby gestapo przy ulicy Pełczyńskiej, członkowie SB OUN odbili 13 września 1943 r. Starucha i Dmytro Hrycaja (szefa Krajowego Sztabu Wojskowego OUN-B). Pomocy udzieliło im sześciu Ukraińców z Sonderdienstu, którzy po akcji zdezerterowali ze służby. Wyprowadzili oni konspiratorów poza mury więzienia, gdzie czekała już na nich grupa SB OUN, którą dowodził Kostiantyn Ćmoć „Modest" (akcję zorganizował Dmytro Kupiak „Klej").

We Lwowie swoją działalność prowadził znany sowiecki dywersant IV Zarządu NKWD, Nikołaj Kuzniecow występujący pod fałszywym nazwiskiem Paula Sieberta. 9 lutego 1944 r. Kuzniecow wraz dwoma pomocnikami – Polakiem Janem Kamińskim i Iwanem Biełowem – dokonał na ulicy Leitenstrasse zamachu na wychodzących z domu wicegubernatora dystryktu galicyjskiego Ottona Bauera i szefa kancelarii dystryktu Heinricha Schneidera. Obaj trafieni zostali w klatkę piersiową i brzuch, i natychmiast zmarli. Zanim wszyscy trzej zamachowcy opuścili miasto, udało im się jeszcze zabić dwóch żołnierzy Luftwaffe, a podczas ucieczki ze Lwowa na posterunku kontrolnym zastrzelili majora żandarmerii polowej. Jednak 2 marca 1944 r. we wsi Boratyń ich szczęśliwa passa dobiegła końca. Natknęli się bowiem na jedną z czot (plutonów) sotni UPA Mychajło Karpija „Czarnohory". Zapewne za późno zorientowali się, że nie mają do czynienia z Sowietami, lecz upowcami i ten błąd kosztował ich życie. Wszyscy trzej zginęli (Kuzniecow prawdopodobnie popełnił samobójstwo).

Czekając na „Burzę"

Jesienią 1943 r. do Lwowa dotarły echa toczącego się na galicyjskiej prowincji konfliktu. Z uwagi na większość polską oraz stacjonujące w mieście siły niemieckie nie przybrały on charakteru otwartej konfrontacji zbrojnej połączonej z eksterminacją Polaków, choć odnotowano – na szczęście nieliczne – ofiary. 11 września 1943 r. z rąk członków Kedywu (możliwe, że warszawskiego) od strzału w głowę poniósł śmierć prof. fizyki i dziekan lwowskiego Uniwersytetu Medycznego Andrij Łastowecki (przed nim AK zabiła we Lwowie w 1943 r. cztery osoby – członka OUN i trzech policjantów). Łastoweckiego zabito za rzekome nieprzyjmowanie na studia polskich studentów (był to nieprawdziwy zarzut). Trzy tygodnie później Ukraińcy dokonali zabójstwa polskiego profesora Bolesława Jałowego. Jednak dzięki rozmowom udało się rozładować napięcia, stąd względnie niska liczba ofiar tych zajść.



Żołnierze lwowskiego Kedywu AK przed gmachem Politechniki. Lipiec 1944 r.

FOT. ŚWIATOWY ZWIĄZEK ŻOŁNIERZY AK

Rok 1944 rozpoczął się od ataków na dwóch członków OUN-B, po czym ostrze zamachów wymierzone było przede wszystkim w funkcjonariuszy ukraińskiej policji (UPP). Na ulicach Lwowa zaczęło dochodzić do zabójstw Polaków dokonywanych przez UPP. Ponieważ nikt po stronie ukraińskiej nie doprowadził do ukrócenia tego procederu, struktury Kedywu rozpoczęły akcję o kryptonimie „Nieszpory". Według polskich meldunków w dniach 9 i 11 marca zabito 11 funkcjonariuszy UPP. Dokumenty ukraińskie potwierdzają liczbę zabitych, a ponadto wymienione są w nich cztery ofiary zabite pomiędzy 6 a 8 marca.

Najważniejszym zadaniem postawionym przed członkami polskiego podziemia we Lwowie była realizacja akcji „Burza", co w ówczesnych realiach oznaczało wsparcie militarne dla wkraczających do miasta oddziałów okupacyjnej Armii Czerwonej. Należy zauważyć, że decyzję o tego rodzaju współdziałaniu podejmowano posiadając już wiedzę dotyczącą rozbrojenia przez Sowietów sił AK pod Wilnem po zakończeniu operacji „Ostra Brama". Zasoby kadrowe AK przydzielone do pięciu dzielnic w samym Lwowie wynosiły ok. 5 tys. osób, ale uzbrojeniem dysponowała mniej niż połowa żołnierzy.

Pomimo opuszczenia miasta przez większość oddziałów niemieckich w dniach 17–19 lipca, lokalne dowództwo AK na szczęście nie pokusiło się o samodzielną próbę zajęcia Lwowa (wokół miasta znajdowały się frontowe dywizje niemieckie). Dopiero 22 lipca ponad tysiąc akowców z Dzielnicy Wschód (według nomenklatury AK) wsparło wdzierające się do miasta pododdziały sowieckiego 10 Korpusu Pancernego. Dzień później liczba kierunków natarcia uległa zwiększeniu.

Praktycznie bez walki akowcy opanowali całą Dzielnicę Południe. Początkowo znacznie gorzej poszczęściło im się w Dzielnicy Zachodniej, gdzie oddziały AK atakujące w kierunku Kortumowej Góry zostały rozproszone, a Niemcom udało się odbić Lewandówkę i Sygniówkę. W Dzielnicy Północ, nasyconej znacznymi siłami niemieckimi, grupy AK aż do 25 lipca nie podejmowały aktywnych działań, choć udało im się opanować gazownię miejską. Nad ranem 28 lipca 1944 r. walki w mieście wygasły. W tym momencie rozpoczął się ostatni akt tragedii metropolii Semper Fidelis, która ostatecznie znalazła się w granicach ZSRS.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Himka J.P., ***„The Lviv Pogrom of 1941: The Germans, Ukrainian Nationalists, and the Carnival Crowd"***; *Mazur G., Skwara J., Węgierski J.*, ***„Kronika 2350 dni wojny i okupacji Lwowa (1 IX 1939–5 II 1946)"***; *Moroz W.*, ***„Літопис УПА Нова серія, том 21. ЯРОСЛАВ СТАРУХ Документи і матеріали"***; *Рябенко С.*, ***„Українська міліція Львова: »бандерівська« чи »робітничо-селянська«?"***; *Schenk D.*, ***„Noc Morderców. Kaźń polskich profesorów we Lwowie i holokaust w Galicji Wschodniej"***; *Struve K.*, ***„Deutsche Herrschaft, ukrainischer Nationalismus, antijüdische Gewalt. Der Sommer 1941 in der Westukraine".***

eprasa.pl 6f4955209e



Lata 1944–1946 / Ostatni akt depolonizacji Lwowa

Agonia polskości

Polski herb, biało-czerwona flaga i sowiecki czołg na lwowskiej ulicy, lipiec 1944 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA



Jakub Ostromęcki

Ponieważ nie udało się przekonać polskich Lwowian do wyjazdu propagandą, Sowieci sięgnęli po kij

Lato 1944 r. dla przeciętnego Lwowiaka nie zapowiadało się najgorzej. Na budynkach publicznych powiewały polskie flagi wywieszone podczas akcji „Burza". Pod nosem armii sowieckiej można było śpiewać na cały głos: „Niech żyje orzeł biały". O tym, że przywódcy Armii Krajowej zostali podstępnie przez Sowietów aresztowani, ludzie dowiedzieli się na początku sierpnia i były to wiadomości przekazywane szeptem. Twierdzono jednak, że to „sytuacja przejściowa" i żołnierze AK zaraz „powrócą do swoich".

Komunistyczny Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, będący tylko wykonawcą moskiewskiego dzieła przesiedleń, 9 września 1944 r. podpisał z sowiecką Ukrainą (faktycznie z ZSRS) umowę o wymianie ludności. Wywieźć można było do 100 rubli i maksymalnie dwie tony dobytku. Kto chciał zostać, musiał się liczyć z utratą obywatelstwa polskiego i przyjęciem sowieckiego.

Przez kilka miesięcy Sowieci, jakże inaczej niż w roku 1939, pozorowali szacunek dla polskich symboli narodowych. 11 listopada Stalin przesłał kurtuazyjne życzenia szefowi PKWN Edwardowi Osóbce-Morawskiemu. Salę teatru we Lwowie zdobiły tego dnia biało-czerwone barwy oraz godło z „piastowskim" orłem, który – jak wiemy – piastowski nie był. W środku dało się jednak już wyczuć nadchodzące zmiany. Zanim na scenę weszli aktorzy, odegrano najpierw hymn sowiecki, a dopiero potem „Mazurka Dąbrowskiego". Według komunistycznego „Czerwonego Sztandaru" jacyś polscy handlarze siedzący w trzecim rzędzie nie okazali sowieckiej pieśni należytej czci, wstając dość opornie, a potem ostentacyjnie kaszląc w czasie przemówień dygnitarzy. Manifestacja w dniu Wszystkich Świętych odbyła się bez przeszkód. Na Cmentarzu Obrońców Lwowa zapalono wielki znicz, ale potem doszło do kilku aresztowań. W szkołach obchodzono jeszcze rocznice polskich powstań, na 1946 r. planowano huczne świętowanie rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja. W listopadzie 1944 r. odbył się uroczysty pogrzeb abp. Bolesława Twardowskiego. Tysiące ludzi przemaszerowały ku Cmentarzowi Łyczakowskiemu, ale w tłum celowały już lufy sowieckich czołgów. Kilka dni później miasto żegnało Stefana Banacha. Był to ostatni katolicki pogrzeb, w którym pozwolono konduktowi na przemarsz przez miasto.

Łacina z kanałów

Polacy generalnie cieszyli się w 1944 r. z wejścia Sowietów, bo oznaczało ono koniec wywózek na roboty do Reichu i koniec ludobójstwa organizowanego przez UPA. Pytano jednak, dlaczego nie ma tu armii Berlinga. Odpowiedź zapowiadała kłopoty: „Polska armia znajduje się na terytorium Polski, a nie zachodnich obwodów Ukrainy". Naszą postawę dalej cechowała jednak naiwność. Charakterystyczne są dwie wypowiedzi cytowane w monografii Piotra Olechowskiego pt. „Agonia Polaków we Lwowie 1944–1959": „Aktualny porządek powinien się zmienić w rezultacie interwencji anglo-amerykańskiej i konferencji Mikołajczyka w Moskwie. Radzieckie wojska prawdopodobnie odejdą […], zostawią Lwów i Wilno dla Polski" oraz: „Głupi są ci Polacy, którzy wyjeżdżają do Polski. Lwów i tak będzie Polski". Autorem pierwszej był lekarz, drugiej – jezuita. Duchowny oprócz tego, że naiwny, to jeszcze pogubił się w pojęciach, bo w opinii przeciętnego Lwowiaka nikt do Polski nie musiał wyjeżdżać, ponieważ Lwów był właśnie Polską.

Nie brakowało jednak przedstawicieli elit, którzy gotowi byli żyć w Polsce sowieckiej. NKWD stworzyło nawet listę 34 takich postępowych badaczy i artystów.

eprasa.pl 6f4955209e



Wysiedleni z Kresów Wschodnich na stacji na Dolnym Śląsku

FOT. IPN

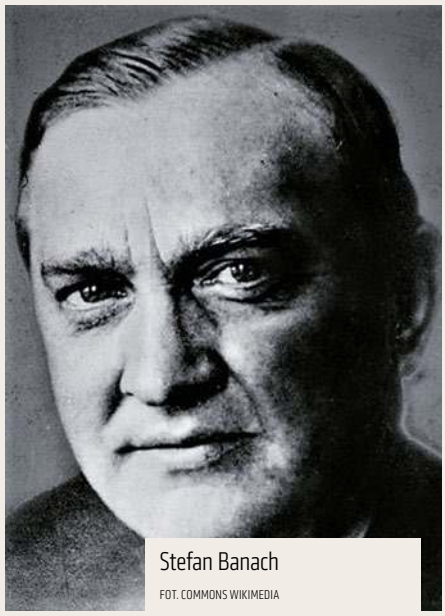
Za San, z powodów czysto bytowych, nie ideowych, chcieli jechać natychmiast robotnicy z miejskiej gazowni.

W 1945 r. do Lwowa przyjeżdżał kilka razy Stanisław Grabski, wówczas tolerowany przez komunistów wiceprzewodniczący Krajowej Rady Narodowej. 25 sierpnia 1945 r. przekonywał Polaków do wyjazdu i studził nastroje naiwnych czekających na nową wojnę. Straszył, słusznie, że byli urzędnicy mogą pójść do łagru, a na pewno nie znajdą w Sowietach godziwej pracy. Robotników przekonywał, że w nowej Polsce żyć będą lepiej niż w starej. W październiku 1945 r. Grabski pomógł stworzyć Komitet Pomocy Społecznej, ale wbrew jego założeniom zdominowali go komuniści. Tragiczny był to polityk, bo drugi raz w życiu nazwano go zdrajcą. Pierwszy raz po pokoju w Rydze, który pozostawił Polaków z dalekiej Białorusi na żer bolszewikom, drugi raz za oddawanie Sowietom Lwowa.

Początkowo Polaków do wyjazdu zachęcano za pomocą propagandy. Prym wiódł tu „Czerwony Sztandar". Polacy jednak wyjeżdżać nie chcieli. Trzeba było ich do tego zmusić. Na początku stycznia 1945 r. NKWD i NKGB aresztowały zatem ok. 3 tys. osób (dotychczas przytaczana liczba 17 tys. jest podawana przez badaczy w wątpliwość). Zarzut był ten sam co zwykle: „działalność antyradziecka" czy „poplecznictwo wobec Niemiec", którymi mogły być np. współpraca z polskimi organizacjami podziemnymi w okresie okupacji niemieckiej lub po prostu bycie duchownym katolickim. Był to czas, kiedy łacina zeszła do kanałów, w sensie dosłownym. Osadzeni w więzieniu przy ul. Łąckiego księża i zakonnicy porozumiewali się przez starą rurę od klozetu, używając do tego łaciny, której sowieccy bezpieczniacy nie znali.

„Kiedy wyjeżdżacie?"

Maria Kulczyńska aresztowana została za to, że pracowała we lwowskiej delegaturze rządu, a potem wydawała konspiracyjne pismo. Przez ścianę przepełnionej celi słyszała krzyki zabijanych i przesłuchiwanych, jednak większość więźniów nie była bita. Po kilku tygodniach wywieziono ją wraz z innymi więźniarkami do Donbasu. Straszna i typowo sowiecka była to podróż. W bydlęcym wagonie, gdzie inteligencja przemieszana była z kryminalistami, w mrozie, bez wystarczającej ilości wody i jedzenia. Większość więźniów wysłano, jak na rozmiary ZSRS, całkiem niedaleko, bo do kopalń Donbasu, gdzie warunki zakwaterowania były już lepsze. Ale byli też tacy, których zesłano na Sybir, np. za posiadanie radia. Do więzienia można było też trafić za nielegalny handel; Polacy masowo pozbywali się drogocennych gabarytów, chcąc wyjechać z bezpieczniejszą gotówką. Były też skrytobójstwa. Przykładowo: Janusz Witwicki został zamordowany za to, że chciał wywieźć do Wrocławia wykonaną przez siebie makietę Lwowa, którą upatrzył sobie Chruszczow (I sekretarz partii na Ukrainie). Ostatecznie trafiła ona jednak do Wrocławia.



Stefan Banach

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Były i inne, mniej brutalne represje. Polakom zabierano mieszkania lub dokwaterowywano im sowieckich oficerów z rodzinami, którym wyznaczano najlepsze pokoje. Opornych łamano donosami i prowokacjami, np. poprzez podrzucenie pistoletu do szafy, który odnajdywał się w czasie „przypadkowej" rewizji. Mieszkający pod Lwowem rolnicy dostawali domiar podatkowy niemożliwy do spłacenia i kwalifikowani byli jako kułacy, co musiało kończyć się bankructwem. Podobny los spotykał prywatne warsztaty. Za sprzątanie Cmentarza Łyczakowskiego można było natomiast dostać mandat, ponieważ zgarnianie liści na stertę było traktowane jako... zaśmiecanie terenu. Patrole milicji ni stąd, ni zowąd pytały polskich mieszkańców: „Kiedy wyjeżdżacie?".

Ruszyła, choć z oporami, rusyfikacja szkolnictwa i kultury. Wbrew nakazom Chruszczowa nie udało się zatrudnić wystarczającej liczby nauczycieli mówiących po rosyjsku. Brakowało też podręczników. Tak więc w 1944 r. na 26 szkół średnich w 16 uczono po polsku, w ośmiu po ukraińsku, a tylko w dwóch po rosyjsku. W szkołach polskich oczywiście uczono według programu sowieckiego. Nie wolno było odwoływać się do „ducha polskiego burżuazyjnego państwa demokratycznego". Kuratorzy piętnowali świętowanie „polskich świąt Bożego Narodzenia" lub grozili palcem za to, że w czasie omawiania dzieł Żeromskiego nie mówi się o walce klas. Jedną z ostatnich premier w Państwowym Polskim Teatrze Dramatycznym wystawiono w czerwcu 1945 r. Była to „Moralność Pani Dulskiej".

Opór przeciwko tym działaniom był zgoła symboliczny. AK została wszak zdziesiątkowana przez styczniowe aresztowania. W zamachach straciło życie, być może z rąk podziemia, dwóch polskich komunistycznych agitatorów: Zdzisław Bieliński, gorący propagator idei sowieckiego Lwowa, i Donat Langauer, szykujący dla bezpieki listy najbardziej wrogich systemowi Polaków. Na ulicach Lwowa pod więzieniami i aresztami przy

eprasa.pl 6f4955209e



Panorama Plastyczna Dawnego Lwowa autorstwa Janusza Witwickiego

FOT. TOMASZ STAŃCZYK

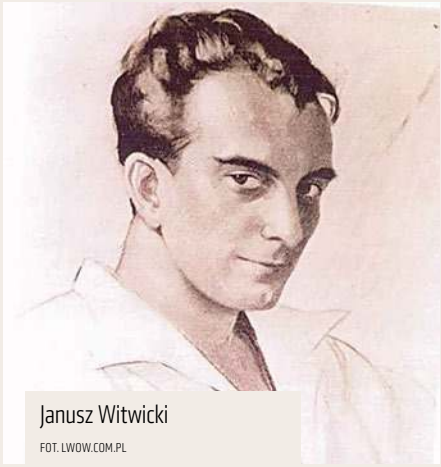
Łąckiego i Kadeckiej, gdzie trzymano Polaków, zapłonęły ustawiane skrycie znicze.

Życie stawało się nieznośne. Represje oraz wyjazd abp. Eugeniusza Baziaka gwałtownie przyspieszyły ekspatriację. Według szacunków wyjechało od 84 tys. do 104 tys. Polaków. Pod koniec listopada „okienko" ekspatriacyjne zostało zamknięte. Polacy, którzy zostali w mieście, robili to głównie z powodów osobistych, rodzinnych lub liczyli na to, że jako sowieccy obywatele utrzymają dotychczasowe miejsca pracy.

Reakcjonista Sobieski

Po ludziach zaczęli znikać patroni ulic. Latem 1946 r. można było spacerować po mieście, widząc polskie nazwy, po grudniu zmieniło się to radykalnie, choć pozostawiono ulice Mickiewicza i Słowackiego (obaj poeci sprzyjali ludowi ukraińskiemu i zwalczali carat), a także Kopernika. Ciekawy był los ulicy Leona Sapiehy, który w 1944 r. musiał ustąpić Stalinowi. W 1961 r. sowiecki tyran wyparty został przez Pokój, który z kolei w 1992 r. ustąpił miejsca Stepanowi Banderze.

Zaczął się też demontaż pomników. Do każdej likwidacji podano uzasadnienie. Jan III Sobieski „nie dał się ocenić pozytywnie w kontekście interesów i wartości narodu ukraińskiego". Anatemy przez chwilę unikał rówieśnik Sobieskiego, hetman Stanisław Jabłonowski. Zdecydowano jedynie, że pomnik ma nikłą wartość artystyczną, co w ustach twórców socrealistycznych Leninów z przerośniętymi głowami tudzież postaci kołchoźników wykonanych z desek i szmat, było całkiem zabawne. Potem dopatrzono się, że Jabłonowski wojował z Chmielnickim, więc hetman skończył jako reakcjonista.



Janusz Witwicki

FOT. LWOW.COM.PL

Nie spodobał się też Agenor Gołuchowski jako „reakcjonista i szowinista, prowadzący politykę przemocy wobec narodu ukraińskiego". Dostało się też Franciszkowi Smolce, który podobno zmuszał naród ukraiński do sypania Kopca Unii Lubelskiej. Szef sowieckich architektów Nikołaj Pietrowskij skrupulatnie odnotował też obecność kul armatnich w elewacji lwowskiej katedry łacińskiej. Pietrowskij twierdził, że kule te pochodzą z czasów wojny z bolszewikami i jako symbol oporu polskiej reakcji powinny z kościoła zniknąć. Po prawdzie pochodziły one albo z czasów powstania Chmielnickiego, co z naszej perspektywy sprawy nie polepszało, albo najazdu tureckiego – co było politycznie bezpieczniejsze. Ostatecznie kule w elewacji zostały i są tam do dziś, a archikatedra jakimś trafem nie została zamieniona w magazyn lub muzeum ateizmu. Wspomniane pomniki stały na swoich miejscach do roku 1949. Potem pod młot poszli Gołuchowski, Jabłonowski, Smolka i wiele tablic pamiątkowych. Ocalały Pomnik Kornela Ujejskiego przewieziony został do Szczecina, Aleksandra Fredry stanął we Wrocławiu, a Jana III Sobieskiego, po wielu perypetiach, zadomowił się w Gdańsku. Cytowany przez Piotra Olechowskiego Czesław Baran wspominał: „Czuliśmy, że w opuszczonym przez rodaków mieście i ci ostatni obrońcy Ojczyzny nas opuszczają". Nie wszyscy jednak Lwów opuścili. Okaleczane i zdewastowane, ukryte na obrzeżach centrum ostały się pomniki Jana Kilińskiego, Bartosza Głowackiego i Adama Mickiewicza oraz kilka tablic pamiątkowych. Swoistą ostoją polskości pozostawał cały czas Cmentarz Łyczakowski.

Depolonizacja miasta nie mogła się obyć bez desakralizacji świątyń. I tak po 1946 r. Kościół Dominikanów stał się Muzeum Religii i Ateizmu, a w budynkach klasztornych urządzono archiwum. Pozostałe kościoły zamieniono w magazyny biblioteczne, filmowe czy fabryczne. W Klasztorze Karmelitanek Bosych powstała centrala telefoniczna, u karmelitów warsztaty, a u saletynów skład artykułów chemicznych.

Co ciekawe, polska ludność Lwowa wzrosła na przełomie lat 40. i 50.; do miasta zaczęli przybywać wypuszczeni łagiernicy. Nie mogli oni dostać się do Polski i skazani zostali na życie w sowieckim Lwowie, z sowieckim obywatelstwem w kieszeni. Jeden z nich, Stanisław Adamski, udał się do Moskwy do polskiej ambasady z prośbą o pomoc. Tam przyjął go attaché wojskowy w stopniu majora LWP i po rosyjsku sucho stwierdził: „Ambasada to nie instytucja charytatywna, a zwolnieni łagiernicy nie są Polakami, lecz obywatelami sowieckimi". Trudno o większe upokorzenie.

Burżuazyjne andrzejki

Po śmierci Stalina władze sowieckie zdecydowały się uruchomić „drugą repatriację", która trwała od 1955 do

eprasa.pl 6f4955209e

1959 r. W efekcie we Lwowie pozostało już tylko 16 tys. Polaków. W 1989 r. liczba ta spadła do 9 tys.

W latach 1946–1959 istniały we Lwowie trzy polskojęzyczne szkoły średnie, z których do upadku Sowietów dotrwały dwie. Instytucje te z biegiem lat stawały się coraz mniej polskie. Tępiono w nich nawet tak niewinne wydarzenia jak andrzejki, które miały być „przykładem podtrzymywania tradycji religijnych". Krytykowano nawet mówienie sobie „cześć", co uznawano za zwyczaj endecki i harcerski (czyli burżuazyjny). Na lekcjach języka polskiego nie wolno było używać słów „dusza" i „pani", mających ponoć charakter antysowiecki.

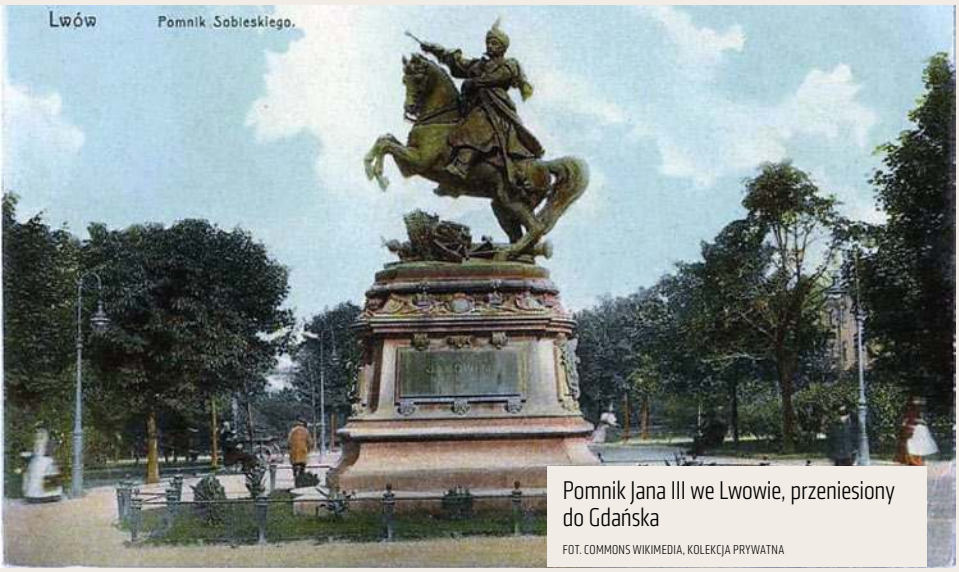
Polska młodzież nie garnęła się do Komsomołu, co było piętnowane i odbiło się na polityce oświatowej miasta. Cudem udało się zorganizować eksternistyczną maturę dla młodzieży powracającej z łagrów i zesłania. W 1959 r. tylko jedna trzecia nauczycieli tych trzech szkół średnich uważała się za Polaków. Dzieła sowietyzacji placówek edukacyjnych dopełniła naturalna wymiana pokoleń.

Mimo tak ponurej atmosfery garstka Polek, często wdów, próbowała przekazywać młodzieży dawne wartości. Działały nieformalne grupy pomocy społecznej prowadzone przez potomkinie Ledóchowskich i Zamoyskich. W środowisku lwowskich Polaków bardzo znane stały się Jadwiga i Irena Zappe. Choć z wykształcenia były raczej przyrodniczkami, to podjęły się nieformalnego nauczania historii Polski, zasad wiary katolickiej, literatury i języka polskiego. Na prowadzonych przez nich zajęciach nieraz gnieździło się po kilkadziesiąt osób.

Władze sowieckie tolerowały ten proceder do roku 1976. Siostry Zappe zostały wówczas oskarżone o tworzenie organizacji konspiracyjno-wywrotowej. Dzieci wzywane na przesłuchania zeznawały jednak jak jeden mąż na korzyść sióstr. Obeszło się bez więzienia, ale liczbę słuchaczy trzeba było znacznie ograniczyć. Obie panie Zappe zmarły długo po upadku Sowietów.

W niemieckich kamienicach

Wypędzeni Lwowiacy przybywali do domów wypędzonych. Na przykład Maria Woś wprowadziła się we Wrocławiu do mieszkania, które do 1945 r. zajmował wraz z rodzicami Niemiec, jej rówieśnik, który – podobnie jak jej syn – został potem architektem, ale w Hanowerze. Po ekspatriacji Polakami miotały skrajne uczucia wobec dawnego miasta. Jedni oddawali go „bez żalu", inni byli tą postawą oburzeni, pozostając Lwowiakami do końca życia. Woś pisała: „Nigdy, ale to nigdy, nie mówiłyśmy, jak wielu innych wyjeżdżających, że »jedziemy do Polski«



Pomnik Jana III we Lwowie, przeniesiony do Gdańska

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KOLEKCJA PRYWATNA



Irena i Jadwiga Zappe

FOT. IPN

albo że coś tam »w Polsce«. Uważałyśmy, że tylko ludzie niekochający Lwowa tak mówią, jacyś zgoła zdrajcy albo tumany, bo parzcież Lwów to Polska, a my po prostu wyjeżdżamy na zachód i osiedlamy się z konieczności (oczywiście tylko na jakiś krótki czas, no może na trzy miesiące) na zachodzie". Przed wojną Kornel Makuszyński miał powiedzieć: „Najbardziej solidarni na całym Bożym świecie są Lwowianie". W myśl tej tezy niejeden wrocławski profesor jeszcze wiele lat po wojnie dobierał ludzi do zespołu naukowego według lwowskiego klucza.

Nie wszyscy kultywowali jednak pamięć o dawnym mieście. Cytowana przez Woś matka jednej z wrocławskich komunistycznych aktywistek powiedziała do córki pewnego razu: „Madziu, mieliśmy we Lwowie dom i auto". Na co córka odpowiedziała: „No i dobrze, że nie macie, bo jużeście się zrobili takie mieszczuchy ze wstyd". Pamięć o Lwowie z czasem zanikała wśród kolejnych pokoleń. Woś realistycznie, ale z goryczą kwitowała: „Dzieci, które już miały swoich kolegów, swoje przedszkola i szkoły, ciągle się bały, że rodzice któregoś dnia spakują manatki i każą im jechać do tego jakiegoś okropnego Lwowa".

Po roku 1990 pojawiła się szansa na odrodzenie polskiego życia we Lwowie. Działania te są jednak ściśle koncesjonowane przez władze miasta, na czele z Andrijem Sadowym, merem Lwowa. Dobrym przykładem jest tu los Liceum nr 10, któremu przywrócono patrona w postaci św. Marii Magdaleny. Wcześniej jednak zainstalowana została na fasadzie budynku tablica pamiątkowa ku czci kata Polaków, Romana Szuchewycza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f4955209e



Rzeźba na grobowcu rodziny Dzięcielowskich, Cmentarz Janowski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, AEOU

Wieki XVIII–XX

Gdy odeszli Polacy, mówią o nich kamienie nagrobków

Polskie „ogrody snu”



Anna Szczepańska

Nekropolie, z Cmentarzem Łyczakowskim i Cmentarzem Obrońców Lwowa na czele, są kroniką polskiej obecności w historii miasta zawsze wiernego Rzeczypospolitej

W polskiej historii są cztery cmentarze, które są nazywane Sepulcrum Patriae – grób ojczyzny, miejsca spoczynku najwybitniejszych Polaków. Są to: Cmentarz Powązkowski w Warszawie, Cmentarz Rakowicki w Krakowie, Cmentarz na Rossie w Wilnie i Cmentarz Łyczakowski we Lwowie” – mówi w rozmowie z „Historią Do Rzeczy” prof. Stanisław Sławomir Nicieja, autor książek „Cmentarz Łyczakowski we Lwowie 1786–1986” i „Cmentarz Obrońców Lwowa”, a także już ponad 20 książek z serii „Kresowa Atlantyda”. „Ten ostatni, mający na swym obszarze kwatery powstańców kościuszkowskich, listopadowych, styczniowych i z wojny polsko-ukraińskiej 1918–1919, czyli Cmentarz Orląt, jest jedną z najważniejszych nekropolii w dziejach polskich. Zwłaszcza jeśli chodzi nie tylko o wymiar patriotyczny, lecz także artystyczny. Bo autorami pomników nagrobnych na Łyczakowie jest cała plejada rzeźbiarzy klasy europejskiej. Ważny jest też Cmentarz Janowski, który ostatnio został dobrze opisany przez historyków szczecińskich. Wymazanie polskości na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie – co niestety postępuje – byłoby ograbieniem go nie tylko z polskości, ale byłoby też zepchnięciem na niewiele znaczące miejsce pochówków”.

Po pierwszym rozbiorze Lwów znalazł się w granicach monarchii Habsburgów. Panujący wówczas cesarz Józef II wprowadził reformy dotyczące tworzenia nowych cmentarzy. Zamknięto cmentarze przykościelne i wyznaniowe w obrębie miast. Ich władzom nakazano utworzenie cmentarzy poza nimi. Warunkiem było oddalenie od ujęć wody i zabudowań. Miało to przeciwdziałać epidemiom, ale i odpowiadało na problem kurczącego się miejsca na cmentarzach znajdujących się przy świątyniach. Pod koniec XVIII w. na obrzeżach Lwowa powstały cztery

eprasa.pl 6f4955209e

nowe cmentarze: Stryjski, Żółkiewski, Gródecki i Łyczakowski, przeznaczone dla głównych dzielnic miasta.

Łyczakowska nekropolia

Profesor Stanisław Nicieja wielokrotnie podkreślał, że Łyczaków to nie tyle nekropolia, co „ogród snu". Rzeczywiście, trudno wymienić wiele innych cmentarzy o tak niezwykłym klimacie, jak ta najstarsza i najrozleglejsza lwowska nekropolia.

„Cmentarz Łyczakowski we Lwowie jest jedną z najpiękniejszych w Europie nekropolii krajobrazowo-parkowych, gdzie obok dorodnych drzew, między którymi wiją się kapryśnie alejki i drożyny, usytuowano artystyczne nagrobki. Powstało w ten sposób swoiste muzeum rzeźby nagrobnej w parkowej scenerii. Ten cmentarz, ułożony na pagórkowatym terenie, niesie w sobie wielką pogodę i ukojenie. Nie ma tu żadnych akcesoriów grozy, żadnych napisów »memento mori«, trupich czaszek czy skrzyżowanych piszczeli" – mówi nam prof. Nicieja.

Cmentarz Łyczakowski został otwarty w 1786 r. Już w chwili powstania zaczęto traktować go jako miejsce szczególne, prestiżowe. W 1875 r. cmentarz ogrodzono, wznosząc ceglany mur i dwie główne bramy w stylu neogotyckim. Na przełomie wieków XIX i XX pojawił się pomysł, aby na cmentarzu wybudować katakumby jako miejsce spoczynku najwybitniejszych Polaków, lecz z powodu wysokich kosztów zaniechano jego realizacji. W 1861 r. na Łyczakowie, na grobie Walerego Łozińskiego, autora m.in. powieści „Zaklęty dwór", wzniesiono pierwszy pomnik zbudowany ze składek publicznych. Z czasem pojawiać zaczęło się coraz więcej pomników stawianych z datków. Ta praktyka wzmacniała poczucie wspólnotowości wśród Polaków z Galicji.

Na Łyczakowie grzebano najbardziej zasłużonych oraz najbogatszych Lwowian. Tu powstawały najpiękniejsze grobowce autorstwa m.in. Leonarda Marconiego, Juliana Zachariewicza, Parysa Filippiego, Cypriana Godebskiego i Tadeusza Barącza. Pod koniec XIX w. zaczęło pojawiać się też coraz więcej grobów ukraińskich; na Łyczakowie pochowano m.in. pisarza Iwana Franko. Obecnie znajduje się tu ok. 300 tys. pochówków.

W naszej historii ta nekropolia jest szczególnym miejscem pamięci o wybitnych Polakach. Pielgrzymowały tu (do rosyjskiej agresji w 2022 r.) z Polski wycieczki do grobów Marii Konopnickiej, Artura Grottgera, Seweryna Goszczyńskiego, Stefana Banacha, Gabrieli Zapolskiej, Karola Szajnochy, Oswalda Balzera, Konstantego Juliana Ordona i Władysława Bełzy. Na Cmentarzu Łyczakowskim odwiedzić można też kwaterę powstańców listopadowych oraz górkę powstańców styczniowych z charakterystycznymi, metalowymi krzyżami.

„Jest tu wiele rzeźb Hypnosa, starożytnego bożka snu, który zdaje się głosić: nie ma śmierci, jest tylko sen, wiekuisty sen. Nie należy bać się śmierci-wiekuistego snu, bo sen w życiu człowieka to ukojenie, eliminacja bólu i cierpienia. Tych bożków Hypnosów naliczyłem na Cmentarzu Łyczakowskim ponad 50. Z reguły są to rzeźby zamyślonego młodzieńca z naręczem makowin albo rozsypującego mak, który jest symbolem snu. Stąd tytuł jednego z tomów mojej książki o Cmentarzu Łyczakowskim: »Ogród snu i pamięci«. Bo uśpieni przez Hypnosa spoczywają w tym miejscu pod epitafiami informującymi, kim byli" – mówi prof. Nicieja. I dodaje: „Można tę opowieść snuć długo. Jest tu też wątek brata mitycznego bliźniaka Hypnosa, Tanatosa. Ale on jest okrutnikiem, odbiera ludziom życie. Przedstawiany jest z kosą, co znamy choćby z obrazów Jacka Malczewskiego, albo z pochodnią skierowaną w dół. Jeśli patrzeć na mitologię, to za każdym z nas chodzi Tanatos, bóg śmierci, który trzyma nad naszą głową uniesioną pochodnię życia. Ale gdy się zmęczy bądź zdenerwuje na człowieka, opuszcza pochodnię w dół i ją gasi; wówczas człowiek umiera. Na Łyczakowie spotkałem tylko jednego Tanatosa z kosą, wyrzeźbionego na kaplicy Borkowskich, którego dzisiaj zresztą już nie ma i kilkanaście figur Tanatosów, młodzieńców siedzących przy grobowcu zmarłego z wygaszoną pochodnią życia. Tak, Łyczaków to piękna kraina snu i pamięci o ludziach, którzy nie do końca odeszli".

Cmentarz Obrońców Lwowa

Wyodrębnioną część Cmentarza Łyczakowskiego stanowi Cmentarz Obrońców Lwowa, znany też jako Cmentarz Orląt Lwowskich. Polacy mówią o nim również Campo Santo, Miejsce Święte. Cmentarz Orląt powstał na wzgórzach Łyczakowa od strony dzielnicy Pohulanka. Jego twórcą był Rudolf Indruch, uczestnik walk o Lwów. Projekt młodego i zdolnego architekta, choć niemają-



Cmentarz Łyczakowski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DMYTRO PETISHKIN

eprasa.pl 6f4955209e

cego jeszcze nawet dyplomu, wygrał w konkursie. Indruch zaprojektował kaplicę stojącą w najwyższym miejscu cmentarza, położone poniżej, po jej obu stronach, katakumby oraz potężny Pomnik Chwały składający się z trzech pylonów i kolumnady. Przy wejściu ustawiono dwa kamienne lwy trzymające tarcze z napisami: „Zawsze wierny" oraz „Tobie Polsko". Na samym pomniku wyryto zaś napis: „Mortui sunt ut liberi vivamus" („Polegli, abyśmy żyli wolni"). Wśród pochowanych na Cmentarzu Obrońców Lwowa są m.in. Stanisław Nilski-Łapiński, szef sztabu obrony Lwowa, sanitariuszka Janina Prus-Niewiadomska, orlę lwowskie Antoś Petrykiewicz, pilot Stefan Stanisław Stec, gen. Tadeusz Rozwadowski. Charakterystycznym miejscem na Cmentarzu Orląt jest też Mogiła Pięciu Nieznanych z Persenkówki, gdzie złożono ciała pięciu niezidentyfikowanych obrońców Lwowa.

Warto również zwrócić uwagę na grób, z którego ekshumowano szczątki nieznanego żołnierza. Przewieziono je następnie do Warszawy i złożono w grobowcu pod kolumnadą Pałacu Saskiego. Cała przedwojenna Polska pielgrzymowała na Cmentarz Obrońców Lwowa, wznoszono tam kolejne pomniki i epitafia, także dzięki społecznym datkom. Łyczaków stał się miejscem jeszcze bliższym wszystkim naszym rodakom.

Kres polskiego Lwowa nadszedł wraz z drugą wojną światową. Choć po tzw. repatriacji wciąż żyli w mieście nieliczni Polacy, ale Sowieci robili wszystko, aby jak najbardziej zatrzeć ślady polskości tych ziem. Cmentarz Łyczakowski, a szczególnie Cmentarz Obrońców Lwowa, stał się tego szczególnym przykładem. Już pod koniec lat 40. sowieckie władze zaczęły dewastować Cmentarz Orląt. Nekropolia miała ostatecznie zniknąć w 1971 r., gdy Armia Sowiecka próbowała ją doszczętnie zrujnować.

Czołgami próbowano przewrócić Pomnik Chwały, zniszczono kolumnadę, lecz pylony oparły się sowieckim maszynom. Zdewastowano katakumby, grobowce, kaplicę, a przez środek cmentarza poprowadzona została droga. Kamienne lwy usunięto z nekropolii. Polacy z narażeniem zdrowia, a czasem życia, próbowali ratować szczątki polskich bohaterów. Jedną z takich osób



Grób Marii Konopnickiej na Cmentarzu Łyczakowskim

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WOZNY

była Maria Tereszczakówna, obrończyni Lwowa, żołnierz AK, która tak pisała o podejmowanych przez siebie działaniach: „Ratujmy od zagłady pozostałe jeszcze szczątki i kości naszych poległych żołnierzy [...]. Obecnie własnymi rękami, łopatkami wybieramy ze znanych nam grobów kości pilotów Stefana Bastyra, Stefana Steca i Władysława Torunia, pierwszych naszych orłów, twórców polskiego lotnictwa. Szczątki ich składamy do oddzielnych małych trumienek, przenosimy i chowamy na niezaoranej jeszcze części cmentarza. Chcemy je przechować przynajmniej do czasu, kiedy będzie można wybudować im wspólny grób. Chcemy też umieścić tablice z ich nazwiskami i datą śmierci, by w ten sposób uchronić od zapomnienia".

Odbudowa cmentarza była możliwa dopiero w latach 90. Początkowo Ukraińcy bardzo niechętnie godzili się na jakiekolwiek prace renowacyjne. Rozmowy trwały wiele lat. Odbudowany cmentarz otwarto dopiero w 2005 r. Jeszcze bardziej skomplikowana była historia posągów lwów sprzed Pomnika Chwały. Nawet kiedy w końcu wróciły na swoje miejsce, zdecydowano o... obudowaniu ich drewnianymi pudłami, uznając, że miały „antypaństwowy" (wobec Ukrainy) charakter. Władze Lwowa zgodziło się „uwolnić" lwy dopiero w maju 2022 r. w podziękowaniu za pomoc, którą Polska okazała Ukrainie po rosyjskiej inwazji.

„Jak dotąd w tej wojnie Lwów ucierpiał minimalnie. Cmentarzowi Łyczakowskiemu zagraża natomiast głównie eliminowanie polskości przez nowe ukraińskie pochówki i zastępowanie na grobach napisów polskich ukraińskimi" – mówi prof. Nicieja.

Na Cmentarzu Janowskim pochowano ok. 200 tys. Polaków. Wśród nich są kupcy, rzemieślnicy i kolejarze, adwokaci, bankierzy i nauczyciele

Cmentarz Janowski

Choć nie tak znany jak Cmentarz Łyczakowski zajmuje jednak poczesne miejsce na mapie lwowskiej polskości. Cmentarz Janowski powstał, gdy część starszych nekropolii była już niemal pełna i konieczne było nowe miejsce pochówków. Decyzja o jego powstaniu na „rogatce Janowskiej" zapadła w 1886 r. Dwa lata później nastąpiło poświęcenie cmentarza.

Po drugiej wojnie światowej teren nekropolii został powiększony, dołączono do niego Cmentarz Żydowski. Choć coraz rzadziej dawano zgodę na nowe pochówki, a w latach 80. XX w. ogłoszono nawet zamknięcie cmentarza, to wciąż chowano tam kolejne osoby, wciskając niejednokrotnie nowsze groby między stare. Mimo to nekropolia zachowała swój pierwotny układ, choć w wielu miejscach zabytkowe grobowce podupadają, zdominowane przez nowsze pomniki.

Na Cmentarzu Janowskim pochowano ok. 200 tys. Polaków. Wśród nich są kupcy, rzemieślnicy i kolejarze, adwokaci, bankierzy i nauczyciele. Jest też wielu żołnierzy poległych za ojczyznę w walkach o Lwów na przełomie lat 1918–1919 r. oraz w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Cmentarz Janowski to również miejsce spoczynku licznych polskich duchownych oraz sióstr zakonnych. Pochowano tu m.in. zmarłego w 1923 r. św. Józefa Bilczewskiego, katolickiego arcybiskupa lwowskiego. Na cmentarzu

eprasa.pl 6f4955209e



Cmentarz Obrońców Lwowa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, J. MERENA

tym spoczywał urodzony we Lwowie kapucyn Serafin Kaszuba, który narażając się na represje, podróżował po Związku Sowieckim z posługą kapłańską. W związku z procesem beatyfikacyjnym jego szczątki przeniesiono do klasztoru kapucynów w Winnicy. Na Cmentarzu Janowskim spoczywa też wspomniana już Maria Tereszczakówna.

Na terenie tej nekropolii możemy znaleźć dość liczne przykłady sztuki sepulkralnej, m.in. w stylu empire, art déco i konstruktywizmu. Część z nich znajduje się w bardzo złym stanie. Ich odnowienia podejmują się organizacje dbające o polskie miejsca pamięci na Wschodzie, lecz jest to proces żmudny i bardzo kosztowny. Inwentaryzacji polskich pochówków na Cmentarzu Janowskim podjęli się badacze z Uniwersytetu Szczecińskiego, prof. Ryszard Tomczyk i dr Barbara Patlewicz.

Umarłe nekropolie

Na pierwszym Cmentarzu Stryjskim chowano przede wszystkim niemieckich mieszkańców miasta. Alejki szybko wypełniły się nagrobkami i już kilka lat po otwarciu nekropolię zamknięto, tworząc zarazem nowy Cmentarz Stryjski. Stary szybko niszczał. W jego miejscu utworzono park zwany do dziś Parkiem Stryjskim.

Nekropolia zwana Żółkiewską bądź na Paparówce powstała w tym samym czasie, tuż po dekrecie Józefa II. Nazwa „Paparówka" pochodzi od kupieckiej rodziny Paparów, która przekazała miastu część gruntów pod cmentarz. W 1817 r. władze Lwowa poszerzyły jego teren, wykupując sąsiednie działki, lecz już 40 lat później nekropolię trzeba było zamknąć dla nowych pogrzebów. Ponieważ Cmentarz Żółkiewski (podobnie jak Stryjski czy Gródecki) przeznaczony był dla uboższej ludności, władze miasta nie troszczyły się o teren nekropolii po jej zamknięciu, oddając ją na pastwę wandali. W 1868 r. część cmentarza zrównano z ziemią i przeznaczono pod budowę dworca kolejowego Podzamcze. Dziś nie ma po nim śladu. Tylko niewielką część szczątków (np. pisarza Stanisława Jaszowskiego i jego żony) przeniesiono na Cmentarz Łyczakowski.

W 1787 r. założony został Cmentarz Gródecki. Powstał na terenie dawnego obozowiska wojskowego i miejsca zgromadzeń szlacheckich Biłohoroszcze. Na Cmentarzu Gródeckim chowano w większości uboższych mieszkańców Lwowa. Pochówki trwały do 1875 r., kiedy z powodu braku miejsca nekropolię zamknięto. Po latach ubolewał nad jego degradacją Franciszek Jaworski, który zarzucał miastu, że nie dba o powagę miejsca, pozwalając na jego dewastację: „Przez lat trzydzieści trzy Lwów pastwił się nad cmentarzem gródeckim. Najpierw o nim zapomniał i opadać pozwolił zbutwiałym nagrobkom. Ludzie z daleka mijali gród umarłych […]. Drzewa poszły na opałowe sągi. Był czas, kiedy na całym cmentarzu gródeckim panowała niepodzielnie siekiera drwali […]. Schadzki miłosne w obliczu śmierci kochankowie czynili, zdziczała młódź nagrobki niszczyła, a co kosztowniejsze żelazo złodzieje nieśli ku miastu. I pełną się stała niebawem ziemia cmentarna połamanych rąk i nóg kamiennych posągów […]. Tylko gdzieniegdzie świeży jeszcze wieniec, garść kwiatów na mogile i świeczka w dzień zaduszny świadczyły, że ktoś tam pamięta o swoich, tak dawno pomarłych".



Cmentarz Janowski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, AEOU

Cmentarz rzeczywiście odchodził w zapomnienie, aż w 1908 r. zdecydowano o jego likwidacji. W ten sposób wszystko, oprócz nagrobków przeniesionych na Łyczaków lub nowy Cmentarz Stryjski, uległo zniszczeniu.

Polskie ślady znaleźć można było też na nieistniejącym już Cmentarzu Kleparowskim (dziś w jego miejscu jest park). Polaków chowano też na Cmentarzu Zamarstynowskim i choć nekropolia istnieje, to wszelki ślad po polskich nagrobkach zaginął, zniszczono je umyślnie pod koniec lat 60. XX w.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f4955209e



Drużyna Pogoni Lwów, mistrza Polski w 1926 r.
FOT. NAC

Czar miasta / Bałak, knajpy i batiarzy

Tylko we Lwowie



Sławomir Koper

Gród nad Pełtwią zawsze uchodził za najweselsze i najbardziej „kolorowe" miasto w Polsce. W żadnej innej polskiej metropolii większość ludności nie mówiła gwarą. We Lwowie specyficznego języka używali niemal wszyscy, od mecenasa do ulicznego sprzedawcy gazet

Nad Pełtwią zawsze istniał klimat sprzyjający spożywaniu alkoholu w dużych ilościach, co doceniali nawet wytrawni konsumenci trunków. Gdy Tadeusz Boy-Żeleński chciał wyleczyć serce złamane przez Jadwigę Mrozowską (aktorka wybrała włosko-polskiego bankiera Toeplitza), to oczywiście przyjechał do stolicy Galicji.

„[...] Nigdzie się tak cudownie nie pije jak [...] we Lwowie – wspominał. – Przebyłem tam takie trzy tygodnie w ciężkim momencie mojego życia. Piło się co dzień, piło się na umór, szampanskoje z koniakiem i z Kornelem [Makuszyńskim], szklankami, kuflami i cukiernicami. Muzyka grała do świtu, nadradca namiestnictwa, kochany Antek Zoll, za pięć koron śpiewał mi do ucha [...], a w głowie tylko jedna myśl: czemuż to nie może trwać wiecznie?".

Podobnie obyczaje panowały we Lwowie także w czasach II RP. Miasto uważane było za najlepsze miejsce do suto zakrapianych zabaw. Dlatego często odwiedzali je popularni artyści, choć wizyty te rzadko łączono ze sprawami zawodowymi. Lwów zapewniał relaks i zapomnienie, a jego mieszkańcy sprawiali wrażenie, jakby nigdy nie kładli się spać.

„Pociąg przychodził rano – opowiadał Kazimierz Wierzyński – i już od wczesnej godziny wpadało się w nurt lwowskiej zabawy. Nie było czasu na żadne odwiedziny, na żadne spotkania, nawet znalezienie hoteli. Fredzio Altenberg [wydawca ze Lwowa] porywał nas z miejsca w swój wir zaproszeń, umówionych z góry śniadań, obiadów, kolacji, dyskusji o nowych wydawnictwach, rozmów o nowych pisarzach, aż wreszcie śpiewów, tańców i długich spacerów po nocnym mieście".

Alfred Altenberg był typowym obywatelem Lwowa, miał „niewyczerpane poczucie humoru, lubił mieć ludzi wokół siebie, grał okropnie na fortepianie, śpiewał lwowskie piosenki". Jednak pisarze musieli z czegoś żyć, więc choć tak dobrze bawili się we Lwowie, to publikować woleli w Warszawie. Nie dotyczyło to jednak poety Henryka Zbierzchowskiego, który nie wyobrażał sobie życia poza Lwowem. Był uzależniony od tego miasta i jego atmosfery, a także od miejscowych lokali z wyszynkiem.

Regularnie bywał w wielu lwowskich knajpach, ale najczęściej w Atlasie na Rynku Starego Miasta. Restaurację tę uważano za najważniejszą knajpę artystyczną Lwowa, a pan Henryk był „trwałym elementem lokalu".

Atlas został założony przez wytwórcę znakomitych wódek, żydowskiego restauratora M.L. Atlassa. W latach międzywojennych restaurację prowadził jego zięć, Edmund Tarlerski. Popularny „Edzio" znany był ze swoich wybornych

eprasa.pl 6f4955209e



Front Restauracji Atlas
FOT. NAC

nalewek, a przede wszystkim ze słynnej „nemówki", nazwanej tak na cześć Zbierzchowskiego, który często podpisywał swoje utwory pseudonimem Nemo. Restaurator nieustannie kredytował odwiedzających go artystów i chociaż ciągle narzekał, że doprowadzi go to do ruiny, jednak musiał mieć zmysł do interesów, gdyż firma prosperowała coraz lepiej.

Tarlerski jako pierwszy wprowadził też we Lwowie płatną toaletę i funkcję babci klozetowej. Natychmiast podchwycili to bywalcy lokalu, a nad Pełtwią pojawiło się określenie „iść do Edzia", co oznaczało konieczność skorzystania z toalety…

Restauracja szczyciła się doskonałymi kucharzami, których Tarlerski podkupił samemu księciu Sanguszce z Gumnisk. Osobiście dbał o jakość dostarczanych produktów – wędliny pochodziły z Niemirowa, pstrągi i łososie ze Starego Sącza, a wędzone karpie z Polesia. Nic zatem dziwnego, że Feliks Konarski (Ref-Ren) wzdychał z nostalgią na emigracji, że „człowiek szedł do »Atlasa«, zjadł, wypił, pierwsza klasa".

To właśnie w tym lokalu Stefan Jaracz ogłosił swoją słynną teorię, że są dwa rodzaje picia: z zagrychą lub bez, a Jan Kasprowicz spędził tutaj kiedyś 36 godzin i na koniec narysował na ścianach wyjątkowo nieprzyzwoite rzeczy. Ściany restauracji przyozdabiali również Tadeusz Boy-Żeleński, Leon Chwistek, Ołeksa Nowakiwski, Kazimierz Sichulski, Antoni Procajłowicz, Kazimierz Grus, Artur Szyk. Rysunki i malowidła opatrywano złośliwymi wierszykami opisującymi znanych gości, co stanowiło rodzaj żartobliwej i plotkarskiej księgi miasta. Można było z niej wyczytać komentarze do bieżących wydarzeń, a Tarlerski dbał o jej aktualizację.

Jednak Kasprowicz nie był rekordzistą w długości ciągłego alkoholizowania się w Atlasie. Zdecydowanie przebijał go Zbierzchowski, któremu zdarzały się biesiady trwające 72 godziny! Jego kompanem często był ks. Franciszek Błotnicki, na co dzień redaktor „Gazety Kościelnej" i duszpasterz lwowski. Tak samo zresztą zakochany we Lwowie jak jego przyjaciel – poeta.

Pan Henryk bywał w tym lokalu właściwie codziennie. Obowiązki w Izbie Skarbowej załatwiał do godziny jedenastej, potem przez dwie godziny urzędował w redakcji „Gazety Porannej", a następnie przychodził czas na Atlasa. Tam też poszukiwali go gońcy lwowskich gazet, by wyegzekwować zamówiony wiersz do porannego wydania. Zbierzchowski z reguły wypisywał go na serwetce, po czym powracał do spożywania trunków i snucia filozoficznych rozważań:

Pić albo nie pić? Oto jest pytanie,
Nad którym człowiek biedzi się daremnie.
A przecież łatwo odpowiedzieć na nie:
Nie pić jest zdrowo, ale pić – przyjemnie.


„Henryk Zbierzchowski". Karykatura autorstwa Kazimierza Sichulskiego
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Angielski wynalazek

Co prawda, pierwsza piłka futbolowa na ziemiach polskich przyjechała z Niemiec do Krakowa (1889), ale już dwa lata później futbolówka pojawiła się także nad Pełtwią. I to na łamach lwowskiej „Gazety Sportowej" w 1900 r. po raz pierwszy w kraju opublikowano reguły gry w piłkę nożną. Pierwszy klub piłkarski także powstał w stolicy Galicji, Lechię założono latem 1903 r., a kilkanaście dni później powstał zespół Sława, który już niebawem miał przekształcić się w Czarnych i pod tą nazwą przejść do historii.

We Lwowie rozegrano pierwszy udokumentowany mecz piłkarski w Polsce. 14 lipca 1894 r., podczas Powszechnej Wystawy Krajowej, naprzeciwko siebie stanęły drużyny reprezentujące „Sokoła" ze Lwowa i z Krakowa. Grano do pierwszego strzelonego gola, przez co pojedynek trwał zaledwie 7 minut. Pierwszą oficjalną bramkę zdobył Włodzimierz Chomicki, a spotkanie oglądało ok. 3 tys. widzów.

Lwowskim piłkarzom zawdzięczamy także debiut międzynarodowy, w którym Pogoń Lwów zmierzyła się w dwumeczu z Kassai Atlétikai Club z Koszyc leżących w węgierskiej części monarchii Habsburgów. W maju 1909 r. uległa ona Słowakom na wyjeździe 0:5; a we wrześniowym rewanżu przegrała we Lwowie 1:4. Najwyraźniej lwowscy piłkarze prezentowali wówczas bardzo równą formę…

Czarni byli starszym klubem, ale to Pogoń zyskała najwięcej sympatyków we Lwowie. Założono ją w 1907 r. w efekcie połączenia części Lechii i uczniowskiego Klubu Gimnastyczno-Sportowego działającego przy IV Gimnazjum we Lwowie (była to największa szkoła w Austro-Węgrzech).

Chociaż we Lwowie działało jeszcze kilka innych klubów, to miasto elektryzowała wyłącznie rywalizacja pomiędzy Pogonią i Czarnymi. Zdarzało się, że linia podziału przebiegała w obrębie rodziny, gdy bracia sympatyzowali z różnymi klubami. Przywiązanie do barw klubowych przechodziło z pokolenia na pokolenie i już uczniowie w szkołach dzielili się na wielbicieli Czarnych i Pogoni. Mogli ze sobą przyjaźnie rozmawiać na wiele tematów (poza piłką nożną), nie okazywać sobie wzajemnie wrogości, ale w jednej ławce nigdy nie usiedli.

Pogoń zawsze odnosiła większe sukcesy niż Czarni, a gdy po odrodzeniu się państwa polskiego zorganizowano rozgrywki na szczeblu centralnym, Lwowiacy w debiucie zajęli czwarte miejscy (wygrała Cracovia). Cztery kolejne edycje padły łupem piłkarzy znad Pełtwii, ale zdecydowanie gorzej wiodło się

eprasa.pl 6f4955209e

im w rozgrywkach ligowych, które wystartowały w 1927 r. Największymi sukcesami Pogoni były trzy wicemistrzostwa Polski, co okazało się nieosiągalne dla Czarnych, których najlepszą lokatą pozostało ósme miejsce. Zresztą w 1933 r. zespół ten spadł do niższej klasy rozgrywkowej i już nigdy nie powrócił do krajowej elity.

Lwowska piłka to także kilka innych zespołów, z których dwa trafiły nawet do ekstraklasy. W 1930 r. na jeden sezon pojawili się tam piłkarze Lechii, ale po degradacji nie potrafili ponownie zdobyć awansu.

Natomiast najwięcej afer związanych było z innym lwowskim klubem – Hasmoneą. Grupował on piłkarzy pochodzenia żydowskiego i gdy rozpoczęły się rozgrywki ligowe, klub ten obok Czarnych i Pogoni znalazł się w ekstraklasie. Jednak dwuletni pobyt w elicie okazał się prawdziwą drogą przez mękę, gdyż jego piłkarzom przeszkadzało dosłownie wszystko. Narzekali, że podczas meczu „słońce zbyt mocno prażyło" albo że wiatr był zbyt silny, lub deszcz zbyt mokry. Natomiast podczas derbowego meczu z Czarnymi na boisku pojawił się delegat lwowskiej gminy wyznaniowej i zakazał piłkarzom uprawiania sportu. Chociaż była to niedziela, a nie sobota, gracze posłuchali delegata rabinatu i posłusznie zeszli z boiska. Wynik ostatecznie zaklasyfikowano jako walkower dla Czarnych.

Potem PZPN zawiesił Hasmoneę za niepłacenie składek, więc kolejne mecze żydowska drużyna przegrywała bez wychodzenia na boisko. A kiedy wreszcie znów mogła grać, to podczas pierwszego spotkania jedna z bramek „zawaliła się cała bez powodu niczym domek z kart"...

Bałak i batiarzy

W żadnym innym polskim mieście jedna dzielnica nie zdominowała w taki sposób postrzegania miasta. To na Łyczakowie narodziła się słynna lwowska gwara (bałak), to stąd pochodzili najsłynniejszy batiarzy. W odróżnieniu od warszawskiej Pragi czy Czerniakowa pochodzenie z Łyczakowa nobilitowało. Niemal każdy Lwowiak mieszkał lub urodził się na Łyczakowie, a przynajmniej tak twierdził. To było miejsce, gdzie powstał folklor lwowski, do dziś wspominany z łezką w oku.

„Tu rozpoczynało się przedmieście – opisywał Alfred Nossig. – Tam miasto się skończyło, niby las wysoki, cienisty; tu wystąpiłeś na zrąb jasny, słoneczny, niskim zarośnięty krzewem. Dachy niskie, z gontów układane, dziwacznie powyginane, ciągną się rzędem nieprzerwanym, jak baldakiny krzewów z gałązek utworzone; a poniżej okienka małe, otwarte, pełne kwiatów lub zamknięte, połyskujące, jakby tarnina ciemna, a błyszcząca szadzią".

Charakterystyczne dla Łyczakowa były żydowskie sklepiki i małe knajpki przeznaczone dla różnorodnej klienteli. Miejscowi birbanci dobrze wiedzieli, który lokal jest otwarty do późnych (a właściwie już wczesnych) godzin. Kazimierz Schleyen nie pozostawiał wątpliwości:

„Ostatnim przystankiem był szynk Icka Spucha przy ulicy Słonecznej. Gardzący snem znali jeszcze mały szyneczek przy ulicy Rejtana otwarty wtedy, kiedy wszędzie było już pozamykane lub inne lokale nie zainicjowały jeszcze nowego dnia. W szyneczku tym, zwłaszcza w karnawale, o takiej porze nijakiej, przedziwny obrazek tworzyło wytworne towarzystwo na tle półświatka i zmarzniętych dorożkarzy, z batem w rękach w przestronnych kożuchach i rękawicach, z wąsiskami pokrytymi jeszcze szronem".

Do 1939 r. Łyczaków był centrum folkloru lwowskiego, gwary miejskiej, specyficznego poczucia humoru. To było centrum życia lwowskich batiarów, niezbyt trafnie porównywanych do warszawskich cwaniaków czy krakowskich andrusów. Znawca tematu (Józef Wittlin) wyjaśniał sprawę:

„Mylne wszakże byłoby mniemanie, że każdy batiar jest dzieckiem ulicy, a za ojca ma rynsztok [...]. Niejeden z nich później trząsł parlamentem wiedeńskim lub chadzał w profesorskiej todze, pobrzękując dziekańskim, ba, nawet rektorskim łańcuchem, a nie kajdankami. A po łacinie gadał – no – trudno z akcentem górnołyczakowskim [...], co przecież nie mogło razić cieni starożytnych Rzymian, skoro nie wiemy, jak brzmiała antyczna łacina. Kto znał śp. profesora Wilhelma Bruchnalskiego, jednego z najznakomitszych polonistów lwowskiego instytutu, lub śp. profesora Zygmunta Łempickiego [...] nie zarzuci mi przesady. A [...] winniśmy złożyć hołd arcylwowskiej postaci, zbliżonej do batiara, jaką był śp. profesor Kazimierz Bartel, wielki „ktoś", uczony, mąż stanu, patriota".

W żadnym innym dużym mieście polskim większość ludności nie mówiła gwarą. We Lwowie specyficznego języka używali niemal wszyscy, od mecenasa do ulicznego sprzedawcy gazet. Urzędnik magistratu zamawiał jajecznicę z „trembulką" (szczypiorkiem), zagryzając „chlibem", pił „halbę" (kufel) piwa, a jak miał wolny czas i nastrój to zamawiał „sztyry halby". Do tego dochodziła jeszcze specyficzna gramatyka („dzieci poszli do szkoły") oraz kompletna zamiana znaczenia niektórych czasowników („te



Hotel George na pocztówce sprzed 1914 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KOLEKCJA PRYWATNA

eprasa.pl 6f4955209e

rękawiczki słychać benzyną"). Jak do sprzedaży weszły papierosy o nazwie „Płaskie", to we Lwowie nazwano je natychmiast „przideptane".

Lwowska fala

Symbolem lwowskich batiarów stali się Szczepcio i Tońcio, gwiazdy największego przeboju polskiego radia II RP, programu „Na wesołej lwowskiej fali". Szczepko – niedoszły inżynier (Kazimierz Wajda), Tońko – adwokat lwowski (Henryk Vogelfänger). Pierwszy urodzony i wychowany w dzielnicy gródeckiej, drugi na Łyczakowie; obaj znali wybornie lwowski bałak. Na antenie prezentowali odmienne charaktery. Szczepko to pewny siebie, wszystkowiedzący cwaniak, a Tońko potulny osobnik („durnowaty pomidor"), wiecznie zadziwiony „erudycją" przyjaciela. Wspaniały duet naiwniaka i mądrali, reporterów rodzinnego miasta i bardów jego folkloru.

Łączyła ich dobroć, tkliwość, gołębie serce – serce batiara. W latach 30. wystąpili w dwóch filmach w reżyserii Michała Waszyńskiego: „Włóczęgi" i „Będzie lepiej" (kilkakrotnie emitowanych w ostatnich latach), niestety taśmy z trzecim filmem (niedokończonym) „Serce batiara" spłonęły we wrześniu 1939 r.

Szczepcio i Tońcio nie byli jedynymi gwiazdami programu. Zasłużoną sławą cieszyli się: radca Strońć (Wilhelm Korabiowski) i jego synek Marcelek (Ada Sadowska), humor żydowski reprezentowała para Aprikosenkranz i Untenbaum. Teksty dostarczał Wiktor Budzyński, główny animator audycji, piszący monologi, skecze i piosenki (z wyjątkiem dialogów batiarów). Audycję nadawano początkowo raz w miesiącu, w niedzielę w godzinach wieczornych, potem program skrócono do pół godziny, ale za to Lwowiacy pojawiali się raz w tygodniu. Słuchało ich regularnie ok. sześciu milionów słuchaczy, ulice Polski wyludniały się na czas audycji. Kiedy w 1934 r. zespół ruszył w trasę po kraju z programem scenicznym, z miejsca wyprzedano wszystkie sale.



Henryk Vogelfänger (Szczepko) i Kazimierz Wajda (Tońko)

FOT. NAC

Po wybuchu wojny „Lwowska fala" ewakuowała się do Rumunii, gdzie w Buzău, w siedzibie YMCA, zorganizowano występy dla uchodźców. Potem przez Jugosławię i Włochy batiarzy dotarli na granicę włosko-francuską, gdzie powstała Polowa Czołówka Teatralna Wojska Polskiego nr 1. Od tej chwili, już w mundurach, bawili polskich żołnierzy, podróżując od obozu do obozu, a czasami wręcz czołgając się od okopu do okopu. Batiarów awansowano na podporuczników, a gwiazdkę do beretu Tońka przypinał osobiście gen. Maczek, wręczając mu własną, oderwaną ze swojego naramiennika.

Po wojnie ich drogi się rozeszły. Szczepko (Kazimierz Wajda) nie mógł już dłużej żyć poza Polską, nawet tą komunistyczną, i bez Lwowa w swoich granicach. Powrócił do kraju, gdzie w Warszawie, przy ul. Myśliwieckiej prowadził radiowe audycje masowe – „Przy sobocie po robocie". Zmarł na atak serca w 1955 r. i został pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. To miasto bardziej przypominało mu ukochany Lwów, a poza tym to przecież też była Galicja…

Tońko wyjechał aż do RPA, potem powrócił do Anglii i przez 17 lat wykładał w college'u łacinę i zasady brytyjskiej konstytucji (w cywilu był doktorem prawa!). Wreszcie i on miał już dosyć emigracji i po 44 latach przyjechał do kraju. Doczekał się jeszcze upadku komunizmu i wolnej ojczyzny, ale do Lwowa już nie powrócił. Tuż przed śmiercią zdążył otrzymać informację, że jego ukochana Łyczakowska znów posiada dawną nazwę i jej patronem nie jest już Lenin. Zmarł w październiku 1990 r. w lecznicy rządowej w Warszawie, gdzie przebywał dzięki wstawiennictwu kolejnego Lwowiaka, Jacka Kuronia…

Hotel-mebel

Jedną z atrakcji Lwowa był „główny mebel w salonie miasta", którego charakterystyczna fasada była widoczna na skraju Placu Mariackiego (Mickiewicza). Budowla zawdzięczała swój wygląd (do dziś się nie zmienił) przebudowie z 1901 r. w duchu wiedeńskiej secesji. Liczba znanych osób, które zatrzymywały się w hotelu, jest niezwykle bogata i chyba tylko warszawski Bristol mógłby się z nią równać. Kto tu nie nocował? Balzac, Liszt, Paganini, Bem, Piłsudski, Franciszek Józef I, Ravel, Sartre. Z balkonu hotelu swoim zwyczajem śpiewał zebranym Lwowianom Kiepura podczas triumfalnej wizyty w mieście.

W hotelu zatrzymał się niegdyś szach perski, ale najwięcej zamieszania uczynił pewien sprytny oszust podający się za następcę tronu jednego z indyjskich księstw. Salomon Justyn Balsamin (tak się przedstawiał) pojawił się w mieście latem 1815 r., opowiadając, że zbiegł z rosyjskiej niewoli. Moskale mieli go obedrzeć z kosztowności, strojów i służby, zatem łaskawie przyjął pomoc lwowskich mieszczan. Rezydował w hotelu, pożyczał pieniądze, ile się dało i od kogo się dało. Opowiadał przy tym, że oczekuje na transport złota od swojego ojca, króla Arakanu. W zamian za utrzymanie oszust nadawał ordery: Białego Słonia, Złego Tygrysa itp. o abstrakcyjnych nazwach. Kiedy jego długi sięgnęły niebotycznych rozmiarów, zniknął z dnia na dzień i do dzisiaj nie ustalono, kim był naprawdę.

„George" funkcjonuje do dzisiaj. Po latach komunistycznej zapaści odnowiono fasadę i dwa pierwsze piętra. Na wyższych kondygnacjach bardziej przypomina hostel niż hotel, ale śniadania w restauracji na parterze są prawdziwie lwowskie. Smaczne, kaloryczne i obfite, a konsumpcję umila muzyka fortepianowa na żywo i fotosy dawnego miasta wyświetlane na ekranach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f4955209e

Wywiad / Z Rogerem Crowleyem, autorem książki „Walka o przyprawy. XVI-wieczna rywalizacja, która ukształtowała nowożytny świat”



Statki Magellana w cieśninie nazwanej później jego imieniem. Rycina według obrazu O.W. Brierly'ego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

rozmawia Piotr Włoczyk

Żądza Magellana

– Wyczyn garstki członków ekspedycji Magellana można porównać chyba tylko do powrotu na Ziemię astronautów z Apollo 11. Ludzie wiedzieli, że Ziemia jest okrągła, ale teraz mieli na to namacalny dowód – opłynięcie globu jest wykonalne! – mówi brytyjski pisarz

PIOTR WŁOCZYK: Co takiego napisał w swoim liście Francisco Serrão, że Ferdynand Magellan postanowił zorganizować ekspedycję, która przeszła do historii światowej eksploracji?

ROGER CROWLEY: Serrão był portugalskim awanturnikiem, który na początku XVI stulecia dotarł do Wysp Korzennych, znanych też jako Moluki. Dziś te wyspy należą do Indonezji. W jakiś sposób, nie wiemy, jak to się stało, list od Serrão trafił do Portugalii do Magellana. Obaj odkrywcy byli dobrymi znajomymi. Serrão opisywał w nim bogactwo Wysp Korzennych, do których dotarł jako pierwszy Europejczyk, i przekonywał Magellana, żeby przybył do niego.

Taka wyprawa zrujnowałaby nawet bogatego człowieka.

A Magellan (port. Magalhães) wypadł z łask portugalskiego dworu, więc nie miał tam czego szukać. Dlatego z pomysłem przeprowadzenia ekspedycji na Wyspy Korzenne zwrócił się do cesarza Karola V, władcy Kastylii. Przekonywał, że jest w stanie dotrzeć tam drogą, której nikt wcześniej nie pokonał.

Specjalność Wysp Korzennych, czyli goździki i gałka muszkatołowa, nie brzmią dziś jakoś specjalnie ekscytująco. Dlaczego w tamtych czasach był to niemal odpowiednik złota?

Powszechnie uważano, że te przyprawy mają mnóstwo „magicznych” właściwości, m.in. leczniczych. Wielka „kariera” tych przypraw wiąże się z nagłośnieniem wyprawy Marca Polo do Chin, który widział tam bogactwo przypraw. Jego opowieści stworzyły wyobrażenie o azjatyckim raju.

Te przyprawy były dobrem spekulacyjnym. Każdy kupiec dodawał do nich swoją prowizję. Przechodząc przez Malakkę, Ocean Indyjski, Morze Czerwone i dalej aż do Wenecji, przyprawy osiągały niebotyczne ceny. Dla bogaczy był to wspaniały sposób na pokazanie swojej fortuny. Na ucztach wielką sensacją były misy pełne goździków i gałki muszkatołowej.

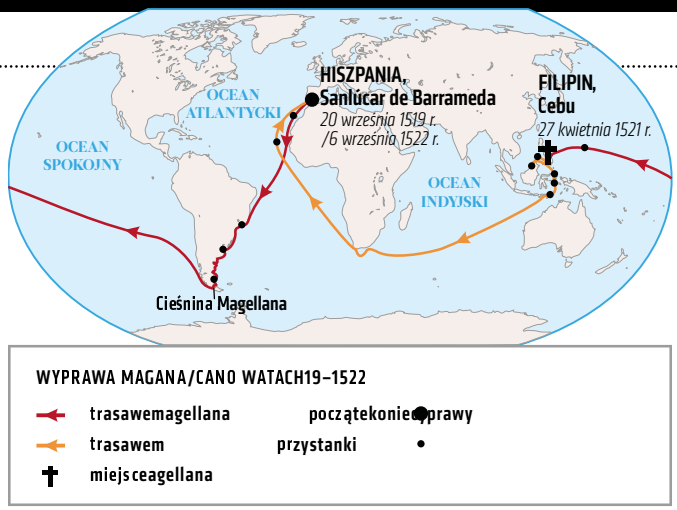
Czyli kiedy mówimy o walce o przyprawy, to chodzi głównie o goździki i gałkę muszkatołową?

Były one najrzadsze i najcenniejsze, ale oczywiście w Azji było wiele innych przypraw. Pieprz i imbir były dużo bardziej powszechne, a przez to tańsze.

Z czego konkretnie wynikała absurdalnie wysoka cena specjałów z Wysp Korzennych?

W wyniku szczególnego splotu warunków przyrodniczych goździkowiec korzenny występował jedynie na pięciu, podczas gdy muszkatołowiec korzenny rósł na trzech wyspach Moluków. Nigdzie

eprasa.pl 6f4955209e



indziej na świecie nie można było znaleźć tych roślin.

Serrão szukał Wysp Korzennych i znalazł je, ale tak naprawdę za nic miał wytyczne króla Portugalii.

Plan przewidywał, że przyprawy będą stamtąd trafiały do Portugalii. Serrão jednak po dopłynięciu do Wysp Korzennych „zniknął z radarów", jakbyśmy to dziś określili. Na miejscu stworzył swoje własne małe królestwo. Chciał być kimś w rodzaju radży tego małego państewka, ale niezbyt dobrze wyszła mu gra o władzę. Wszedł w konflikt z lokalnymi elitami i podczas jednej z uczt został otruty. Jednak zanim zginął, wysłał list do Magellana, inspirując swojego przyjaciela do odbycia niezwykłej wyprawy.

Dlaczego Magellan nie mógł popłynąć na Wyspy Korzenne, znaną już trasą, dookoła Afryki?

Kastylia i Portugalia w drugiej połowie XV w. toczyły ze sobą wojnę na Atlantyku. Oba państwa zdecydowały w końcu, że trzeba to rozwiązać na drodze dyplomatycznej. Zwróciły się więc do papieża, by rozsądzić spór i rozrysować strefy wpływów. Efektem był Traktat z Tordesillas z 1494 r., w którym oba państwa podzieliły świat między siebie.

Czyli trasa na Wyspy Korzenne na wschód, dookoła Afryki, była zarezerwowana dla Portugalii?

Tak. Wyimaginowana linia z Tordesillas, „narysowana" na Atlantyku 370 lig na zachód od Wysp Zielonego Przylądka, była bardzo umowna. W tamtych czasach nie dało się precyzyjnie wyznaczać długości geograficznej, więc nikt tak naprawdę nie wiedział, gdzie dokładnie ta linia przebiega. Portugalczycy mieli dla siebie na wyłączność wszystko na wschód od tej linii, a Hiszpanie na zachód.

Magellan powiedział królowi, że da się dotrzeć do Wysp Korzennych, płynąc cały czas na zachód, nie gwałcąc ustaleń traktatu z Tordesillas. Chciał opłynąć Amerykę Południową, będąc przekonanym, że po drugiej stronie będzie przejście w kierunku Wysp Korzennych. Europejczycy docierali już do dzisiejszej Brazylii i Argentyny, ale nikt jednak nie wiedział, czy ten kontynent stanowi nieprzekraczalną barierę.

Co było głównym – oficjalnym – celem Magellana, postawionym mu przez Karola V?

Przede wszystkim chodziło o niezwykle intratny biznes. Na trasie od Wysp Korzennych do Europy cena przypraw wzrastała o ponad tysiąc procent! Jeżeli Hiszpanie dotarliby do źródła przypraw, to ich królestwo mogłoby się spektakularnie wzbogacić. I to było – oficjalnym – celem ekspedycji Magellana.

Jakim cudem Magellanowi udało się przekonać Karola V do sfinansowania tak ekstrawagancko brzmiącego pomysłu?

Kastylia była w tyle za Portugalią w kwestii eksploracji. Portugalczycy ustanowili całą sieć baz na drodze od Europy na Malaje. Hiszpanie chcieli nadrobić zaległości. Wygląda na to, że Magellan był świetnym sprzedawcą, opowiedział niesamowicie dobrze brzmiącą historię i... dostał „pracę"!

Ekspedycja wypłynęła na pięciu statkach. Problemem był jej skład, większość stanowili Hiszpanie, ale Magellan zabrał też niemałą grupę Portugalczyków. Bardzo szybko doszło do napięć pomiędzy tymi dwiema grupami. Magellan był człowiekiem absolutnie bezwzględnym. Miał nad wszystkim totalną kontrolę, przerażając wszystkich dokoła.

Czytając pańską książkę, miałem wrażenie, że Magellan był wręcz opętany pragnieniem dotarcia do Wysp Korzennych drogą, której nikt przed nim nie pokonał.

Nic nie mogło go powstrzymać, to był człowiek skupiony tylko na tym jednym celu. Gdy wyprawa zbliżyła się do południowego wybrzeża dzisiejszej Argentyny, pogoda stała się gorsza, a żeglowanie dużo trudniejsze. Doszło wtedy do buntu. Sposób, w jaki stłumił go Magellan, pozostawiając dwóch ludzi na kawałku skały, pokazał, jak bezwzględnym był człowiekiem.

Członkowie załóg zachodzili w głowę, czy ich dowódca przypadkiem nie oszalał i nie prowadzi całej ekspedycji ku katastrofie. Nikt nie wiedział bowiem, czy jest jakaś droga pozwalająca opłynąć Amerykę Południową, czy ten kontynent ciągnie się nieprzerwanie, łącząc się w końcu z Antarktydą. Metodą prób i błędów Magellan przedarł się w końcu przez cieśninę, która została nazwana jego imieniem. To kwestia, która nie jest jasna. Czy Magellan miał na ten temat jakieś informacje? A może po prostu płynął przed siebie, będąc święcie przekonanym, że uda mu się jakoś dostać na drugą stronę?

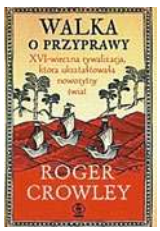
Przepłynięcie 350 mil, które liczy sobie ta cieśnina, zajęło mu ponad miesiąc. 10 mil dziennie brzmi jak morskie tortury.

To była bardzo trudna przeprawa. Z zapisków z tej wyprawy widzimy, jak narasta napięcie, a Magellan staje się jeszcze brutalniejszy. Jednak w końcu wyprawie udało się wydostać na otwarty ocean po drugiej stronie kontynentu.

Europejscy żeglarze zobaczyli przed sobą zupełnie spokojną wodę, tak kontrastującą z tym, jak wyglądał południowy Atlantyk. Dlatego ta nazwa wydała im się oczywista.

Żegluga po Oceanie Spokojnym była bezproblemowa. Wiatry sprzyjały, pchając statki Magellana na zachód, nie było też sztormów. Te warunki mogły się wydawać prawdziwym morskim rajem. Ale w tym wszystkim kryło się niebezpieczeństwo – długość żeglugi po Pacyfiku.

I wiążąca się z nią choroba, która wraz z rozpoczęciem przez Europejczyków bardzo długich ekspedycji morskich zaczęła zbierać straszliwe, śmiertelne żniwo wśród żeglarzy i miała je



ROGER CROWLEY „WALKA O PRZYPRAWY. XVI-WIECZNA RYWALIZACJA, KTÓRA UKSZTAŁTOWAŁA NOWOŻYTNY ŚWIAT"
REBIS

eprasa.pl 6f4955209e



Goździkowiec korzenny oraz muszkatołowiec korzenny

FOT. DOMENA PUBLICZNA

zbierać aż do XVIII w., gdy w końcu Brytyjczycy zrozumieli, jak można jej zapobiegać.

Brak witaminy C w dłuższej perspektywie ma rujnujący wpływ na zdrowie człowieka. Chwiejące się, wypadające zęby nie są tu wcale największym problemem. Szkorbut był olbrzymim problemem na statkach odbywających dalekie rejsy, zabijając rzesze marynarzy. Ludzie w tamtym czasie nie rozumieli, w czym konkretnie tkwi problem. Kiedy Portugalczycy po raz pierwszy opływali Afrykę, załogi były dziesiątkowane przez szkorbut, ale po przedostaniu się z Atlantyku na Ocean Indyjski ich zdrowie uległo nagłej poprawie. Wydawało im się, że to zasługa lepszego powietrza. Tymczasem sekret tkwił w owocach tropikalnych, do których żeglarze mieli w końcu dostęp.

Żeglując na zachód od strony cieśniny Magellana, przez tysiące mil bardzo trudno trafić na jakąkolwiek wyspę. A to oznaczało szkorbut. Z zapisków biorącego udział w wyprawie Antonia Pigafetty, któremu udało się przeżyć ekspedycję, wynika jednak, że oficerowie z najbliższego grona Magellana mieli dostęp do jakichś zamarynowanych owoców, które Magellan zabrał ze sobą z Hiszpanii. To tłumaczyłoby, dlaczego oficerowie rzadziej padali ofiarami szkorbutu niż zwykli marynarze.

Dlaczego Magellan nie popłynął prosto na Moluki?

Nad tym pytaniem głowiło się wielu historyków… Serrão przekonywał Magellana, że na Pacyfiku może być on królem we własnym królestwie. Wydaje się, że Magellan do tego właśnie dążył. I dlatego nie popłynął na Moluki, ale dalej na północ.

A mógł trafić na Wyspy Korzenne dosyć prosto, ponieważ wiedział, że przebiega przez nie równik. O ile w tamtych czasach problemem było wyznaczenie długości geograficznej, o tyle określenie szerokości było dość łatwe.

Zgadza się. Magellan dopłynął na dzisiejsze Filipiny. W jego kontrakcie z królem znajdował się dziwny zapis, pozwalający mu zatrzymać dla siebie kilka wysp. I zapewne dlatego nie popłynął na Moluki, które były już zajęte.

Czyli Magellan wcale nie chciał opływać świata dookoła, lecz planował wykorzystać zasoby korony, by dostać się na egzotyczne wyspy i stworzyć swoje własne minikrólestwo?

Na to wygląda. Zdaje się, że Magellan tracił rozum wraz z przedłużającą się podróżą, czego efektem była wiara, że dysponuje nadludzkimi zdolnościami. Ten miraż był dla niego zgubny, bo bitwa u brzegów Mactan, w której garstka jego ludzi starła się z ludnością tubylczą Lapu-Lapu, skończyła się jego śmiercią.

Ten dzień, 27 kwietnia 1521 r., ma na Filipinach status święta.

Każdego roku Filipińczycy odgrywają tę bitwę. Filipińczycy widzą w tym początek swojej tożsamości narodowej. Choć trzeba też powiedzieć, że Magellan przyniósł ze sobą chrześcijaństwo – po jego wyprawie pozostała tam statuetka Dzieciątka Jezus, która do dziś otoczona jest czcią.

Jednak sam Magellan na pewno nie był przykładem dobrego chrześcijanina.

To był typ konkwistadora bez serca.

Wyprawa Magellana zasłynęła z opłynięcia świata dookoła, ale zdecydowana większość jej uczestników, na czele z Magellanem, nie wróciła do Hiszpanii. Świat okrążył tylko jeden z pięciu statków – Victoria – który 6 września 1522 r., po niemal trzech latach, wrócił do Hiszpanii. Jak ojczyzna przyjęła odkrywców?

To był niesamowity moment. Grupka żeglarzy pod dowództwem Juana Sebastiána Elcano, umykając Portugalczykom, którzy na nich polowali, pilnując swojej strefy wpływów, powróciła do Hiszpanii, opływając Afrykę. Spośród ponad 280 ludzi do Hiszpanii wróciło 18. Wyglądali jak zjawy.

Wyczyn garstki członków ekspedycji Magellana można porównać chyba tylko do powrotu na Ziemię astronautów z Apollo 11. Ludzie wiedzieli, że Ziemia jest okrągła, ale teraz mieli na to namacalny dowód – opłynięcie globu jest wykonalne! Od tego momentu Europejczycy wiedzieli już mniej więcej, jak olbrzymi jest świat. Co ciekawe, kilku z ocalałych członków ekspedycji Magellana stwierdziło, że jeszcze raz chętnie opłynie świat!

Cesarz Karol V powiedział więc: „Zróbmy to jeszcze raz".

Hiszpanie wysyłali jedną ekspedycję po drugiej. Tu ciekawostka, na Molukach istniały dwa malutkie, nieustannie walczące ze sobą o handel przyprawami królestwa, każde miało swoją wyspę. Dzieliło je ok. 500 metrów wody. Każde z nich oparło się o innego zamorskiego hegemona, jedno o Portugalię, drugie o Hiszpanię. Oba zamorskie imperia zbudowały swoje forty i kilka lat po ekspedycji Magellana stoczyły tam mikrowojnę o przyprawy.

Kto wygrał to starcie?

Hiszpanie nie mieli większych szans, bo Portugalczycy mieli lepiej rozbudowaną logistykę na Dalekim Wschodzie.

Co się działo z kolejnymi ekspedycjami wysyłanymi przez Karola V?

Jeżeli chodzi o zakładany cel, ponosiły klęskę. Wprawdzie Hiszpanom udawało się dopłynąć do Wysp Korzennych, gdzie musieli się zmagać z Portugalczykami, ale nie byli w stanie wrócić z bezcennym ładunkiem przypraw przez bezkres Pacyfiku. A – jak już wspomniałem – droga przez Malakkę i dookoła Afryki była zbyt niebezpieczna z powodu sieci portugalskich baz, które ułatwiały flocie rywala panowanie nad tą trasą.

Ponieważ wiatry spychały hiszpańskie ekspedycje na zachód, nie pozwa-

eprasa.pl 6f4955209e

lając im przepłynąć Pacyfiku, załogi wysłane przez cesarza były zazwyczaj wyłapywane przez Portugalczyków. Ocean Spokojny był więc dla Hiszpanów czymś w rodzaju pułapki na homary: dość łatwo było tam wpłynąć, ale nie sposób było się z niego wydostać. I to był strategiczny problem dla Hiszpanów. Umacniając się na pacyficznym wybrzeżu Meksyku, mogli oni łatwiej wypływać na Ocean Spokojny, oszczędzając sobie trudu i niebezpieczeństw przekraczania cieśniny Magellana, ale ponieważ nie byli w stanie rozgryźć systemu wiatrów, na ok. 20 lat w ogóle dali sobie spokój z takimi ekspedycjami. Ta bezczynność oznaczała jednak, że bogactwa Dalekiego Wschodu były dla nich niedostępne, a ich portugalscy rywale mogli bezproblemowo z nich korzystać.

Jeden z podrozdziałów pańskiej książki nosi nazwę „Złamanie kodu", co miało być odpowiedzią na problemy Hiszpanów. I tu na scenie pojawia się pewien bardzo zdolny mnich...

Pochodzący z Kraju Basków Andrés de Urdaneta to jeden z cichych bohaterów światowej eksploracji. De Urdaneta popłynął na Moluki w jednej z pierwszych ekspedycji, gdy miał 17 lat. Był to bardzo zdolny człowiek, który chłonął wiedzę i dużo żeglował w tamtych okolicach. Po 11 latach wrócił do Hiszpanii na pokładzie portugalskiego statku, a następnie przeniósł się do Meksyku, gdzie został mnichem. W końcu dotarły do cesarza informacje, że w meksykańskim klasztorze żyje mnich, który ma ogromną wiedzę i mógłby pomóc w złamaniu „kodów" pacyficznych wiatrów.

Hiszpanie wysłali więc małą ekspedycję, której jedynym celem było dopłynięcie do Moluków i bezpieczny powrót do Meksyku. De Urdaneta wiedział, że nie można próbować od razu popłynąć na wschód, lecz należy udać się na północ, w kierunku Japonii. I dopiero tam można „złapać" wiatr, który zabierze statek do Meksyku. Jednak ważna była też pora roku, bo na odpowiedni wiatr trzeba było poczekać. To było niezwykle ważne wydarzenie w historii światowego handlu. Dzięki de Urdanecie udało się stworzyć system, dzięki któremu dobra krążyły po całym świecie.

Hiszpanie usadowili się w Manili, a Portugalczycy w Makau, dzięki czemu



Ferdynand Magellan

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM MORSKIE W MADRYCIE

mogli nawiązać relacje handlowe z Chińczykami. Gdy w drugiej połowie XVI w. Chińczycy oparli swój system podatkowy na srebrze, bardzo ułatwiło to wymianę towarową z Państwem Środka Hiszpanom, dysponującym nieprzebranymi zasobami srebra z góry Potosí w dzisiejszej Boliwii.

Sercem tego systemu było miasto Meksyk.

Opisy bogactwa, jakie zgromadzono w stolicy Meksyku w XVII w., mogą wywołać zawroty głowy. Towary z Dalekiego Wschodu i z Europy przechodziły przez to miasto, zmierzając do portów po obu stronach wybrzeża Meksyku.

Co było ówczesnym „hitem" sprzedażowym w Europie poza przyprawami?

Chińska porcelana. Bogaci Europejczycy mogli zamówić w Chinach zastawy stołowe z własnymi herbami. To trochę jak dziś, tylko na mniejszą skalę, i oczywiście nieco dłużej czekało się wtedy na dostawę. Przez Pacyfik można było przewozić nowe produkty rolne do Chin, co wzmogło demograficzny rozwój Państwa Środka. Ale w końcu zaczęło tam trafiać również opium.

Kto wygrał walkę o przyprawy?

Na pewno nie mieszkańcy Wysp Korzennych czy zniewoleni indiańscy górnicy, którzy drążyli tunele w Potosí, szukając srebra. Dla tych ludzi ekspansja europejskich potęg oznaczała tragedię. Największymi zwycięzcami walki o przyprawy byli Hiszpanie, którzy stworzyli globalną sieć handlu i największą potęgę imperialną.

Jednak Portugalczycy też nie wyszli na tym źle...

To prawda, Portugalczycy również ogromnie się wzbogacili. Dopiero w kolejnym stuleciu Holendrzy wyparli Portugalię z Wysp Korzennych.

Jak im się to udało?

Byli po prostu dużo bardziej bezwzględni. Katoliccy Hiszpanie i Portugalczycy mieli misję, chcieli nawracać ludzi na chrześcijaństwo. Protestanccy Holendrzy nie mieli takich ambicji. O ile ci pierwsi kierowali eksploatacją podbitych terenów z odległych stolic, gdzie monarchowie mieli decydujące zdanie, o tyle ci drudzy, a także Anglicy, w gruncie rzeczy sprywatyzowali eksplorację.

Wysłanie wiadomości z Manili do Hiszpanii i otrzymanie odpowiedzi trwało ok. roku. Tymczasem Holendrzy mieli ośrodek decyzyjny na miejscu i byli w stanie błyskawicznie rozstrzygać o kierunkach ekspansji oraz wykorzystywanych do tego środkach. Podobnie rzecz się miała z Anglikami. To były spółki, które miały swoich prywatnych udziałowców, nie chciały nawracać ludzi i dążyły do maksymalizacji zysków. Holendrzy byli szczególnie bezwzględni, wytrzebiając lokalną populację na części Wysp Korzennych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Roger Crowley jest brytyjskim pisarzem, znawcą nowożytnych dziejów eksploracji świata. W Polsce ukazało się wiele jego książek na ten temat, m.in. „Zdobywcy. Jak Portugalczycy zdobyli Ocean Indyjski i stworzyli pierwsze globalne imperium", „Morskie imperia: batalia o panowanie na Morzu Śródziemnym 1521–1580", a także „Walka o przyprawy. XVI-wieczna rywalizacja, która ukształtowała nowożytny świat".

eprasa.pl 6f4955209e



Otwarcie parlamentu frankfurckiego w Kościele św. Pawła, 1848 r. Obok: herb Frankfurtu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Ambicje miasta / Frankfurt chce więcej

Tajna stolica Niemiec



Piotr Semka

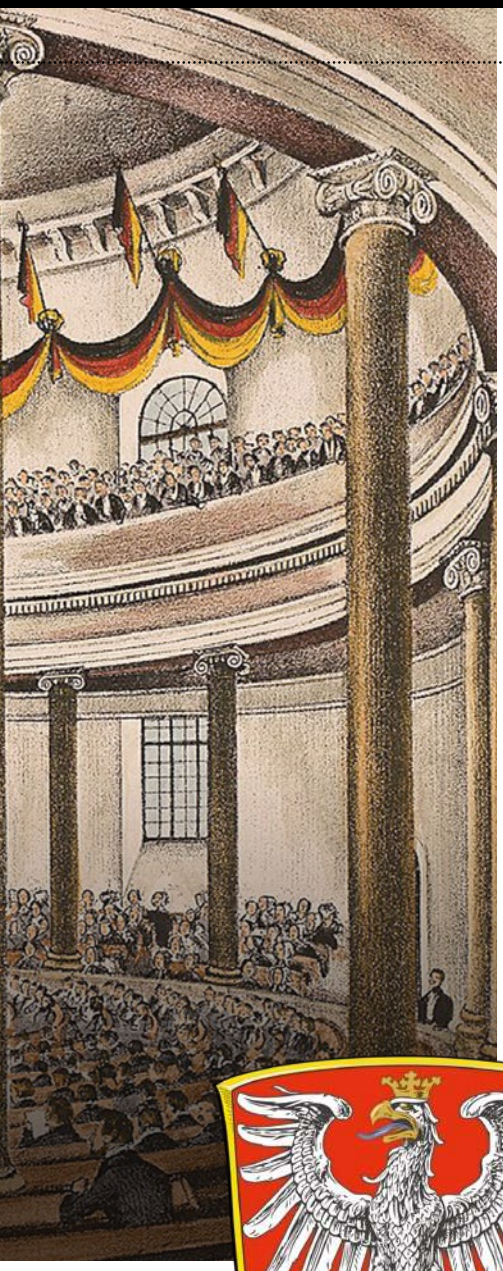
Frankfurt nad Menem od dawna marzył o stołecznym statusie, ale akurat pod tym względem historia nie była dla niego łaskawa. Pod każdym innym to miasto wspięło się na sam szczyt

Przybysz znad Wisły, który dociera do grodu nad Menem, może poczuć nieoczekiwaną sympatię do tego miasta już przy pierwszym spojrzeniu na jego symbole: herb miejski i flagę. Choć nie ma to żadnego związku z naszym krajem, Frankfurt ma w herbie białego orła w koronie na czerwonym tle. A flaga miejska jest dokładnie taka sama jak polska – biało-czerwona.

Sama nazwa „Frankfurt" oznacza bród Franków na rzece Men. Takie miejsca zawsze przyciągały ludzi, bo gdzieś trzeba tę rzekę przekroczyć. A skoro bród (a potem most) gwarantował stały przepływ gości, to w naturalny sposób w tym miejscu zaczęli budować swoje stanowiska handlarze, rzemieślnicy, ale powstać musiały też karczmy. A że Frankfurt znajduje się niemal w środku Niemiec, mniej więcej w połowie drogi między Hamburgiem a Monachium, i z grubsza na trasie Akwizgran-Berlin, to wszystkim było najwygodniej umawiać się właśnie tu. Sława targów we Frankfurcie sięga wczesnego średniowiecza.

W odróżnieniu od Francji, gdzie bardzo wcześnie do rangi miasta stołecznego zaczął aspirować Paryż, czy Anglii, której centrum władzy stosunkowo szybko umiejscowiło się w Londynie,

eprasa.pl 6f4955209e





Niemcy aż do 1871 r. nie miały jednej stolicy. Cesarze krążyli po swoim państwie, zatrzymując się w różnych zamkach noszących dumną nazwę „Kaiserpfalz", ale Frankfurt wysunął się w tej konkurencji wyraźnie na prowadzenie. Po raz pierwszy kroniki wspominają o miejscowości zwanej „Francofortum" w 793 r. Stolicą Franków wschodnich miasto nad Menem zostaje w 843 r. Dwa wieki później staje się tradycyjnym miejscem wyboru królów Niemiec. A w związku z tym w naturalny sposób staje się potem miejscem elekcji niemieckich cesarzy.

Koronacyjna stolica

10 stycznia 1356 r. cesarz Karol IV Luksemburski wydał tzw. złotą bullę. Dokument ten reformował ustrój Świętego Cesarstwa Rzymskiego i określał zasady wyboru kolejnych cesarzy przez siedmiu elektorów – trzech arcybiskupów i czterech książąt świeckich. Dla Frankfurtu najważniejsze było to, że dokument wyraźnie zaznaczał, iż elekcje cesarzy i ich koronacja mają się odbywać w miejscowej świątyni. A ponieważ przy okazji niemieckie stany szukały miejsca na obrady, to właśnie Frankfurt wybrano, by odbywały się tu tzw. reichstagi. Wcześniej koronacje odbywały się w Akwizgranie, lecz ostatnim władcą, na którego skronie nałożono tam koronę, był cesarz Maksymilian II (w 1652 r.). Potem wszystkie koronacje odbywały się w tzw. Kaiserdom, czyli Kościele św. Bartłomieja we Frankfurcie. Nazwa nie była zbyt ścisła, bo określenie „dom" znaczy „katedra", a przecież to miasto nigdy nie było siedzibą katolickiego biskupa czy arcybiskupa.

W 1375 r. Frankfurt otrzymał od cesarza Zygmunta Luksemburskiego status wolnego miasta Rzeszy. Oznaczało to, że gród białego orła podlegał bezpośrednio cesarzowi, a nie landgrafom Hesji, która to kraina otacza miasto. Dumni frankfurccy rajcowie demonstracyjnie lekceważyli sobie heskich władców, a ci rewanżowali się niechęcią do „miejskiej republiki".

Ten status centrum władzy na terenie Niemiec został później osłabiony przez wykreowanie przez dynastię Habsburgów cesarskiej stolicy w Wiedniu, ale nigdy nie zredukował do końca znaczenia Frankfurtu jako miejsca kojarzącego się z jądrem niemieckości. Wszystko to skończyło się wraz z rozwiązaniem Rzeszy przez Napoleona w 1806 r.

Do tradycji nieformalnej stolicy Rzeszy postanowiono powrócić w czasie Wiosny Ludów w 1848 r. Przesyceni do cna romantycznymi tradycjami niemieccy demokraci zwołali właśnie do Frankfurtu, do Kościoła św. Pawła, zgromadzenie narodowe używające prastarej nazwy Reichstag. Tamta próba zjednoczenia Niemiec nie zakończyła się jednak powodzeniem. Pruscy władcy gardzili koroną cesarską, którą chcieli im wręczyć rozmaici wolnościowcy, literaci, juryści i rozdyskutowani akademicy. To wtedy powstało słynne, kpiarskie niemieckie powiedzenie: „Achtundachtzig Professoren: Vaterland, du bist verloren", co można przetłumaczyć jako: „Osiemdziesięciu ośmiu profesorów debatuje – ojczyzno, już nic cię nie uratuje". Prusy na tyle nie cierpiały Frankfurtu po tamtym demokratycznym epizodzie, że gdy po wybuchu wojny prusko-austriackiej w 1866 r. ojcowie grodu nad Menem pechowo dla siebie postawili na Wiedeń, pamiętliwi Prusacy po klęsce Habsburgów zażądali od Austrii bezpośredniego wcielenia miasta do Prus.

Po tym sprowadzeniu dumnych Frankfurtczyków do parteru, nikogo już nie dziwiło, że gdy w 1871 r. Niemcy pod wodza Bismarcka wreszcie się zjednoczyły, nową stolicą został Berlin. A mieszczański, tolerancyjny Frankfurt stał się centrum nowoczesnej prasy, rynku wydawnictw książkowych i zlaicyzowanego życia postępowych Żydów. Ten rys wyznawców judaizmu doskonale współgrał z opinią o Frankfurcie jako centrum bankowości. Jednak naziści, właśnie z powodu nagromadzenia cech związanych z indywidualizmem, a nie narodowym kolektywizmem, Frankfurtu po prostu nie cierpieli. Gdy w myśl nazistowskiej ideologii każde z większych niemieckich miast otrzymywało jakiś przydomek, dla Frankfurtu zarezerwowano jedynie mało efektowny tytuł „stolicy niemieckiego rzemiosła".

Jak Feniks z popiołów

To, że naziści niespecjalnie lubili Frankfurt, nie zmieniało tego, że gród nad Menem odgrywał ważną rolę w niemieckim przemyśle. Ściągnęło to na miasto liczne bombardowania w wykonaniu RAF i US Air Force. Burze ogniowe były

eprasa.pl 6f4955209e

wyjątkowo zabójcze dla uniktowej, w dużej części drewnianej, zabudowy frankfurckiej starówki. Domy z muru pruskiego, skonstruowane z użyciem drewnianych belek, paliły się jak zapałki w trakcie wielkich nalotów na miasto. W rezultacie Frankfurt poniósł straty sięgające 70 proc. zabudowy, ale w wypadku najstarszej części miasta destrukcji uległo aż 90 proc. tkanki miejskiej. Na powojennych zdjęciach starówka wygląda jak pustynia.

Ojcowie miasta dumnie wciągnęli na sztandary republikańskie i mieszczańskie cnoty wolnościowe, co miało predestynować Frankfurt do odgrywania czołowej roli w powojennych Niemczech. Podobnie patrzyli na to Amerykanie. To właśnie tu ustanowili swoją europejską kwaterę główną sił okupacyjnych w Niemczech, a tutejsze lotnisko stało się centrum zaopatrzeniowym dla US Air Force.

W 1947 r. we Frankfurcie powstała Rada Gospodarcza dla wszystkich stref okupacyjnych mocarstw zachodnich. W tej sytuacji wydawałoby się oczywiste, że wobec podziału Berlina stolica przeniesie się do Frankfurtu. Przemawiały za tym wszystkie tradycje historyczne, ekonomiczne i geopolityczne. Aby zwiększyć swoje szanse w wyścigu o zdobycie statusu stolicy RFN, Frankfurt wybudował nawet na zapas okrągły budynek przyszłego zachodnioniemieckiego parlamentu.

Dziś we Frankfurcie jest już 35 meczetów i trudna do ustalenia liczba jawnych oraz niejawnych domów modlitwy

Ojcowie miasta nad Menem nie wzięli jednak pod uwagę dwóch czynników. Po pierwsze, najsilniejszym politykiem niemieckim był wtedy Konrad Adenauer, który wybrał na nową stolicę nieodległe Bonn, znajdujące się blisko jego prywatnej siedziby w miejscowości Rhöndorf. Po drugie, przedstawiciele Berlina natychmiast poparli ten, wydawałoby się ekscentryczny, pomysł. Dlaczego? Sprytni Berlińczycy nie tracili nadziei, że stołeczny status kiedyś wróci do Berlina. Jak się okazało, trafnie założyli, że w razie ponownego zjednoczenia Niemiec pomysł utrzymywania stolicy w małym miasteczku Bonn upadnie i Berlin powróci na szczyt. Gdyby stolicą, choćby tymczasową, został Frankfurt, to nawet po zakończeniu podziału nie dałby sobie łatwo odebrać statusu najważniejszego miasta Niemiec.

Na nic zdał się jednak zapał Frankfurtczyków. Przygotowany na potrzeby przyszłego parlamentu budynek musiał znaleźć inne zastosowanie. W końcu upchnięto w nim biura i studia Heskiego Nadawcy Radiowo-Telewizyjnego (Hessischer Rundfunk), ale gorycz ówczesnego burmistrza Frankfurtu Waltera Kolba nie miała granic.

Padłeś? Powstań!

Frankfurtczycy nie byliby jednak sobą, gdyby szybko nie otrząsnęli się z niepowodzenia. Powiedzieli sobie: Co z tego, że ta nędzna mieścina Bonn wskutek uporu Adenauera została stolicą, skoro my możemy zostać faktycznym centrum kraju. I bardzo szybko zaczęli to realizować. Wystarczyło nawiązać do zalet położenia miasta. Po odpadnięciu nie tylko Pomorza i Śląska, ale i krajów, które weszły w skład komunistycznej NRD, Frankfurt w jeszcze większym stopniu znalazł się w centrum RFN. A ponieważ w tym czasie gwałtownie zaczęło wzrastać znaczenie transportu lotniczego, Lufthansa uczyniła z lotniska we Frankfurcie największy port przesiadkowy w Europie. Poza tym to właśnie tu założono Centralny Bank Krajów Niemieckich, który w 1957 r. zmienił nazwę na Deutsche Bundesbank. Na zdrowie wyszła Frankfurtowi nawet wojenna pożoga. Skoro po rozebraniu gruzów pozostało wiele pustych przestrzeni, nie brakowało miejsca, gdzie można było stawiać wieżowce nazywane złośliwie „świątyniami pieniądza". I nic dziwnego, że Frankfurt zaczęto nazywać „Mainhattanem" czy też „Bankfurtem". Zostało to przypieczętowane w 1998 r., gdy to właśnie gród nad Menem stał się siedzibą Europejskiego Banku Centralnego. To chyba jedyne miasto na świecie, gdzie waluta euro ma swój, całkiem spory, pomnik.

Już Amerykanie nadali Frankfurtowi kosmopolityczny charakter, robiąc z tego miasta stolicę swojej okupacyjnej strefy.



Kościół św. Bartłomieja, miejsce koronacji władców Świętego Cesarstwa Rzymskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MYLIUS

eprasa.pl 6f4955209e



Stare Miasto po bombardowaniach alianckich, 1945 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MYLIUS

Ten proces ruszył z kopyta, gdy w połowie lat 50. do Frankfurtu zaczęli ściągać tureccy, włoscy, portugalscy, hiszpańscy i jugosłowiańscy robotnicy najemni. Formalnie nosili oni nazwę gastarbeiterów, czyli pracowników przyjętych na krótką, kilkuletnią gościnę. Niemieccy urzędnicy widzieli w tych przybyszach wyłącznie robotników, ale wielu spośród nich wykazało się nie lada zaradnością, znajdując tysiąc sposobów, aby zostać tu na stałe.

W 1959 r. we frankfurckiej dzielnicy Sachsenhausen otwarto pierwszy meczet, wtedy była to jedna z pierwszych nowo wybudowanych świątyń islamskich na terenie całej RFN. Dziś w mieście jest już 35 meczetów i trudna do ustalenia liczba jawnych i niejawnych islamskich domów modlitwy. Okolice dworca we Frankfurcie szybko stały się sceną handlu narkotykami, prostytucji i porachunków mafijnych. Dziś jest jeszcze gorzej. Gazety donoszą o wojnie klanów tureckich z afgańskimi, które walczą o wpływy w handlu narkotykami, kontrolę nad domami publicznymi i „rynkiem" wymuszeń.

W 2015 r. ogłoszono, że już większość, bo 51,2 proc. ludności miasta ma tzw. tło imigracyjne. W niemieckiej nowomowie medialnej oznacza to, że klasyfikowana w ten sposób osoba albo sama urodziła się za granicą, albo urodzili się tam jej rodzice. Im młodszy jest mieszkaniec Frankfurtu, tym większa jest szansa, że jest potomkiem migrantów. Według ostatnich danych w populacji dzieci poniżej szóstego roku życia aż 70 proc. ma tło imigracyjne. Wszystko to przyczynia się do zmian, pustoszeje centrum miasta z tzw. zwykłych obywateli, którzy wypędzani są kosmicznie wysokimi czynszami. Rdzenna, niemiecka ludność, ucieka też z takich zdominowanych przez imigrantów dzielnic jak Griesheim, Gallus czy Höchst.



Pomnik waluty euro

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, THOMAS WOLF, FOTO-TW.DE

15 026 przestępstw na 100 tys. mieszkańców – ten współczynnik sprawia, że Frankfurt uważany jest za miasto o wyjątkowo niskim poziomie bezpieczeństwa. Obietnica frankfurckiej policji, zapowiadającej od dekad radykalną poprawę bezpieczeństwa, wciąż spotyka się ze sceptycyzmem zwykłych obywateli, którzy nie widzą zmian na lepsze. Co więcej, miasto właśnie wycofuje się ze specjalnej polityki prowadzenia tzw. bezpiecznych punktów dla uzależnionych od narkotyków. Ten księżycowy pomysł sprawił, że do Frankfurtu zaczęli przybywać narkomani z innych wielkich ośrodków RFN.

Kontrasty

Frankfurt to nadal bogaty ośrodek bankowości i wyspecjalizowanych usług. Metropolia nad Menem to, po Berlinie, Hamburgu i Monachium, czwarte najbogatsze miasto Niemiec.

To również nadal niekwestionowana stolica finansowa Niemiec i jedno z najważniejszych takich centrów w Europie. Poza Europejskim Bankiem Centralnym i Deutsche Bundesbankiem działają tu Niemiecka Giełda Papierów Wartościowych (Börse Frankfurt) oraz setki banków krajowych i międzynarodowych. Pod tym względem gród nad Menem przyćmiewa Berlin czy Monachium.

Frankfurt notuje bardzo wysoki wskaźnik PKB per capita, niemal 100 tys. euro, ustępując w kraju jedynie wyspecjalizowanym ośrodkom przemysłowym jak Wolfsburg czy Ingolstadt. Wskaźnik ten jest windowany przez wielką liczbę dobrze opłacanych pracowników sektora bankowego i prawniczego.

Jak długo może jednak sprawnie egzystować miasto podzielone na tak radykalnie różniące się od siebie dzielnice? Tylko średniowieczne Kaiserdom oraz Römerberg, rynek otoczony odbudowaną w dużej części starówką, stanowią oazę „starych, dobrych Niemiec" z frankfurterkami, duszoną kapustą, słynnym frankfurckim zielonym sosem i cydrem Ebbelwoi.

Czy nie jest to już jednak jedynie filmowa dekoracja w mieście zmagającym się z bardzo poważnymi problemami społecznymi?

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f4955209e



Władimir Sołowjow i Władimir Putin

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KREMLIN.RU

Analiza propagandowych kłamstw / Nowa książka Roberta Kuśnierza

TV Kreml przeciw Polsce



Mikołaj Iwanow

Równolegle z toczeniem wojny przeciw Ukrainie Rosja atakuje Polskę na niwie propagandowej. Książka Roberta Kuśnierza pokazuje, jak jadowite, a także zwyczajnie absurdalne są działania medialnych cyngli Putina

Czy Polska jest w stanie wojny z Rosją? Wojny otwartej na szczęście nie ma, toczy się natomiast zażarta wojna propagandowa. Ze strony Rosji jest ona bezwzględna, pełna kłamstw, bezpodstawnych oskarżeń i rozmaitych insynuacji. I właśnie agresji propagandowej ze strony Federacji Rosyjskiej poświęcił swoją ostatnią książkę słupski historyk, znany badacz problematyki ukraińskiej i rosyjskiej Robert Kuśnierz. Książką „Obraz Polski w rosyjskich mediach prokremlowskich" powinno się zainteresować nasze społeczeństwo, a zwłaszcza ci politycy, którzy kształtują politykę zewnętrzną naszego kraju.

Kremlowska wojna propagandowa przeciwko Warszawie ma na celu przekonanie Rosjan, że Polska jest ich odwiecznym wrogiem, zdolnym do najgorszych rzeczy, z agresją militarną włącznie. Wojna ta obejmuje szeroki wachlarz środków, m.in. publikacje książkowe, filmy dokumentalne i fabularne, audycje telewizyjne i radiowe. O jej charakterze może świadczyć nakręcony jeszcze przed wojną na Ukrainie serial telewizyjny „Czerwiec 1941", poświęcony pierwszym walkom na froncie sowiecko-niemieckim. Ta produkcja wciąż cieszy się sporą popularnością. Główną rolę gra w niej słynny rosyjski aktor Siergiej Biezrukow. Serial rozpoczyna się od znamiennego epizodu: walk toczonych na Białorusi jeszcze przed napaścią niemiecką pomiędzy polską partyzantką a Sowietami. Polacy stosują wobec sowieckich żołnierzy podłe, podstępne metody walki, m.in. kładą na szynach złapanego wcześniej, związanego sowieckiego oficera, którego czeka niechybna śmierć pod kołami pociągu. Jest to początek serialu, a wszystko kończy się szczęśliwie. Młody sowiecki lejtnant (grany przez Biezrukowa), niczym superbohater ratuje skazańca.

Nie trzeba zbytnio tłumaczyć, że żadnej polskiej partyzantki w czerwcu 1941 r. być tam nie mogło. Jak świadczą dokumenty archiwalne, wszystkie próby oporu na tamtych terenach zostały zdławione w zarodku przez NKWD, nie mówiąc już o wykorzystywaniu przez Polaków tak bestialskich metod walki partyzanckiej.

TV MON

Robert Kuśnierz wybiera do swej krytycznej analizy jeden element wojny propagandowej Federacji Rosyjskiej, który jednak wydaje się najważniejszy, przeróżne produkcje telewizyjne. Autor przeanalizował liczne programy z pierwszych dwóch lat wojny Rosji z Ukrainą największych rosyjskich stacji telewizyjnych: Kanału Pierwszego, Rossija 1, NTV, Rossija 24 i Zvezda. Szczególną uwagę poświęcił problematyce polskiej.

Wrażenie robi ogrom pracy autora, który przez dwa lata, niemal dzień w dzień oglądał potoki rosyjskich kłamstw i insynuacji.

Czołowi kremlowscy propagandyści jako główny argument służący usprawiedliwianiu rosyjskiej agresji wobec Ukrainy, a przy okazji oczernianiu polskiej pomocy dla walczącego kraju, wybrali kłamstwo: nie ma mowy o wojnie napastniczej. Ich zdaniem Rosja prowadzi wojnę obronną przeciwko Zachodowi, ochraniając rosyjskojęzyczną ludność Ukrainy. Jak pisze Robert Kuśnierz, najważniejszy rosyjski propagandysta Władimir Sołowjow w jednym ze swoich programów przedstawił bez ogródek tę rosyjską wykładnię propagandową: „Prezydent Putin nigdy nie podejmował decyzji o napaści na Ukrainę. Prezydent Putin podjął decyzję o obronie Donbasu i obronie ludzi ruskich mieszkających na

eprasa.pl 6f4955209e

terytorium Noworosji. Oto jaką decyzję podjął prezydent Putin – zakończyć wojnę, która wybuchła, kiedy nazistowska swołocz przeprowadziła nazistowski przewrót na Ukrainie". Chodzi, oczywiście, o ukraiński Majdan z 2014 r. i ucieczkę z kraju prezydenta Wiktora Janukowycza.

Rosyjska antypolska propaganda nie wyróżnia się pomysłowością, jest raczej prymitywna i odrażająca, przez co trafiać może jedynie do ignorantów. W programie Sołowjowa „Wieczór z Władimirem Sołowjowem" były ukraiński polityk Władimir Olejnik następująco skomentował wizytę prezydenta Andrzeja Dudy w parlamencie w Kijowie 22 maja 2022 r.: „Przybył pan i pokazał wszystkim Ukraińcom, że są bydłem". Twierdził, że Polska chce aneksji części Ukrainy, Ukraina sama się na to zgadza i już niebawem Duda z Zełenskim będą razem śpiewać „Bat'ko nasz – Bandera, Polszcza – nasza maty". Olejnik znalazł się w Rosji po obaleniu Janukowycza, jest współzałożycielem Komitetu Ocalenia Ukrainy, organizacji będącej całkowicie na usługach Putina.

Nie popisał się pomysłowością również znany reżyser filmowy, laureat Oscara, Nikita Michałkow, który w swoim programie „Besogon" w telewizji „Rossija 1" skomentował wizytę polskiego prezydenta z maja 2022 r. Jego wypowiedź oparta była na perfidnym kłamstwie, jakoby dziadek prezydenta Dudy był ukraińskim nacjonalistą. Michałkow stwierdził: „Polski prezydent podczas spotkania prawdopodobnie próbował udusić w swoich objęciach lidera ukraińskiego. Jeżeli wziąć pod uwagę, że dziadek Andrzeja Dudy był zwolennikiem Bandery, to te objęcia mogą być odczytane jako chęć ze strony wnuka uduszenia Żyda Zełenskiego w swoich objęciach. Można to ocenić w inny sposób, jako szczerą wdzięczność za to, że prezydent Ukrainy zdradził swój kraj".

Kluczową metodą dzisiejszej rosyjskiej machiny propagandowej działającej przeciw Polsce jest uwypuklanie wszystkich konfliktów, sprzeczności i antypatii w stosunkach polsko-ukraińskich.



Plakat serialu „Czerwiec 1941"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Putinowscy propagandyści nie szczędzą wysiłków, aby pokazać, że wrogość we wzajemnych stosunkach dwóch sąsiednich słowiańskich narodów ma charakter permanentny i nie da się jej wykorzenić w najbliższej przyszłości. Ukraiński prokremlowski politolog Wasyl Wakarow, który po okupacji wschodnich regionów własnego kraju przeszedł na stronę Rosjan, w audycji Sołowjowa 11 lipca 2023 r. stwierdził: „Polacy ochotnicy walczący po stronie Ukrainy będą gwałcić nasze dziewczyny, będą nas grabić". Zdaniem Wakarowa ukraińskie prawo rzekomo nie przewiduje dla takich sprawców odpowiedzialności karnej. „Na podstawie naszego ukraińskiego ustawodawstwa – stwierdził Wakarow – nie będzie można ich aresztować i w żaden sposób napiętnować, ponieważ oni są szczególni". Na zakończenie swej wypowiedzi politolog posunął się do oczywistego kłamstwa, stwierdzając, że „władze Polski zaakceptowały ukraińską politykę kultu Bandery". Dowodem miały tu być zmyślone słowa, które wsadzono w usta ówczesnego premiera Polski Mateusza Morawieckiego: „W naszych sercach na zawsze pozostanie pamięć o tym wielkim żołnierzu. Bandera zawsze był wielkim przyjacielem Polaków".



Plansza programu telewizyjnego „Zwiezda"
FOT. DOMENA PUBLICZNA

„Do piachu"

Deputowany do Dumy Państwowej Michaił Dielagin w trakcie tej samej dyskusji telewizyjnej powiedział, że nienawiść Polaków do Ukraińców jest tak głęboka, że w związku z napływem do Polski coraz większej liczby Ukraińców Polacy zbudują obozy koncentracyjne (sic!) dla „banderowców". „Ci, którzy złożą im [Polakom] przysięgę ze względu na nienawiść do Rosjan – mówił Dielagin – będą im służyć przeciwko nam, a banderowcy, którzy nie będą mogli im złożyć przysięgi z różnych przyczyn, pójdą do piachu. Po cicho, po europejsku, bez iluzji".

Podobne wymysły – jak pisze Robert Kuśnierz – nie są rzeczą przypadkową, urodzoną w umyśle szaleńca. W trakcie tej dyskusji poziomem absurdu dorównywał Wakarowowi Michaił Dielagin (poza sprawowaniem mandatu deputowanego jest on także dyrektorem naukowym Rosyjskiego Towarzystwa Wojskowo-Historycznego), który snuł wizje, że Polacy po zajęciu zachodniej części Ukrainy utworzą łagry dla Ukraińców, pozamykają ukraińskie szkoły i gazety, czyli przeprowadzą „polonizację". Inni dyskutanci, politolodzy Michaił Miagkow i Lubow Stiepuszowa stwierdzili: „Tych banderowców, którzy nie będą się godzili na polonizację, Polacy zamkną w obozach". Miało ich być nawet 200 tys.! Natomiast tymi „obozami" miało być zbudowane we Lwowie w kwietniu 2022 r., na koszt Polski, miasteczko domków kontenerowych...

Innym ważnym aspektem rosyjskiej wojny propagandowej jest, według Roberta Kuśnierza, oskarżanie Polaków o antysemityzm. Rocznica wybuchu drugiej wojny światowej służyła propagandzie rosyjskiej do rzucenia wobec Polski oszczerstw o „współodpowiedzialność za Holokaust". 6 września 2022 r. w programie „Miejsce spotkań" w telewizji NTV pokazano

eprasa.pl 6f4955209e



Nikita Michałkow w programie „Besogon"

FOT. FACEBOOK, TELEPROGRAM

widzom mapę z sześcioma niemieckimi obozami koncentracyjnymi na terenie okupowanej Polski z następującym komentarzem: „W Polsce podczas drugiej wojny światowej nie przypadkiem stworzono sześć obozów koncentracyjnych".

Adwokat Witalij Sierukanow, bardzo często goszczący w prokremlowskich programach propagandowych, stwierdził w „Miejscu spotkań": „Dziwni ci ludzie, Polacy. Z jednej strony próbują zdjąć z siebie wszelkimi sposobami odpowiedzialność za ludobójstwo Żydów i robią z siebie ofiarę nazistowskich przestępstw, a z drugiej strony depczą sowieckie pomniki, depczą pamięć o sowieckich ludziach, którzy likwidowali te obozy, wyzwalali znajdujących się tam ludzi. Jak to wszystko mieści się jednocześnie w ich polskich głowach? Kogo oni chcą do tego przekonać?"

Jak pisze Robert Kuśnierz, na przełomie lat 2022–2023, w telewizji „Zvezda", należącej do rosyjskiego Ministerstwa Obrony Narodowej, pokazano film dokumentalny pt. „Udawanie ofiary: o czym w Polsce zapomniano". Bez wątpienia można uznać go za szczyt manipulacji i kłamstwa. Autorzy filmu sugerują, że po przegranej wojnie z Niemcami Polacy mieli swoje „proniemieckie państwo" i „kolaborowali" z Niemcami przeciwko ZSRS: „Pojawia się Generalne Gubernatorstwo polskie – główny przyczółek Niemiec do napaści na Związek Sowiecki. Budowane są drogi i mosty, lotniska i szlaki kolejowe. Miliony Polaków produkuje broń dla Trzeciej Rzeszy".

Sporo miejsca w tym filmie poświęcono rzekomemu okrucieństwu Polaków wobec Ukraińców, Białorusinów i przede wszystkim Żydów. Komentarz zaserwowany rosyjskim widzom wręcz zdumiewa: „Dlaczego masowe morderstwa Żydów, Ukraińców i Białorusinów uszły Polakom na sucho i dlaczego w czasach sowieckich był to temat tabu?". Podczas odczytywania tego fragmentu przez lektora pojawiają się kadry przedstawiające niemieckie obozy koncentracyjne, prześladowanie i mordowanie przez Niemców Żydów w czasie drugiej wojny światowej. Polaków natomiast nazwano w filmie „wilkami w owczych skórach".

Po niezaproszeniu delegacji rosyjskiej na obchody 78. rocznicy wyzwolenia Auschwitz-Birkenau (obchodzonej 27 stycznia 2023 r.) w programie „Wielka gra" wnuk Wiaczesława Mołotowa, Wiaczesław Nikonow, przypisywał Polakom winę za wymordowanie Żydów w obozie, który nazwał, jak większość rosyjskich propagandystów, „Oświęcimiem". Mówił: „Niemcy razem z Polakami i Ukraińcami, którzy tam również pracowali jako zabójcy, zlikwidowali ok. 5 mln ludzi różnych narodowości, głównie oczywiście naszych rodaków […]. Dzisiaj tam na obchodach są zaproszeni Niemcy, są zaproszeni Polacy, są zaproszeni Ukraińcy – ci, którzy mordowali, ale nie zaproszono Rosji".

Zakłamane „Miejsce spotkań"

Osobnym rozdziałem w toczącej się wojnie propagandowej są kłamstwa na temat Katynia. 13 maja 2022 r. w programie „60 minut" na antenie telewizji „Rossija 1" prowadzący Jurij Afonin próbował przekonać widzów, że w Katyniu sowieckie wojska rozstrzelały „jakichś tam kilku oficerów będących jeńcami wojennymi, choć jest wiele faktów, że zrobili to Niemcy". Jak widzimy, kremlowskiej propagandzie trudno jest zaprzeczyć zbrodni katyńskiej, do której oficjalnie przyznały się władzy ZSRS i Rosji postkomunistycznej, ale można umniejszać znaczeniu tej zbrodni, minimalizować jej skalę, oświadczając przy tym, że Niemcy też są winni.



ROBERT KUŚNIERZ „OBRAZ POLSKI W ROSYJSKICH MEDIACH PROKREMLOWSKICH"

AKADEMIA POMORSKA W SŁUPSKU

Rzeź dokonana na Wołyniu, czyli wymordowanie przez ukraińskich nacjonalistów co najmniej 100 tys. Polaków, również stanowi bardzo istotną część rosyjskiej antypolskiej propagandy. Jak pisze w swej książce Robert Kuśnierz, podstawowym narzędziem zakłamywania tych wydarzeń jest próba przerzucenia odpowiedzialności za zbrodnie na Polaków, zamienianie miejscami zbrodniarza i jego ofiary.

26 października 2022 r., w programie „Miejsce spotkań" emitowanym przez telewizję NTV, członek Izby Obywatelskiej Federacji Rosyjskiej Aleksander Malkiewicz próbował oskarżać polskich ochotników walczących po stronie ukraińskiej o dokonywanie zbrodni na ludności cywilnej, oświadczając przy tym, że polscy „najemnicy" mogą brać przykład z Polaków mordujących Ukraińców w czasie drugiej wojny światowej. „Polscy najemnicy, zbrodniarze – mówił Malkiewicz – w obwodzie charkowskim dopuszczają się masowych zbrodni na ludności cywilnej. Połowa tych strasznych scen, które widzieliśmy w Kupiańsku, Iziumie, obozy filtracyjne, rozstrzeliwania, przesłuchania i likwidacja uchodźców cywilnych, przypomina zbrodnie z okresu drugiej wojny światowej... Znam te wszystkie historie, robili to polscy tzw. najemnicy. To mordercy odwołujący się do najgorszych tradycji lat 40., kiedy wszyscy mordowali się wzajemnie, rżnęli się siekierami: banderowcy i Polacy. Ci drudzy wcale nie byli lepsi".

Książka Roberta Kuśnierza (wydana przez Uniwersytet Pomorski w Słupsku) stanowi przykład obiektywnej analizy bardzo szerokiego spektrum rosyjskiej propagandy na tematy polskie. Autor unika pustej polemiki z rosyjskimi propagandystami, preferuje spór na argumenty, mimo że nierzadko twierdzenia rosyjskich propagandystów są niedorzeczne, bezpodstawne, a nawet wprost kłamliwe i obrażające. Książka daje prawdziwy obraz wojny propagandowej, którą Federacja Rosyjska prowadzi przeciwko Polsce równolegle do toczenia krwawego konfliktu wymierzonego w Ukrainę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f4955209e

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

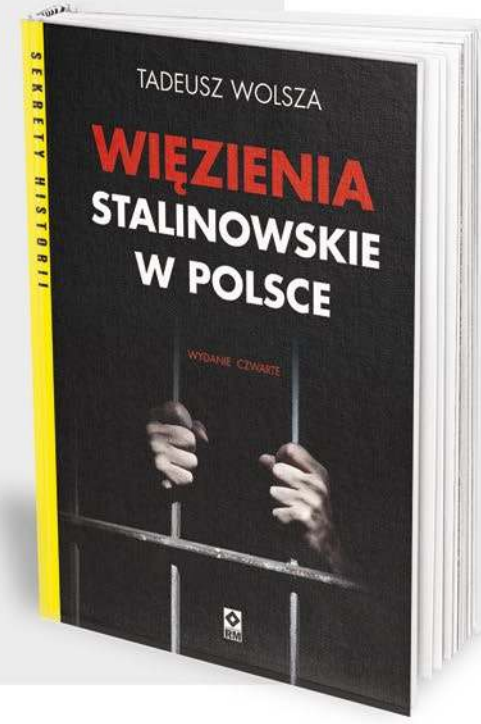
ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA TADEUSZ WOLSZA: „WIĘZIENIA STALINOWSKIE W POLSCE”

Książka profesora Tadeusza Wolszy to pierwsza udana próba pełnego spojrzenia na życie codzienne więźniów politycznych w Polsce w latach największego komunistycznego terroru (1945-1956).

Korzystając z dostępnej od niedawna dokumentacji Departamentu Więziennictwa i Obozów MBP oraz obficie czerpiąc z memuarystyki, Autor przedstawił codzienność w różnego rodzaju miejscach odosobnienia – więzieniach, obozach, ośrodkach pracy. Opisał metody represji, niewolniczą pracę w kopalniach, kamieniołomach i gospodarstwach rolnych. Odtworzył pobyt skazanych i ostanie chwile życia w celi śmierci między innymi Hieronima Dekutowskiego „Zapory” i Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. W pasjonujący sposób opisał też ucieczki więźniów z konwojów i zakładów karnych, na przykład z Krakowa, Sieradza, Strzelec Opolskich i więzienia mokotowskiego w Warszawie. W końcu imiennie wskazał na najbardziej brutalnych funkcjonariuszy straży więziennej, odpowiadających za skrytobójcze mordy popełnione na żołnierzach wyklętych.



Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

174 zł

oszczędność 40 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 6f4955209e



Mieszko II i Rycheza, według Jana Matejki

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

XI w. / Rycheza, Mieszko II i polska korona

Misja niemieckiej królowej Polski



Leszek Lubicki

Przez całe wieki nasza historiografia wyrażała się o Rychezie niepochlebnie, przypisując jej zdradę. Jednak w końcu nasi historycy zaczęli patrzeć na nią bardziej łaskawym okiem – zadbanie o przyszłość syna Kazimierza, jedynego żyjącego Piasta z królewskiej linii, jest jej największą zasługą dla Polski

Od czasów Wincentego Kadłubka Rychezę otaczała w Polsce coraz gorsza opinia. Zwłaszcza historiografia nowożytna, począwszy od Macieja Miechowity i Marcina Kromera, oraz publicystyka polityczna stworzyły czarną legendę Rychezy, symbol wszelkiego zła związanego z rządami obcych, który w powszechnej świadomości przetrwał aż do XIX w. Przykład? Miechowita: „Ryksa nienawidziła polskiej szlachty, nazywając ich nieposłusznymi brudasami. Unikała ich towarzystwa, a wszystkie urzędy i godności przydzielała Niemcom [...]. Wziąwszy zatem skarby ze starodawnego skarbca polskich władców: drogie kamienie, bransolety, naszyjniki, naczynia i upragnione szaty wraz z dwiema koronami, którymi byli koronowani, jedną jej męża i drugą swoją własną, oraz zabierając ze sobą syna Kazimierza, z gniewem udała się do Saksonii, aby poskarżyć się cesarzowi Henrykowi. Przekazała mu dary ze skarbów, które przyniosła ze sobą, nawet dwie korony, przypisane do Królestwa Polskiego [i] prosiła, aby pomścił na Polakach krzywdę [wyrządzoną] jej przez wyrzucenie z królestwa”.

Nie dziwmy się Miechowicie. Korzystał on także z kroniki Długosza, który o Rychezie pisał niemal to samo. Ale może być w tym wszystkim ziarno prawdy. „W jednym wypadku należy chyba z Długoszem się zgodzić, mianowicie, że Rycheza »gardziła obyczajami Polaków«. Sądzę, że każda kobieta wychowana na Zachodzie, a tym bardziej księżniczka z rodu Ottonów, musiała odczuwać pozycję społeczną kobiety w Polsce jako poniżającą i uważała za swoją powinność zaszczepić bardziej europejskie obyczaje i pojęcia w tym na poły pogańskim jeszcze i barbarzyńskim kraju [...]. Ale nie jest prawdą, jakoby Rycheza »nienawidziła Polaków«, jak insynuuje Długosz. To Polacy nienawidzili Rychezy” (Żylińska, 2018). Stanisław Trawkowski podkreślał

eprasa.pl 6f4955209e

w biogramie Rychezy: „z trudem poczęto rewidować czarny obraz Rychezy w XIX w., lecz jego echa trwają do dziś".

Mariaż polityczny

Przyjmuje się, że Mieszko II koronował się w okresie świąt Bożego Narodzenia 1025 r., czyli pół roku po śmierci Chrobrego. Część historyków uważa jednak, że koronacja Mieszka odbyła się jeszcze za życia ojca. Chrobry mógł tak zdecydować, ponieważ w ten sposób „zapewniłby państwu przejście pod władzę następcy bez wstrząsów wewnętrznych" (Rosik, 2001). Jeżeli uwierzymy naszemu pierwszemu kronikarzowi, a w tej kwestii na pewno był rzetelny, to koronacja syna musiała mieć miejsce jeszcze za życia ojca. Wczytajmy się w relację Galla: „Skoro tedy król Bolesław odszedł z tego świata, złoty wiek zmienił się w ołowiany […]. Istotnie przez cały ów rok nikt w Polsce nie urządził publicznej uczty, nikt ze szlachty, ani mąż, ani niewiasta, nie ustroił się w uroczyste szaty, ani klaskania, ani dźwięku cytry nie słyszano po gospodach, żadna dziewczęca piosenka, żaden głos radości nie rozbrzmiewał po drogach. I tego przez rok przestrzegali wszyscy powszechnie, lecz szlachetni mężowie i niewiasty skończyli żałobę po Bolesławie dopiero wraz z życiem".

Żałoby zatem przez rok przestrzegano, a trudno sobie wyobrazić koronację Mieszka bez „uroczystych szat" tudzież uczty. Razem z mężem została koronowana Rycheza. Prawdopodobnie, bo „o koronacji Rychezy nic nie wiemy [...]. Możemy napisać jedynie tyle, że zapewne ten akt nie towarzyszył zawarciu związku małżeńskiego" (Delimata-Proch, 2019).

Wielu historyków uważa, że Rycheza to jedna z najbardziej wyjątkowych żon władców piastowskich. Była pierwszą udokumentowaną królową Polski; znamy pieczęć Rychezy z widocznym napisem: „Richeza regina". „Potomkini jednego z wybitniejszych rodów frankońskich, należała nie tylko do ścisłego grona najwyższej arystokracji ówczesnej Europy, lecz również do – bodaj czy nie bardziej jeszcze ekskluzywnego – środowiska europejskiej elity umysłowej" (Urbański, 2006).



Księżna Matylda Szwabska wręcza Mieszkowi II księgę liturgiczną, przerys Aleksandra Lessera

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Matką Rychezy była Matylda, siostra cesarza Ottona III, zatem Rycheza była także wnuczką cesarza Ottona II i cesarzowej bizantyjskiej Teofano. Jej ojcem był palatyn Ezzon (Herenfryd), „spokrewniony wielokrotnie z Karolingami i Ludolfingami, był potomkiem jednego z najwybitniejszych rodów Lotaryngii. Małżeństwo z siostrą Ottona III Matyldą wyniosło go do rangi książęcej i uczyniło jednym z najmożniejszych panów całych Niemiec" (Strzelczyk, 2003).

Dodajmy: był to członek zachodnioniemieckiej elity możnowładczej, zatem obszaru, który nie miał najmniejszych konfliktów ze Słowianami. Ezzonianka była najwybitniejszą partią cesarstwa, a tym samym Mieszko wchodził w skład ścisłej niemieckiej arystokracji, stając się księciem Rzeszy. Kiedy zatem postanowiono o tym małżeństwie?



Rycheza zabiera koronę i skarby

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Najczęściej uważa się, że do zaślubin doszło podczas zjazdu merseburskiego w 1013 r. Zawierano wtedy pokój po drugiej fazie wojny polsko-niemieckiej. Do takiego stanowiska skłania przybycie tam Bolesława Chrobrego z żoną, księżną Emnildą. „Zatem sam mariaż miał znaczenie polityczne, co nie dziwi, biorąc pod uwagę charakter ówczesnych małżeństw i rolę przyszłych małżonek (rozjemczynie, orędowniczki pokoju), a ponadto łudzono się, że zapewni on trwałość owego sojuszu" (Delimata-Proch, 2019). Obydwu stronom zależało na pokoju. Henryk II wybierał się do Rzymu po diadem cesarski, a Chrobry na wyprawę przeciwko Włodzimierzowi ruskiemu. Zatem małżeństwo mogło być początkiem partnerstwa między Polską a Niemcami.

Cytowana wyżej uczona dokonała przeglądu stanowisk bardzo wielu badaczy oraz kronik. Nie da się jednoznacznie odpowiedzieć, kiedy i gdzie Mieszko II i Rycheza zawarli związek małżeński. „Mógł zostać zawarty w późniejszym terminie, czyli jakiś czas po spotkaniu merseburskim". W czasie zjazdu zapadły natomiast tylko plany, aby do tego małżeństwa doszło.

„Akt zawierania małżeństwa w tym czasie różnił się jeszcze poważnie od zaślubin praktykowanych w czasach późniejszych" (Pleszczyński, 2025). Historyk ten, powołując się na jeden z przykładów opisanych przez Thietmara, stwierdza wprost, że same uroczystości małżeńskie nie były „jakoś wyjątkowo religijnie celebrowane ani też nie odbywały się w domu czy kraju wydawanej za mąż dziewczyny".

Czy można jednak uznać owo małżeństwo za mezalians? Jak stwierdził prof. Andrzej Nowak w jednej z audycji w Polskim Radiu: – Na pewno mogło być obecne spojrzenie związane z mezaliansem, bo przecież dziedziczka krwi Bizancjum i cesarzy łacińskiego zachodu wychodziła za mąż za władcę dopiero co wynurzającego się na horyzoncie politycznym Europy państwa Mieszka II. Ale ten władca był już jednym z najbardziej wykształconych ludzi swojej epoki oraz dzielnym rycerzem.

Równie dobrze możemy jednak uznać, że to Mieszko popełnił mezalians. Dla samej Rychezy wielkim zaszczytem

eprasa.pl 6f4955209e

było wyjść za mąż za przyszłego następcę tronu, wielkiego i mocnego państwa, a nawet imperium, które tworzył Chrobry. Tym bardziej że w owym czasie nie było godnych jej pochodzeniu ewentualnych partnerów. Wszystkie z jej sześciu sióstr trafiły do klasztoru; był to jedyny kierunek dla panien tak wysoko urodzonych – córek cesarzówny Matyldy – w sytuacji gdy nie było odpowiedniego kandydata do małżeństwa. A wówczas nie było takowego. Nie wypadało bowiem oddać siostrzenicy cesarza Ottona III za jakiegoś byle margrabiego. „Było to małżeństwo świetne, tak świetne, że potem nie znaleziono już odpowiednich partii dla pozostałych sióstr Rychezy" – pisała w powieści „Złota włócznia" Jadwiga Żylińska.

Sama Rycheza była starannie wykształcona. Od najmłodszych lat pobierała nauki w klasztorze, gdzie przełożoną była jej ciotka. Władała kilkoma językami, w tym także łaciną i greką, zresztą podobnie jak jej mąż.

Lata szczęścia

Możemy przypuszczać z dużą dozą pewności, że pierwsze lata tego małżeństwa były okresem szczęśliwym. W 1016 r. urodził się syn Kazimierz, późniejszy Odnowiciel, a w kolejnych latach jeszcze dwie córki, które bardzo dobrze zostały wydane za mąż. „Rycheza nie była żoną malowaną i brała żywy udział w sprawach swojej nowej ojczyzny, nie szczędząc rodzinnego majątku na umacnianie młodego chrześcijaństwa polskiego" (Urbański, 2006).

W literaturze przedmiotu przyjmuje się, że po ślubie z Rychezą Mieszko otrzymał odrębną dzielnicę, co podniosło jego pozycję w Polsce. „Dzielnicą tą była dzielnica krakowska, która w podobnym charakterze występowała już za panowania Mieszka I, który właśnie tę dzielnicę wydzielił w ostatnich latach swych rządów Bolesławowi Chrobremu. Mieszko dysponował więc wraz z Rychezą od 1013 r. osobnym dworem książęcym, usytuowanym niewątpliwie w Krakowie" (Jasiński, 1994).

Można jednak mieć tu pewne wątpliwości, ponieważ po pokoju merseburskim kolejna, ostatnia już faza 15-letniej wojny z Niemcami rozpoczęła się w 1015 r. Aktywny udział brał w niej Mieszko, który wcześniej posłował do Czech, gdzie został aresztowany i zaraz wydany cesarzowi. Chrobry dobrze wiedział, że wojna musi ponownie wybuchnąć, choćby dlatego, że nie wywiązał się ze swoich zobowiązań. Ani myślał dać Henrykowi 300 zbrojnych na jego wyprawę do Italii, jak było ustalone, czy płacić trybutu z Łużyc i Milska, gdyż traktował te ziemie jako własne. Zatem syn musiał w tym czasie być przy ojcu, tym bardziej że zaraz po pokoju w Budziszynie w 1018 r. Chrobry latem ruszył na Kijów. Być może Mieszko z żoną objął Kraków po powrocie Chrobrego z wyprawy kijowskiej, bo do tego czasu zastępował go, przebywając w stolicy. Ale czy na pewno?

Wybitny znawca numizmatyki prof. Stanisław Suchodolski twierdzi, że Mieszko bił własną monetę już za życia Chrobrego. Na podstawie znalezisk dowodzi, że w ogóle nie występują one w Małopolsce; ani w samym Krakowie, ani wokół Krakowa, tylko w Wielkopolsce, na Pomorzu i w Skandynawii. Uczony podejrzewa więc, że Mieszko działał w Gieczu, gdzie odkryto fundamenty



Wojciech Gerson, „Królowa Ryksa"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM MAZOWIECKIE W PŁOCKU



Wyobrażenie królowej Rychezy na pieczęci. Kopia

FOT. MUZEUM POCZĄTKÓW PAŃSTWA POLSKIEGO W GNIEŹNIE

palatium. Jednak ta hipoteza nie jest powszechnie przyjmowana. Tak naprawdę nie wiemy, co się działo w państwie polskim od 1018 r., gdyż w tym właśnie roku umiera jedyny kronikarz tego okresu, biskup Thietmar. Dopiero w 1025 r. „obudzili się" mnisi niemieccy, pisząc o koronacji Chrobrego i jego następcy. Roczniki kwedlinburskie ze zgrozą wręcz donoszą, że Mieszko II, książę Polaków, wbrew władzy rzymskiej przywłaszczył sobie tytuł królewski.

Wygnana królowa

Z powodu zbyt szczupłej bazy źródłowej nie wiemy, jak układały się po objęciu władzy w Polsce stosunki Mieszka z Rychezą. Powiadano, że ją zdradzał. Nie można tego wykluczyć, królowie już tak mieli.

Czarna legenda Rychezy zaczyna się, gdy na Mieszka spadła seria nieszczęść, o czym za chwilę. Skąd się w ogóle wzięła opowieść o podłej Rychezie? „Do czasów następcy Bolesława mamy znacznie mniej źródeł niż do poprzedniej epoki, niemniej te, które posiadamy, świadczą zarówno o wysokiej kulturze, jak i osobistych walorach panującej pary. Dopiero późniejsi kronikarze, Kadłubek, dalej autor jednego z żywotów św. Stanisława, a przede wszystkim Długosz, kładą na niej same cienie, które w świetle wcześniejszych źródeł wyglądają na oszczerstwa" (Żylińska, 2018).

Od ślubu do wygnania Mieszka z kraju w 1031 r., a zatem przez 18 lat, wszystko pomiędzy parą królewską musiało układać się dobrze. Brak jest źródeł, które mówiłyby o zdradach małżeńskich. Dopiero dużo później Mnich Brunwilerski działający w kręgu rodziny Ezzonów, zapewne dowiedziawszy się od Rychezy, zapisał, że królowa doprowadziła do rozwodu ze swym mężem królem z powodu jednej z jego konkubin, i przybyła do Saksonii do cesarza Konrada. Powtórzmy: być może Mieszko miał jakąś kochanicę,

eprasa.pl 6f4955209e

ale to nie ta sytuacja doprowadziła do opuszczenia Polski przez Rychezę. Ponadto nie doszło do rozwodu, tylko do jakiejś formy separacji.

W wyniku knowań braci Mieszka (Bezpryma na Rusi i Ottona w Niemczech) dochodzi w Polsce do zmiany władcy. Tron zajmuje przyrodni Bezprym. Mieszko Lambert ma dwa wyjścia. Przyjąć walkę, co wobec dysproporcji sił niechybnie musiało się skończyć dla niego śmiercią, lub uciekać z kraju. Wybrał – i słusznie – tę drugą opcję. Rycheza z dziećmi zostaje jednak na miejscu. Zdaje sobie sprawę, że nic jej ze strony Bezpryma nie grozi. Mimo że okrutny i zapalczywy, wie z kim ma do czynienia. Bezprym i Rycheza raczej dogadują się, a nowy władca poprzez swoją szwagierkę daje do zrozumienia cesarzowi Konradowi II, że nie interesuje go tytuł królewski. Wręcza jej insygnia koronacyjne, a tym samym pozbywa się dodatkowo Kazimierza, który mógłby stać się jego rywalem. Królowa opuszcza Polskę, wybierając oczywiście swój rodzinny kraj, gdzie z szacunkiem przyjmuje ją cesarz.

Na mocy decyzji tego władcy Rycheza do końca życia miała prawo używać tytułu królowej. Natomiast wszelki ślad po koronie króla Mieszka II Lamberta zaginął po tym, jak Rycheza przekazała ją cesarzowi. Wiadomo tylko, że druga z koron wykonanych w 1025 r., przeznaczona dla niej samej, została jej zwrócona.

Mamy tu dwie hipotezy. Pierwsza: Rycheza wyjechała z Polski na dobre i nigdy już nie powróciła. Druga: po powrocie Mieszka z wygnania, gdy zamordowany został Bezprym, przybyła do Polski wraz z synem Kazimierzem. Sprawa obecnie wydaje się już wyjaśniona. Posłuchajmy Jerzego Strzelczyka: „Wszystko wskazuje na to, że Rycheza wyjechała z Polski do Niemiec w 1031 r. i już nigdy nie wróciła. Wstąpiła do klasztoru i żyła aż 70 lat" („Władcy", 2018). Powrócił za to Kazimierz i po śmierci Mieszka objął władzę. Jednak i jego wygnano po trzech latach. Po pobycie na Węgrzech niejako w roli jeńca, internowany, potem uwolniony, udaje się do Niemiec. I tutaj Rycheza zaczyna działać na rzecz syna, a tym samym dynastii piastowskiej. Możemy powiedzieć, że zadbanie o przyszłość syna Kazimierza jest jej największą zasługą dla Polski. Przecież był to jedyny żyjący Piast z królewskiej linii.



Grób królowej Rychezy w katedrze w Kolonii

FOT. WIKIPEDIA, TADAM

Litografia z czaszki

Rycheza w tym czasie przebywa prawdopodobnie w Kolonii, jednak nie ustaje na dworze cesarskim w dążeniach, aby pomóc synowi odbudować dynastię. Choć nie wszyscy badacze tak sądzą. „Nie możemy odpowiedzieć jednoznacznie na pytanie, na ile (i czy w ogóle) Rycheza zaangażowała się w odbudowie monarchii piastowskiej" (Delimata-Proch, 2019). Jednak „w tradycji polskiej zachowała się pamięć o pomocy udzielanej przez matkę wygnanemu Kazimierzowi" (Labuda, 1994). Chodzi tu oczywiście o czasy, kiedy w Polsce doszło do tzw. reakcji pogańskiej czy raczej „buntu ludowego" oraz zniszczenia kraju przez czeski najazd księcia Brzetysława.

Wielki chaos u wschodniego sąsiada i przejęcie władzy przez „panów poronionych" – wszystko to nie było na rękę nowemu królowi Niemiec Henrykowi III, bowiem zagrażało słowiańskim częściom jego kraju, którymi zarządzali margrabiowie niemieccy. Tym łatwiej było Rychezie „załatwić" u Henryka III 500 zbrojnych rycerzy. Zapewne duży wkład miał w tym wuj Rychezy, kanclerz cesarstwa, arcybiskup Kolonii Herman. Dzięki tej pomocy syn Kazimierz mógł wrócić do Polski i uratować kraj od niechybnego rozpadu na drobne dzielnice rządzone przez, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, miejscowych oligarchów. Niewykluczone, że ostałoby się Mazowsze, gdzie rządził były cześnik Mieszka II Masław, jedyny znany nam z imienia „pan poroniony", czyli zwykły buntownik i zdrajca. A może mielibyśmy nową dynastę Masławitów w okrojonym kraju? Nie zapominajmy, że Brzetysław przyłączył do swojego państwa Śląsk i Małopolskę, a Grody Czerwieńskie zajął Jarosław Mądry. Kazimierz opanował Kraków i tam zaczął budować nowe państwo.

Rycheza przeżyła syna o pięć lat i „równie troskliwą opieką otaczała następcę Kazimierza, swego wnuka Bolesława Śmiałego" (Urbański, 2006). Arcybiskup Kolonii nakazał pochować Rychezę w kolońskiej kolegiacie Panny Marii ad Gradus. Kościół ten został rozebrany w 1817 r., a szczątki królowej Rychezy przeniesiono do katedry w Kolonii, gdzie spoczywają do dziś. Jej życie po opuszczeniu Polski było ponoć pobożne. W Nadrenii była czczona jako błogosławiona, choć za taką oficjalnie jej nie uznano.

Gdy w 1852 r. po ponownym otwarciu grobu wykonano litografię z dobrze zachowanej czaszki Rychezy, stwierdzono „piękne niegdyś rysy twarzy królowej" (Lehmann, 2002).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Delimata-Proch A., ***„Rycheza. Królowa Polski"****, Kraków 2019; Jasiński K.,* ***„Rycheza, żona króla polskiego Mieszka II"****, 1994; Labuda G.,* ***„Mieszko Drugi"****, Poznań 1994; Lehmann J.,* ***„Relikwie królowej Rychezy"****, „Studia Lednickie" 2002, nr 7; Maciorowski M., Maciejewska M.,* ***„Władcy Polski"****, Warszawa 2018; Pleszczyński A.,* ***„Bolesław Chrobry"****, Warszawa 2025; Rosik S.,* ***„Mieszko II Lambert i jego czasy"****, Wrocław 2001; Strzelczyk J.,* ***„Bolesław Chrobry"****, Poznań 2003; Trawkowski S.,* ***„Rycheza"****,* ***„Polski Słownik Biograficzny"****, 1991/1992, t. 33; Urbański M.,* ***„Poczet królowych i żon władców polskich"****, Warszawa 2006; Żylińska J.,* ***„Piastówny i żony Piastów"****, Warszawa 2018.*

eprasa.pl 6f4955209e

Wywiad / Z Krzysztofem Drozdowskim, historykiem, autorem książki „Sprawa Lizzie Borden. Historia prawdziwa”



Ciało Andrew Bordena

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, IMGUR.COM, ARCHIWUM BURNSA

rozmawia Piotr Włoczyk

Horror w domu Bordenów

PIOTR WŁOCZYK: Jak głośna była w Ameryce sprawa Lizzie Borden?

KRZYSZTOF DROZDOWSKI: Zajmuje ona szczególne miejsce w historii amerykańskiej kryminalistyki i kultury popularnej, ponieważ była jedną z pierwszych spraw kryminalnych w Stanach Zjednoczonych, które osiągnęły tak ogromny rozgłos ogólnokrajowy. Znaczenie tej historii wynikało nie tylko z samej brutalności morderstw, lecz także z niezwykłego połączenia kilku elementów: zamożności rodziny, konfliktów między jej członkami oraz podejrzenia, że sprawczynią mogła być córka jednego z zamordowanych i pasierbica drugiej ofiary.

Powstała w ten sposób historia niezwykle atrakcyjna dla prasy: kobieta z dobrej, szanowanej rodziny, która miała zabić ojca i macochę przy użyciu topora, a następnie zachowywać się tak, jakby nic się nie stało.

Gazety relacjonowały kolejne zeznania, analizowały zachowanie Lizzie, opisywały argumenty prokuratury i obrony, a opinia publiczna zaczęła tworzyć własne wersje wydarzeń. W efekcie sprawa przestała być wyłącznie postępowaniem sądowym, a stała się jednym z wielkich spektakli medialnych swojej epoki.

Dziś – dzięki masowym mediom i popkulturze – jesteśmy już przyzwyczajeni do myśli, że nawet krucha kobieta może być potworem. W ówczesnej Ameryce to nie było chyba tak oczywiste?

Lizzie nie pasowała do stereotypowego obrazu brutalnego mordercy. Była młodą kobietą pochodzącą z zamożnego domu, a jej ojciec był powszechnie szanowanym człowiekiem. Pojawiło się zatem pytanie, jak osoba o takim statusie społecznym mogła dopuścić się takiej zbrodni.

Dodatkowo w sprawie nie brakowało zagadek. Nie znaleziono jednoznacznie zidentyfikowanej broni czy zakrwawionych ubrań Lizzie. Nie było też świadka, który widziałby ją podczas mordowania rodziców. Z drugiej strony istniały okoliczności, które wyglądały podejrzanie.

Co się rzucało w oczy?

Znaczenie miały konflikt pomiędzy Lizzie a jej macochą Abby, kwestie majątkowe, jej zachowanie w dniu morderstw, niejasności związane z pobytem oskarżonej w stodole akurat w czasie, gdy doszło do zabójstw, oraz historia dotycząca próby zakupu kwasu pruskiego. Sensację zwiększał również fakt, że wydarzenia rozgrywały się w niewielkiej, stosunkowo zamkniętej społeczności. Mieszkańcy Fall River w stanie Massachusetts znali rodzinę Bordenów, a zabójstwo w tak szanowanym domu natychmiast stało się tematem rozmów. Sprawa szybko wyszła daleko poza lokalną społeczność.

Oba ciała były porąbane toporem lub siekierą.

Do zabójstwa Andrew i Abby Bordenów doszło 4 sierpnia 1892 r. Pierwsza zginęła Abby. Jej ciało znaleziono na

eprasa.pl 6f4955209e

piętrze. Później, po powrocie do domu, zamordowany został Andrew. Ta kolejność wydarzeń miała ogromne znaczenie dla późniejszego śledztwa.

Kiedy śledczy zainteresowali się młodszą córką Bordenów?

Początkowo Lizzie nie była traktowana jako oczywista podejrzana. To właśnie ona poinformowała o odkryciu ciała ojca i wezwała pomoc. Na wstępnym etapie śledztwa była postrzegana jako członek rodziny dotkniętej tragedią, a nie osoba oskarżana o jej spowodowanie.

Podejrzenia zaczęły się jednak stopniowo koncentrować właśnie na niej. Śledczy zaczęli analizować jej wcześniejsze życie, stosunki rodzinne i wydarzenia bezpośrednio poprzedzające morderstwa. Szczególną uwagę zwrócono na relacje z Abby. Lizzie miała powody, aby być z nią w konflikcie. Po jednym z wcześniejszych sporów przestała nazywać Abby „matką" i zaczęła używać wobec niej formalnego określenia „macocha".

Niektóre elementy jej zeznań dotyczących dnia morderstwa również wzbudzają wątpliwości. Lizzie twierdziła, że była wtedy w stodole. Jej wersja wydarzeń była analizowana pod kątem czasu potrzebnego na dokonanie obu zabójstw. Częściowo jej alibi potwierdzone zostało przez Hymana Lubinsky'ego, który widział ją w okolicach stodoły.

Podejrzenia wzmagała również sprawa kwasu pruskiego. Farmaceuta Eli Bence twierdził, że Lizzie próbowała zdobyć ten środek, choć ona sama zaprzeczała jego wersji. Nie udało się jednak udowodnić, że substancja ta miała jakikolwiek związek z morderstwami.

W końcu Lizzie stała się główną podejrzaną, a później została formalnie oskarżona o zabójstwo obojga Bordenów.

Na czym skupili się oskarżyciele?

Prokuratura dysponowała przede wszystkim dowodami pośrednimi. Jednym z podstawowych elementów był konflikt z macochą. Abby i Lizzie nie pozostawały w dobrych relacjach, choć nie były one aż tak złe, jak zostało to pokazane w serialu Netflixa. W rodzinie istniały również napięcia związane z majątkiem. Andrew Borden był człowiekiem zamożnym, a śmierć rodziców oznaczała dla Lizzie możliwość uzyskania znacznego majątku. Motyw finansowy był więc realny.



Lizzie Borden

FOT. EN.WIKIPEDIA

Jednak motyw sam w sobie nie oznacza winy. Prokuratura musiała jeszcze wykazać, że Lizzie rzeczywiście popełniła morderstwa. I tutaj pojawiał się zasadniczy problem.

Nie znaleziono przedmiotu, który można byłoby jednoznacznie wskazać jako narzędzie zbrodni. Pod lupę śledczy brali różne znajdujące się w domu narzędzia, a eksperci analizowali rany ofiar i porównywali je z potencjalnymi narzędziami zbrodni.

Nie znaleziono również krwi ofiar na ubraniu Lizzie. Podejrzane plamy na jej niebieskiej sukience nie okazały się krwią. Jej buty i pończochy również nie nosiły śladów pochodzących od ofiar. Inne podejrzane plamy także nie dały oczekiwanych rezultatów laboratoryjnych. Edward Wood, lekarz i chemik, biegły powołany przez prokuraturę, wykazał ponadto, że część śladów wcale nie była krwią.

Jakie błędy popełniono przy zabezpieczaniu miejsca zbrodni?

Właściwie wszystkie możliwe. Z dzisiejszej perspektywy sposób zabezpieczenia domu Bordenów był jednym z głównych problemów całego śledztwa. Po znalezieniu ciał do domu zaczęło przychodzić bardzo wiele osób: policjanci, lekarze, sąsiedzi, krewni i inni zainteresowani.

Nie istniała jeszcze wtedy procedura ścisłego odizolowania miejsca zbrodni. Nie prowadzono również systematycznego rejestru wszystkich osób, które znalazły się w środku.

Miało to potencjalnie bardzo poważne konsekwencje. Każda dodatkowa osoba mogła przypadkowo przemieścić ważny przedmiot, zniszczyć dowód albo pozostawić własne ślady, utrudniając późniejsze badania.



Dom Bordenów w Fall River

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARTUR BOWES

eprasa.pl 6f4955209e



Ciało Abby Borden

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, IMGUR.COM, ARCHIWUM BURNSA

Istotne jest również to, że w tamtym czasie kryminalistyka znajdowała się na zupełnie innym etapie rozwoju niż obecnie. Nie dysponowano nowoczesnymi metodami analizy DNA, technikami zabezpieczania mikrośladów czy rozbudowanymi procedurami dokumentowania miejsca zbrodni.

W efekcie późniejsze śledztwo musiało opierać się przede wszystkim na zeznaniach, rekonstrukcji czasu wydarzeń, analizie poszczególnych przedmiotów i stosunków między członkami rodziny.

Trudno powiedzieć, czy lepsze zabezpieczenie miejsca zbrodni doprowadziłoby do wskazania sprawcy. Można jednak stwierdzić, że chaotyczne zabezpieczenie domu ograniczyło możliwość późniejszego wykorzystania potencjalnych dowodów.

Jak przebiegał proces i jakie było początkowe nastawienie opinii publicznej?

Proces rozpoczął się 5 czerwca 1893 r. w New Bedford w stanie Massachusetts i od początku był wielkim wydarzeniem publicznym. Zainteresowanie było tak ogromne, że relacje prasowe obejmowały nie tylko argumenty prawne, lecz także zachowanie Lizzie na sali sądowej. Opinia publiczna była podzielona.

Prokuratura próbowała zbudować logiczny ciąg poszlak. Mały dom, kolejność morderstw i brak śladów włamania przemawiały za tym, że zabójcą był ktoś z rodziny lub z jej otoczenia.

Lizzie miał zarówno możliwości, jak i potencjalny motyw. Do tego dochodziły jej sprzeczne lub nieprecyzyjne wyjaśnienia, m.in. historia z kwasem pruskim oraz zniszczenie poplamionej sukienki.

Obrona przedstawiała jednak zupełnie inny obraz. Jej podstawowe pytanie brzmiało: Gdzie jest dowód, że Lizzie rzeczywiście zabiła swoich rodziców?

Przysięgli mieli możliwość odwiedzenia domu przy Second Street, aby zobaczyć jego układ i ocenić, czy przedstawiane przez strony wersje wydarzeń były możliwe.

Czyli w gruncie rzeczy obrona trzymała się najbardziej oczywistej strategii?

Tak. Lizzie nie musiała udowodnić swojej niewinności. To prokuratura musiała udowodnić jej winę ponad wszelką uzasadnioną wątpliwość.

Obrońcy – Andrew J. Jennings, Melvin Adams i George D. Robinson – nie musieli zatem wskazywać, kto naprawdę zabił Andrew i Abby. Ich zadaniem było pokazanie, że materiał przedstawiony przez prokuraturę nie wystarcza do wydania wyroku skazującego.

Koncentrowali się oni przede wszystkim na braku dowodów fizycznych. Podkreślali, że nie znaleziono zakrwawionego narzędzia zbrodni ani krwi ofiar na ubraniu Lizzie, nie było świadka, który widziałby ją podczas ataku, a wyniki badań laboratoryjnych nie potwierdziły najważniejszych podejrzeń.

Obrona starała się również osłabić motyw. Owszem, Lizzie pozostawała w konflikcie z Abby, ale nie oznaczało to automatycznie, że chciała ją zabić. Jeszcze trudniej było wskazać poważny konflikt pomiędzy Lizzie a jej ojcem.

Ważne było też podważenie znaczenia poszczególnych poszlak. Każda z nich osobno była niejednoznaczna. Obrona wykorzystała więc zasadniczą słabość sprawy: prokuratura miała ogólną teorię na temat tej zbrodni, ale nie miała dowodu, który by to definitywnie potwierdzał.

Im bardziej szczegółowo badano fizyczne dowody, tym trudniej było znaleźć bezpośrednie połączenie pomiędzy Lizzie a zbrodnią. Była to ogromna korzyść dla obrony. Proces coraz bardziej stawał się starciem dwóch interpretacji tych samych okoliczności bez konkretnego dowodu.

Jak społeczeństwo odebrało werdykt?

20 czerwca 1893 r. ława przysięgłych wydała wyrok uniewinniający Lizzie Borden. Oznaczało to, że z punktu widzenia prawa prokuratura nie zdołała udowodnić jej winy ponad wszelką uzasadnioną wątpliwość. Jest to bardzo ważne rozróżnienie. Uniewinnienie nie oznaczało, że sąd ustalił, iż Lizzie na pewno nie popełniła morderstw. Po prostu przedstawione dowody nie wystarczyły do jej skazania.

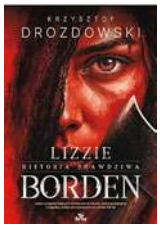
Po wyroku Lizzie była więc wolna i niewinna w sensie prawnym. Społecznie sytuacja wyglądała jednak inaczej. Przez wiele miesięcy Lizzie była bohaterką doniesień prasowych. Cała Ameryka znała jej nazwisko. Część mieszkańców Fall River nadal uważała, że policja podejrzewała właściwą osobę, lecz nie



Lizzie Borden w sądzie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS

eprasa.pl 6f4955209e



KRZYSZTOF DROZDOWSKI „SPRAWA LIZZIE BORDEN. HISTORIA PRAWDZIWA"
REPLIKA

potrafiła zgromadzić odpowiednich dowodów.

Inni przyjmowali uniewinnienie jako dowód, że oskarżenie było zbyt słabe, aby przypisać Lizzie morderstwa. Właśnie ta różnica pomiędzy wyrokiem a społecznym przekonaniem sprawiła, że sprawa nie zakończyła się wraz z opuszczeniem przez Lizzie sali sądowej.

Jak wyglądało jej dalsze życie?

Po procesie Lizzie odzyskała wolność, ale nie mogła powrócić do anonimowego życia sprzed tragedii. Lizzie nadal mieszkała w Fall River. Z czasem wraz ze starszą siostrą Emmą zamieszkała w domu nazwanym Maplecroft. Po odziedziczeniu majątku ojca, prowadziła zamożne życie i uczestniczyła w życiu towarzyskim.

Jednak historia morderstw nie zniknęła. Prasa od czasu do czasu powracała do sprawy. Pojawiały się kolejne teorie dotyczące sprawcy. Z czasem zaczęto przypisywać Lizzie różne niemoralne zachowania, które miały przedstawiać ją w negatywnym świetle. Nie wszystkie te historie miały jednak solidne podstawy.

Wypłynął również dokument zawierający rzekome tajne wyznanie Lizzie, ale później okazało się, że był on fałszerstwem. Lizzie zmarła 1 czerwca 1927 r. w wieku 66 lat. Do końca życia nie przyznała się do zabójstw i nie wskazała innego sprawcy. Nie pozostawiła również listu, który rozstrzygnąłby zagadkę.

Jej testament przewidywał m.in. przekazanie części majątku na rzecz Animal Rescue League of Fall River oraz na opiekę nad grobem ojca.

Czy Lizzie Borden rzeczywiście była morderczynią?

To prawdopodobnie najtrudniejsze pytanie w całej tej sprawy. Odpowiedź musi być ostrożna: nie mamy pewności. Hipoteza, że Lizzie była sprawczynią, ma kilka mocnych stron. Przede wszystkim znała dom, rozkład pomieszczeń i codzienne zwyczaje jego mieszkańców. Miała również potencjalny motyw. Konflikt z Abby był rzeczywisty, a kwestie majątkowe mogły stanowić dodatkową przyczynę napięcia. Z punktu widzenia czysto logistycznego teoria jej winy jest więc stosunkowo prosta.

Istnieje jednak druga strona. Brakuje fizycznego dowodu łączącego Lizzie z morderstwami. Nie znaleziono narzędzia, które można byłoby jednoznacznie zidentyfikować jako broń, ani krwi ofiar na jej ubraniu. Nie było też świadka zbrodni. Również jej alibi nie można po prostu odrzucić jako całkowicie niewiarygodnego; Hyman Lubinsky potwierdzał częściowo jej obecność w okolicy stodoły.

> Fenomen tej sprawy potęguje **brak ostatecznego rozwiązania**. Gdyby istniała pewność co do sprawcy, historia znalazłaby swój finał

W trakcie śledztwa, a także w późniejszych latach pojawiały się również inne hipotezy, wymieniano kolejnych podejrzanych. Ostatecznie żadna z tych teorii nie została udowodniona.

Dlatego najuczciwsza odpowiedź brzmi: nie wiemy, czy Lizzie była morderczynią. Można przedstawić argumenty przemawiające za jej winą, ale nie można na podstawie dostępnego materiału dowodowego stwierdzić tego jako faktu. Wiemy jedno: sąd ją uniewinnił, a prawdziwy sprawca nigdy nie został oficjalnie ustalony.

Sprawa Lizzie Borden to część fenomenu znanego jako „dark tourism". W USA to właściwie cała gałąź gospodarki...

Amerykanie wykazują duże zainteresowanie miejscami związanymi ze śmiercią, tragedią, zbrodnią i innymi mrocznymi wydarzeniami historycznymi.

W przypadku Bordenów szczególne znaczenie ma dom przy Second Street, w którym doszło do morderstw. Sam fakt, że można zobaczyć miejsce związane z prawdziwą zbrodnią, stanowi dla części osób wielką atrakcję. Nie chodzi wyłącznie o poznanie historii, lecz również o fizyczne zetknięcie się ze sceną mordu.

Fenomen tej sprawy potęguje brak ostatecznego rozwiązania. Gdyby istniała pewność co do sprawcy, historia znalazłaby swój finał. Tymczasem pytanie: „Kto zabił Andrew i Abby Borden?" wciąż pozostaje bez jednoznacznej odpowiedzi i kolejne pokolenia mogą tworzyć własne interpretacje.

Trzeba jednak pamiętać o granicy między zainteresowaniem historią a jej sensacyjnym przedstawianiem. Za legendą Lizzie Borden stała rzeczywista tragedia: śmierć Andrew i Abby Bordenów. Fascynacja miejscem zbrodni nie powinna przesłaniać faktu, że chodziło o prawdziwych ludzi i prawdziwe morderstwo.

Przy wszystkich różnicach nie sposób nie doszukiwać się tu pewnych podobieństw do procesu... O.J. Simpsona.

Tak, tę sprawę można pod pewnymi względami porównać do procesu O.J. Simpsona. W obu przypadkach ogromne zainteresowanie opinii publicznej koncentrowało się nie tylko na samym przestępstwie, lecz także na osobie oskarżonego, jego życiu prywatnym, zachowaniu i strategii obrony. Oba procesy pokazały także, że istnieje różnica pomiędzy tym, co uważa opinia publiczna, a tym, co można udowodnić przed sądem.

Oczywiście skala i sposób działania mediów były zupełnie inne. W procesie Lizzie Borden rolę tę odgrywały przede wszystkim gazety, natomiast w sprawie O.J. Simpsona była to telewizja. Wspólne pozostaje jednak to, że proces sądowy stał się wydarzeniem społecznym, które żyło poza salą sądową.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Krzysztof Drozdowski jest historykiem i pisarzem, autorem książki „Sprawa Lizzie Borden. Historia prawdziwa".

eprasa.pl 6f4955209e



Małżeństwo Boemunda I, księcia Antiochii, z Konstancją, córką króla Francji, Filipa I, ok. 1106 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BRITISH LIBRARY

Wywiad / Z Anną Brzezińską, mediewistką, autorką książki „Cierpliwe Genowefy, bezwstydne Magdaleny. Przewodnik po średniowieczu zwykłych kobiet”

rozmawia Anna Szczepańska

Groźne, potężne i pobożne

ANNA SZCZEPAŃSKA: Czy wszystko, czego uczymy się w szkołach o średniowieczu, to stereotypy?

ANNA BRZEZIŃSKA: Nie, choć szkoła faktycznie daje dość podstawowy obraz przeszłości. Upraszcza, bo musi, gdyż przekazuje wiedzę młodym odbiorcom.

Niedawno zajrzałam do podręcznika do V klasy szkoły podstawowej, do przykładowego rozdziału „Walka cesarza z papieżem”, i rzeczywiście ten spór został przedstawiony jako spór „państwa” z „Kościołem”, co dla mnie jest przykładem nieco stereotypowego spojrzenia na średniowiecze i przeceniania roli polityki kosztem duchowości. Rzeczywistość była bardziej złożona. Średniowieczni cesarze też czuli się częścią Kościoła i niejednokrotnie pragnęli jego naprawy. Nie jest przypadkiem, że Henryk II wydał wraz z papieżem Benedyktem VIII dekret przeciwko żonatym duchownym, a cesarz Henryk III wspierał papieża Leona IX w walce z małżeństwami księży i symonią. Tyle że nie sposób opisać świata w całej jego złożoności – czy to minionego, czy dzisiejszego. Jeszcze trudniej opowiedzieć o nim dzieciom

Mam jednak wrażenie, że wciąż pokutuje pogląd o „ciemnym średniowieczu”. Takie odniesienia, nawet w języku potocznym, wciąż się pojawiają.

Obraz średniowiecza jako ciemności jest bardzo stary, da się go znaleźć już w pismach Petrarki, który z pogardą cisnął w tę ciemność wszystko pomiędzy przyjęciem przez Rzym chrześcijaństwa a wiekiem XIV. Jest niezmiernie ironiczne, że zaczerpnął tę metaforę od pisarzy wczesnochrześcijańskich, tyle że dla nich mrokiem był pogański Rzym, a światłem – Dobra Nowina. Natomiast dla Petrarki i pokoleń humanistów światłem stały się odkrywana na nowo kultura klasyczna, piękna literacka łacina i starożytne greckie i łacińskie teksty, wyszukiwane zachłannie w klasztornych bibliotekach.

Humaniści mieli ogromną potrzebę obrony antycznej spuścizny i stworzenia nowej nauki, literatury i sztuki, więc odcinali się od bezpośredniej przeszłości. Późniejsze pokolenia uznały ich za geniuszy, którzy dzięki antycznemu dziedzictwu na nowo odkryli rozum, naukę i potęgę człowieka. Oświecenie dodało do tego obrazu nowe wątki, potępiając średniowiecze jako epokę feudalnego bezprawia i przesądów religijnych. Można powiedzieć, że średniowiecze padło ofiarą linearnej wizji historii, rozumianej jako rozwój i postęp, którego nieuchronnym i oczywistym zwieńczeniem jest nowoczesność, indywidualizm, świeckość, nowoczesny republikanizm, demokracja liberalna czy kapitalizm. Wedle życzenia. Trochę mnie to przygnębia, bo nie zdajemy sobie sprawy, jak wiele idei, które jednoznacznie

eprasa.pl 6f4955209e

kojarzymy z nowoczesnością, ma średniowieczne korzenie.

Pani najnowsza książka jest z pewnością zaprzeczeniem stereotypu o „wiekach ciemnych". Do tego opisuje pani same kobiety! I to wcale nie najmożniejsze czy najbardziej znane. Która historia najbardziej utkwiła pani w pamięci?

Wybierałam do tej książki bohaterki, które z jakiegoś powodu wzruszały mnie albo zaskakiwały, więc nie bardzo potrafię ograniczyć się do jednej, ale spróbuję do trzech. Bardzo bliska jest mi bł. Dorota z Mątów, którą znamy jako wielką średniowieczną mistyczkę, ale w książce pokazałam ją również jako kobietę szamocącą się pomiędzy wymogami codziennego życia i posłuszeństwem mężowi a pragnieniem naśladowania Chrystusa. Bliska jest mi również Margherita Datini, włoska mieszczka, która dopiero jako osoba dorosła nauczyła się biegle czytać i pisać, co współcześni uważali za niezwykłe. I wreszcie Bogusława z Proszowic czuwająca nad chorym synem, a potem ciesząca się, kiedy – cudownie uzdrowiony – krzyczy, że jest głodny. Dla matki to najpiękniejszy okrzyk, jaki może wydać chore dziecko. Każda z tych trzech, bardzo różnych kobiet broni tego, co jest dla niej ważne, i jest gotowa wiele dla tego poświęcić.

Niektóre kobiety okazywały poświęcenie w nietypowy, chyba nawet jak na dzisiejsze czasy sposób. Małgorzata z Beverley zdecydowała się na pełną niebezpieczeństw podróż do Ziemi Świętej. Jej historia wydaje się więcej niż nieprawdopodobna.

Prawda jest często bardziej zaskakująca niż fikcja. Średniowieczne kobiety, podobnie zresztą jak mężczyźni, pragnęły postawić stopę na ziemi, na której rozegrała się historia Wcielenia. Wiele o tym pragnieniu napisała angielska mistyczka Margery Kempe, która dotarła do Jerozolimy w początkach XV w. Wiemy o niej sporo, bo postanowiła spisać swoją duchową autobiografię i zatrudniła w tym celu skrybę, a kiedy zmarł, zdaje się, sterroryzowała do dokończenia dzieła własnego syna. To niezwykłe źródło, podyktowane przez kobietę, która, nie upiększając, opisuje trudy i niebezpieczeństwa pielgrzymki do Ziemi Świętej, w tym przykrości, których, podróżując samotnie, doznawała od innych pielgrzymów. Były też inne, np. Isolde Parewastel z Bridgewater, która w XIV w. przez trzy lata przebywała w Jerozolimie. Swoją historię opisała, kiedy po powrocie do Anglii w podzięce za cudowne ocalenie z rąk Saracenów pragnęła ufundować ołtarz. A przecież nie tylko Angielki pragnęły się pomodlić u Grobu Pańskiego!

Może mamy informacje o jakichś Polkach, które miały możliwość pomodlić się w miejscach, gdzie pojawiał się i nauczał Chrystus?

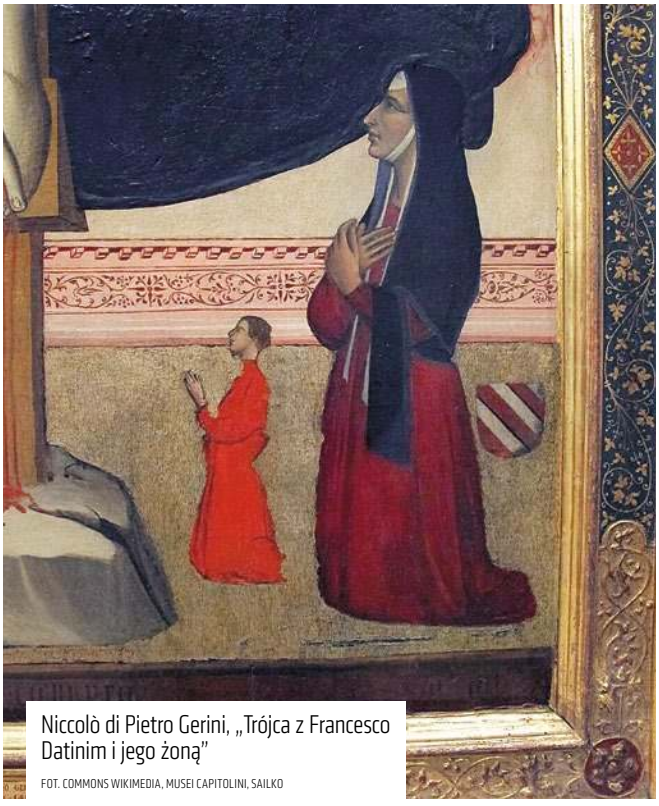
Polacy nie uczestniczyli tłumnie w krucjatach, więc w armiach krzyżowych nie dopatrzymy się Polek towarzyszących mężczyznom na wzór Eleonory Akwitańskiej, która ruszyła na krucjatę wraz z mężem, królem Ludwikiem VII, czy Hersendy, medyczki Ludwika IX. Trzeba jednak pamiętać, że wezwanie krucjatowe mogliśmy realizować bliżej. Już we wczesnym wieku XIII walczących z poganami w Prusach uznano za krzyżowców i nadano im podobne odpusty jak walczącym z Saracenami.



ANNA BRZEZIŃSKA
„CIERPLIWE GENOWEFY, BEZWSTYDNE MAGDALENY"
MARGINESY

Także wśród pielgrzymów zmierzających do Ziemi Świętej poza wielkimi kampaniami militarnymi Polacy byli nieliczną mniejszością, a z badań Jacka Wiesiołowskiego wynika, że kobiety stanowiły zaledwie 5 proc. wszystkich pielgrzymujących. Nie znam więc niestety żadnej relacji o podróży Polki do Ziemi Świętej, ale w zamian mogę opowiedzieć o Hildegundzie von Schönau, córce niemieckiego rycerza.

Ojciec zabrał ją na pielgrzymkę w przebraniu chłopca o imieniu Józef, by uniknęła niebezpieczeństw mogących spotkać dziewczynkę. Gdy zmarł w Tyrze, po wielu trudach i niebezpieczeństwach zdołała powrócić do Europy, by – nadal jako Józef – uzyskać w Rzymie wykształcenie, czyli zapewne posiąść umiejętność czytania, i po kolejnej porcji przygód i niebezpieczeństw wstąpić do Klasztoru Cystersów w Schönau z wdzięczności za otrzymane łaski i cudowne ocalenie. Zmarła przed święceniami. Na łożu śmierci powierzyła swoją historię jednemu z braci. Pozostali odkryli, że była kobietą, dopiero przygotowując ciało do pochówku, co jest zresztą znanym hagiograficznym motywem. Gdybym umieściła taką historię w powieści, nikt by mi nie uwierzył, tymczasem Hildegunda von Schönau jest postacią historyczną, a jej losy opisał opat Engelhard von Ebrach i wspomina o niej jeszcze czterech innych cysterskich autorów.



Niccolò di Pietro Gerini, „Trójca z Francesco Datinim i jego żoną"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUSEI CAPITOLINI, SAILKO

eprasa.pl 6f4955209e

Faktycznie brzmi to jak filmowy scenariusz. A zatem można powiedzieć, że kobiety w średniowieczu często podróżowały. I to nie tylko córki z królewskich rodów, lecz także niższe rangą arystokratki czy mieszczki.

Oczywiście. Kobiety szlachetnie urodzone bądź miejskie patrycjuszki otaczano większą opieką i bardziej chroniono, ale wiele z plebejuszek już w bardzo młodym wieku szło na służbę. Potem zdarzało się, że wędrowały za chlebem. Pielgrzymowały do miejsc świętych, bliższych lub dalszych. Uciekały przed zarazą czy głodem. Podróżowały też po najbliższej okolicy: odwiedzały krewnych, oferowały swoje wyroby czy żywność na targach albo dostarczały ją do miasta. Wędrowały, by posłuchać słynnego kaznodziei albo uzyskać odpust czy przyłączyć się do grup religijnych, nie zawsze ortodoksyjnych. Kobiety były bardziej niż mężczyźni związane z domem i rzadziej podróżowały na wielkie odległości, jak Marco Polo, poszerzając granice znanego świata. Ale nie były całkowicie statyczne ani całkowicie bierne.

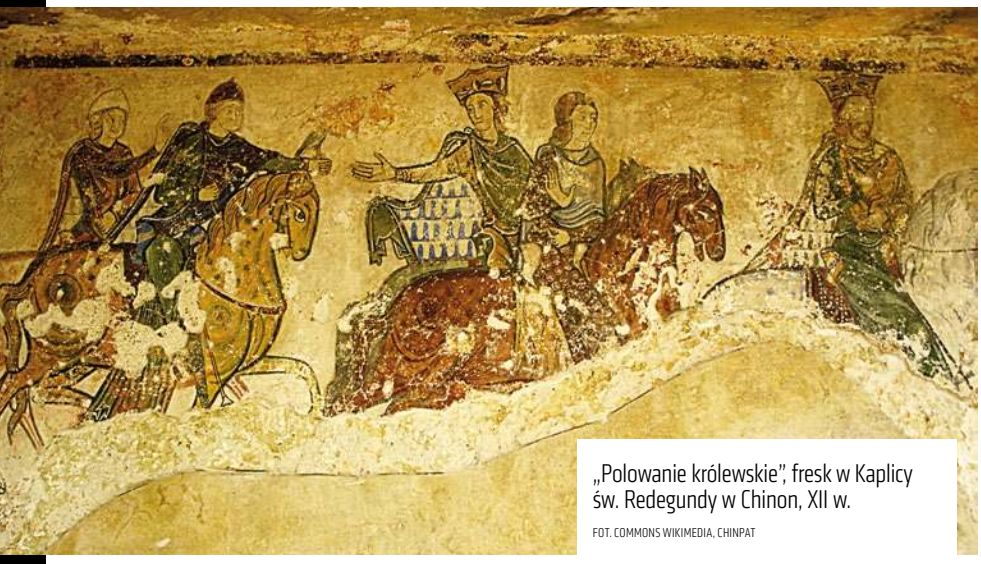
Czym były wspólnoty kanoniczek?

Najprościej mówiąc, były to fundacje, w których żyły kobiety świeckie, które jednak ślubowały posłuszeństwo i zachowywały zasady religijnego życia wspólnotowego, łącznie z modlitwą chórową, ale nie były mniszkami. Posiadały własne majątki, czasami też oddzielne domy i nawet służbę. Nie były całkowicie odizolowane od zewnętrznego świata i swoich krewnych, a przede wszystkim w każdej chwili mogły powrócić do świeckiego życia.

W średniowiecznym społeczeństwie takie wspólnoty odgrywały bardzo ważną rolę.

Te kobiety zwykle pochodziły z arystokratycznych rodów, więc ich wpływ na życie współczesnych mógł być ogromny. Gościły w swoich murach panujących, zarządzały ogromnymi majątkami, cieszyły się autorytetem i opinią świątobliwości. Pielęgnowały pamięć o zmarłych przodkach i modliły się o ich zbawienie, a dla żywych wymadlały rozliczne łaski. Gromadziły i niekiedy także przepisywały księgi. Jednocześnie ich wspólnoty były miejscem schronienia dla nabożnych wdów, także z panujących rodzin, które po wypełnieniu obowiązków rodzinnych pragnęły się poświęcić życiu religijnemu, oraz dla dziewcząt z arystokratycznych rodzin, które powierzano kanoniczkom na wychowanie.

Zazwyczaj jednak to mężczyźni porywali kobiety. Porwania bogatych dziedziczek były w średniowieczu prawdziwą plagą



„Polowanie królewskie", fresk w Kaplicy św. Redegundy w Chinon, XII w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CHINPAT

Rodzice często już w chwili narodzin dziecka planowali jego przyszłość. To tyczyło się zarówno chłopców, jak i dziewcząt. Czy młode kobiety miały wpływ na swój los? Czy mogły wpłynąć na ojca lub brata, aby pozwolił im wybrać, czy woli wyjść za mąż czy może iść za powołaniem?

Często powtarzam, że najlepszym posagiem średniowiecznej dziewczynki był kochający ojciec. Rzeczywiście średniowieczne kobiety wielu decyzji nie podejmowały samodzielnie, choć warto pamiętać, że synowie również podlegali władzy ojca. Wiele zatem zależało od relacji rodzinnych i od charakteru samych panien. Niektóre potrafiły bardzo stanowczo artykułować swoje oczekiwania i tak, czasami stawiały na swoim.

Wybór kandydata na męża podlegał negocjacjom?

Jeśli chodzi o wybór męża, to w średniowieczu w małżeństwie widziano nie tylko związek mężczyzny i kobiety, lecz także związek dwóch rodzin. Jeśli te rodziny posiadały majątek i znaczenie, to ich głowy decydowały o związkach dzieci, kierując się interesem rodowym. Tylko najbiedniejsi mogli postępować wedle własnego widzimisię.

Ale Kościół przestrzegał, że do zawarcia małżeństwa niezbędna jest zgoda mężczyzny i kobiety. Oczywiście zdarzały się małżeństwa pod przymusem. Niektóre kobiety występowały wtedy do sądów kościelnych o stwierdzenie ich nieważności, bo zgodnie z prawem kanonicznym przymus był tzw. przeszkodą zrywającą. Zwykle robiły to po śmierci ojca, rzadziej matki czy innej osoby, która je do małżeństwa przymusiła. Postępując samowolnie, musiały się liczyć z utratą posagu. Bo nawet jeśli Kościół chronił je przed przymusem przed ołtarzem, to o majątku decydowali jednak rodzice.

W takim razie czy związki z miłości w ogóle się zdarzały?

Tak, choć ludzkie emocje niełatwo wyczytać ze źródeł. Na przykład tradycyjną formą średniowiecznego małżeństwa było po prostu wspólne zamieszkanie, ale trudno zgadnąć, czy w konkretnych przypadkach ludzi skłaniały do niego wyłącznie emocje czy też trudy codzienności, którą łatwiej było dzielić. Niekiedy mężczyźni, gdy ich wybranki były przychylne zalotom, pozorowali porwanie,

eprasa.pl 6f4955209e

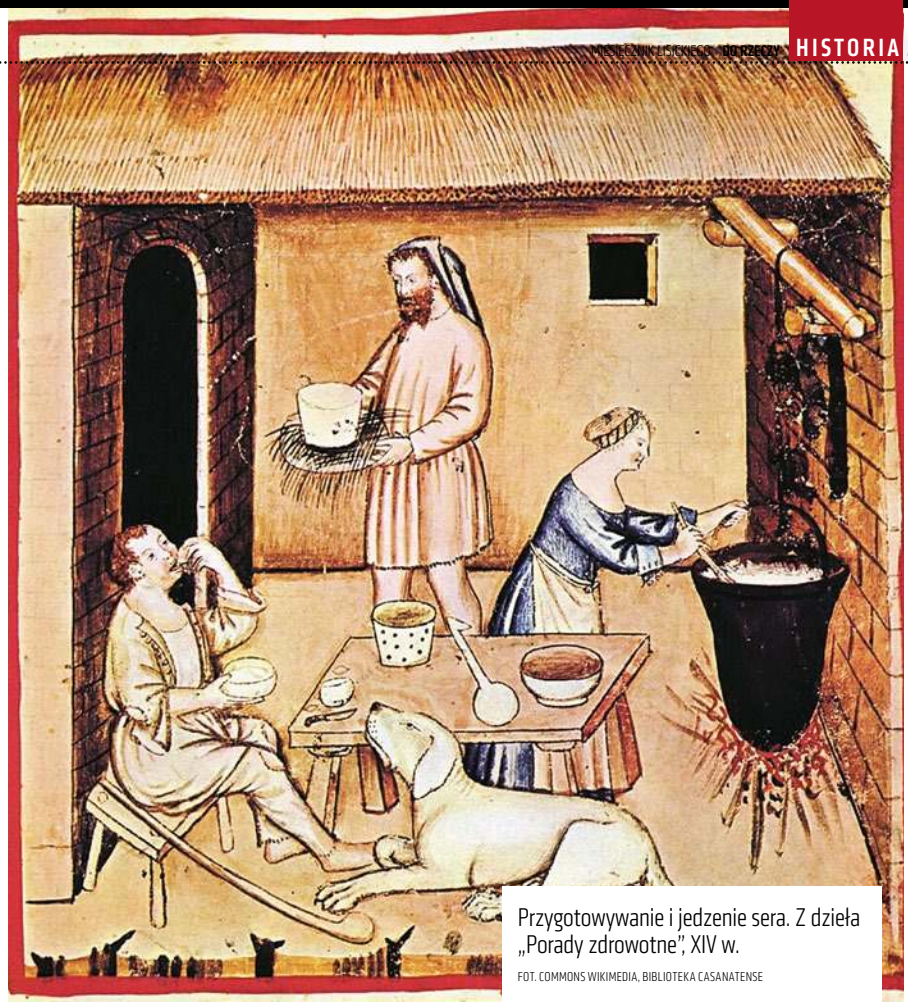
by przełamać opór rodziny niechętnej małżeństwu. Znam nawet – wprawdzie tylko jeden, więc to nietypowa historia – przypadek pewnego młodziana porwanego w XV w. przez zakochaną pannę. Jak zeznali potem przed sądem w Antwerpii młodzi – Lijsbeth i Jan Peeters – poznali się na jarmarku i zakochali się w sobie. Ale ojciec Jana sprzeciwiał się ich małżeństwu, bo Lijsbeth „nie była bogata”. Wtedy przedsiębiorcza panna wraz z dwoma pomocnikami uprowadziła chłopaka, choć nie sądzę, by opierał się zbyt zaciekle. Potem znaleźli księdza i za obopólną zgodą zawarli małżeństwo, stawiając nieużytego tatę przed faktem dokonanym.

Zazwyczaj jednak to mężczyźni uprowadzali kobiety i nie zawsze robili to z miłości. Porwania bogatych dziedziczek były w średniowieczu prawdziwą plagą. Niemniej historia Jana i Lijsbeth dowodzi, że młodzi ludzie miewali okazję się poznać – właśnie na targu, w kościele, podczas różnych uroczystości – i zapałać uczuciem. I nie wszyscy rodzice sprzeciwiali się ich woli.

A jak kobiety traktowane były w sądach? Czy słuchano głosu kobiety, za którą nie stał mąż, ojciec czy brat?

Co do zasady średniowieczne kobiety nie pełniły funkcji sędziów – choć jestem w stanie wyłuskać z pamięci parę opatek i arystokratek, które to robiły – ani ławników. Także ich słowo zwykle miało mniejszą wartość dowodową niż słowo mężczyzny. Niekiedy w ogóle nie mogły stawać w sądach, np. zgodnie z angielskim prawem powszechnym mężatki nie miały – znów, co do zasady – osobowości prawnej. Reprezentował je mąż i same mogły występować jedynie w paru szczególnych okolicznościach. Ale nie ma jednego średniowiecznego prawa. Inaczej traktowano kobiety w sądach świeckich, inaczej w kościelnych. Bardzo wiele zależało od lokalnych praw, tradycji i zwyczajów. Wiele też zależało od statusu kobiety: inaczej traktowano arystokratyczną wdowę, inaczej młodziutką wieśniaczkę pod władzą rodziciela. Znaczenie miała również reputacja kobiety.

Poza tym samotne kobiety – wdowy i sieroty – uważano za personae miserabiles, które jako osoby pozbawione innej obrony znajdowały się pod szczególną ochroną Kościoła i władzy świeckiej, reprezentującej ziemską sprawiedliwość. Nie znaczy to oczywiście, że zawsze mogły uniknąć krzywdy i niesprawiedliwości, ale wydaje mi się ważne, że usiłowano je chronić.



Przygotowywanie i jedzenie sera. Z dzieła „Porady zdrowotne”, XIV w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTEKA CASANATENSE

Od szczegółu do ogółu. Wiele historii kobiet, które pani opisuje, można uznać za „pretekst” do długiej i wielowątkowej opowieści o średniowieczu.

Dla mnie te kobiety są nie tyle pretekstem, ile przewodniczkami po dawnym świecie. Czasami tworzyły źródła – spisały je lub podyktowały – więc możemy przez chwilę patrzeć na ten świat ich oczami. W wielu jednak przypadkach po ich życiu pozostały tylko strzępy, choćby krótka notatka średniowiecznego koronera o małej dziewczynce, która spłonęła w rodzinnym domu, podczas gdy jej rodzice pracowali w polu. Nie jestem w stanie dowiedzieć się więcej o tej rodzinie, ale chciałam zrozumieć i opisać świat, w którym ta dziewczynka żyła zaledwie kilka lat. Tło historyczne było dla mnie bardzo ważną częścią tej książki.

Ma pani w planach kolejne prace o zwykłych niezwykłych ludziach wieków średnich? Ich życiorysy są czasem nie mniej fascynujące niż perypetie najmożniejszych postaci epoki.

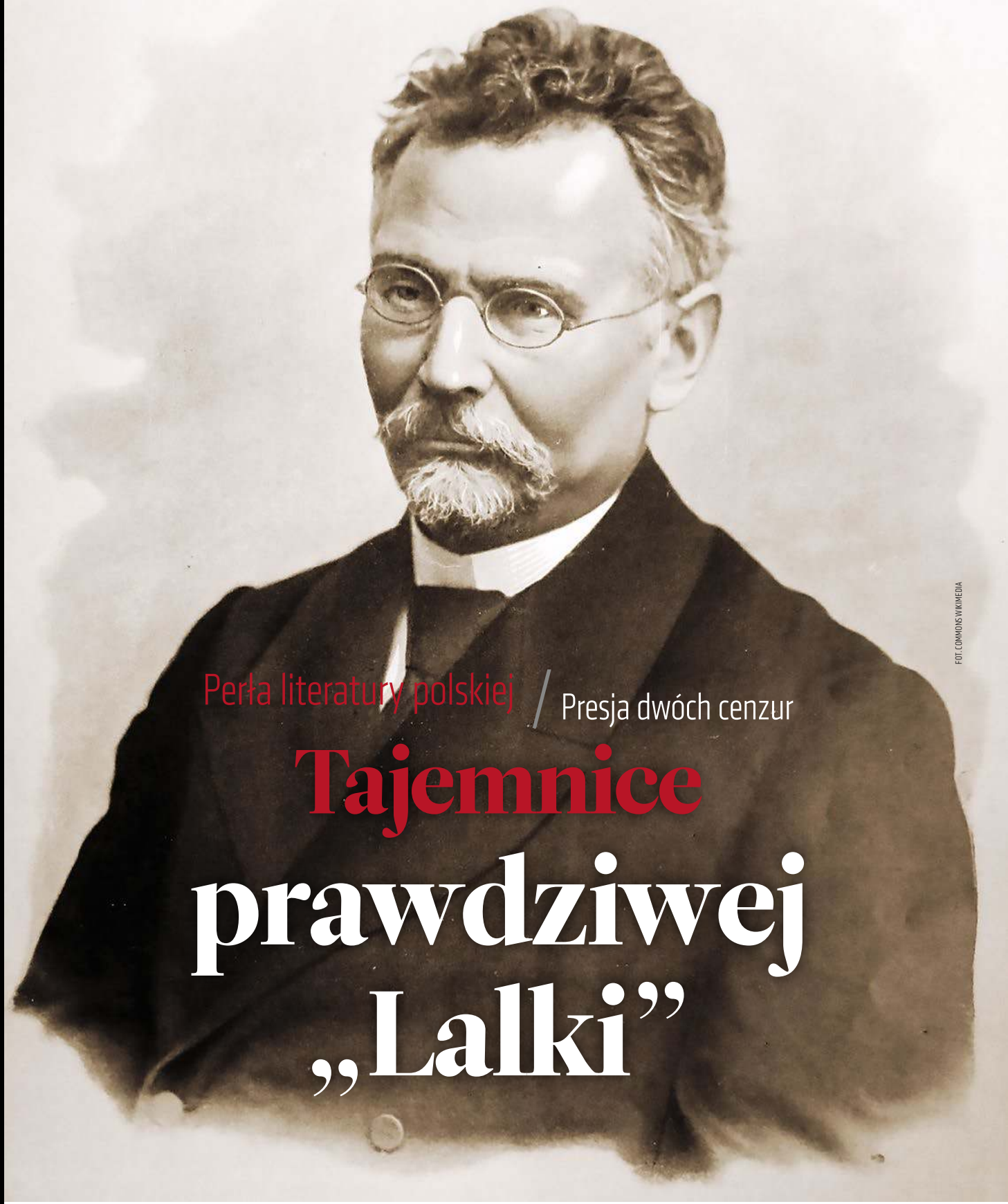
Trochę już o kobietach napisałam. Nawet w „Córkach Wawelu” główną postacią uczyniłam karlicę, która zresztą jest postacią autentyczną. Karlica Dosia była towarzyszką i powierniczką królewny Katarzyny Jagiellonki. Teraz więc dla odmiany pracuję nad powieścią, której głównymi bohaterami będą mężczyźni, głównie franciszkanie, choć nadal średniowieczni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Anna Brzezińska jest mediewistką i pisarką, trzykrotną laureatką Nagrody im. Janusza Zajdla, autorką książki „Cierpliwe Genowefy, bezwstydne Magdaleny. Przewodnik po średniowieczu zwykłych kobiet”.

eprasa.pl 6f4955209e



FOT. COMMONS.WIKIMEDIA

Perła literatury polskiej / Presja dwóch cenzur

Tajemnice prawdziwej „Lalki”

eprasa.pl 6f4955209e



Kamienica przy Krakowskim Przedmieściu 7, w której Prus umieścił sklep Wokulskiego FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Krzysztof Masłoń

Dopóki trzymamy się słów napisanych ręką Bolesława Prusa, dopóty możemy polemizować ze sobą i szermować argumentami. Kiedy jednak jego arcydzieło służy jedynie za przykrywkę hucpiarskiej opowieści, jak w głośnym serialu Netflixa, należy umieścić ten poroniony twór tam, gdzie jego miejsce – na śmietniku

Nad Wisłą gnieżdżą się nędzarze,
W kościołach – dobroczynne tłumy.
Arystokraci i bogacze
Topią w wyścigach ciężkie sumy.
Nikt nie wie, co naprawdę warte
Poświęceń po powstańczym dziele –
Rzeckiemu śni się Bonaparte,
Wokulski kocha Izabelę.

Tak streścił „Lalkę” Jacek Kaczmarski, poświęcając jej jeden ze swoich, powiedziałbym, historycznoliterackich utworów. Poetyckim słowem opowiedział o pierwszej z trzech wielkich powieści Bolesława Prusa, poprzedzającej „Emancypantki” i „Faraona”. Druk „Lalki” w odcinkach rozpoczęty został w 1887 r. w „Kurierze Codziennym”; trwał 20 miesięcy.

Jak przyjęta została powieść? Bez entuzjazmu, choć czytelnicy wszczynali awantury, gdy następowały przerwy w druku kolejnych odcinków. A jednak w – nazwijmy je tak – rankingach poczytności Prus zawsze przegrywał z Sienkiewiczem, co akurat nie dziwi, ale i, bywało, z Józefem Ignacym Kraszewskim, a nawet Teodorem Tomaszem Jeżem. Nie został uznany za pisarza narodowego, nie stworzono też wokół niego legendy, ominęło go mitotwórstwo.

Jednak sam od mitów tych też się odżegnywał. I to radykalnie. On, uczestnik powstania styczniowego, wychodził z założenia, że nasz naród jest osłabiony, gdyż „wszelkie zatargi i nienawiści wewnętrzne albo wojny i powstania zbrojne są nieszczęściami. I bynajmniej nie dlatego, że się nie udają, ale dlatego, że sprzeciwiają się zasadniczemu prawu rozwoju. Jedyną dobrą, choć nie zawsze łatwą, polityką jest wszechstronne stosowanie zasady wymiany usług tak wewnątrz, jak i na zewnątrz. Życie nasze narodowe dopiero wówczas potoczy się normalnie, gdy staniemy się użytecznym, niezbędnym czynnikiem cywilizacji, gdy potrafimy nic nie dawać darmo i nic nie żądać darmo”. A przede wszystkim należy przezwyciężyć „grzechy” narodowe – wyliczał – marzycielstwo i próżniactwo, niedbalstwo i marnotrawstwo, wreszcie ciemnotę.

Wspierał inicjatywy społeczne, patronował rozmaitym przedsięwzięciom, na czym wychodził nienajlepiej, bo powszechnie oczekiwano od niego więcej niż od innych, a nie był w stanie sprostać tym oczekiwaniom. Zdarzały mu się też fatalne posunięcia, jak to z roku 1897, kiedy wszedł do „komitetu składek na utworzenie instytucji użyteczności publicznej ku upamiętnieniu bytności Najjaśniejszych Państwa w Warszawie”, na czele z margrabią Zygmuntem Andrzejem Wielopolskim. Witał wtedy na dworcu Mikołaja II, wziął udział w deputacji u cara, a także w bankiecie wydanym dla dziennikarzy rosyjskich, na którym, podobno, wznoszono toast za jego zdrowie – „ze szczególną serdecznością”. Życzliwi pisarzowi ubolewali po tym popisie nad naiwnością polityczną autora „Lalki”, a bardziej wobec niego krytyczni nie przebierali w słowach.

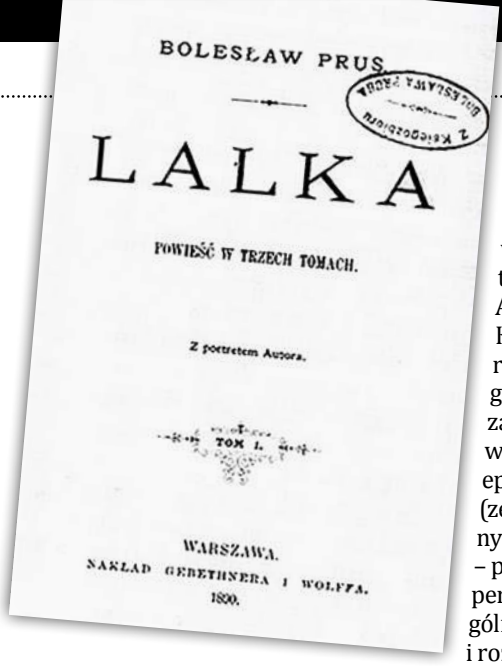
Po latach Prus przyznawał, z pewną dozą czarnego humoru: „Parę razy i ja występowałem w »roli« politycznej… Były to jednak bardzo skromne posady. Mówiono mi zazwyczaj tak: – Mój kochany, pójdź tam a tam… Bo, ponieważ tam można dostać w łeb kamieniem, więc zupełnie będziesz na miejscu… No i szedłem, i dostawałem w łeb kamieniem, i byłem gotów tę samą zabawę powtarzać tyle razy, ile według ludzi kompetentnych wymagał tego »interes publiczny»… Dopiero gdy przekonałem się, że gra niewarta nawet tak lichej, jaką ja jestem, świeczki, dopiero wówczas powróciłem do mojej ostatniej ławki na paradzie i przypatruję się widowisku…”.

To właśnie było wymarzone dla niego miejsce. Zajmując je, napisał „Lalkę”. Kto wie, czy nie największą powieść w dziejach literatury polskiej? Powstałą – o czym się niekiedy zapomina – pod presją dwóch cenzur: oficjalnej, rządowej i opinii publicznej.

Staroświecki i najnowocześniejszy

Jeden z monografistów „Lalki”, Józef Bachórz, twierdził, że Prus „chciał, by powieść ta pozostała w pamięci czytelnika obrazem dramatu społeczności, która nie zdołała »wybić się« na nowoczesność, dramatem kraju, który nie staje się ziemią nadziei i trwa w niepokojącym stanie impasu, kraju, w którym jest duszno nie tylko od niewoli, lecz i od miazmatów produkowanych przez własną jego elitę społeczną i własną tradycję”. „»Lalka« – pisał dalej – jest przejmującą,

eprasa.pl 6f4955209e


BOLESŁAW PRUS

LALKA

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH.

Z portretem Autora.

TOM I.

WARSZAWA.
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.
1890.

bezlitosną diagnozą tego stanu – i zaproszeniem czytelnika do odpowiedzialności za przyszłość".

Według socjologa Ludwika Krzywickiego powieści Bolesława Prusa, z „Lalką" na czele, kiedyś „będą przyczynkiem o charakterze naukowym. Jak Dickens w Anglii, Balzac we Francji, tak Prus u nas stanie się świadectwem natury historycznej, świadectwem, które dalekim pokoleniom opowie, jak ludzie żyli życiem powszednim w Polsce w drugiej połowie XIX w. Bohaterzy w powieściach są zmyśleni, ale ich otoczenie codzienne i tryb życia, bieg myśli są plastyczną rzeczywistością".

Ale też była i jest do dziś „Lalka" świetną powieścią miłosną, choć samemu autorowi diagnoza taka nie przypadłaby do gustu. Cóż poradzić, historia miłości Stanisława Wokulskiego i panny Izabeli Łęckiej stanowi wnikliwe studium miłosnych uczuć. I z tego puntu widzenia jest więcej niż interesującą, ba, pasjonującą powieścią psychologiczną, a na pewno nie ma nic wspólnego z harlequinami.

W liczne sprzeczności i pozorne, jak również faktyczne niekonsekwencje zaplątani są nie tylko Stanisław i Izabela, lecz także wiele postaci pomniejszych. Relacjonują one i komentują te same wydarzenia, powracają do nich, wzbogacając czytelnika o nowe, nieznane mu wcześniej okoliczności, ukazując je za każdym razem choć trochę inaczej.

Jean Fabre, profesor Sorbony, tłumacz „Lalki", w przedmowie do francuskiego wydania powieści napisał: „Rozbieżne oświetlenia i zbieżne losy, krzyżowanie się wątków, zakłócenia w toku opowiadania, przestawiona chronologia, antycypacje i nawroty narracyjne, częściowe i sprzeczne ujawnianie tajemnic, polifonia, wymowa gestu i przedmiotu, marzenia senne, dobrodziejstwa pamięci, polaryzacja i modyfikacja świadomości – spośród tych »odkryć«, jakie od czasów Marcela Prousta i André Gide'a poczyniła nie bez pedanterii refleksja towarzysząca twórczości powieściowej, spośród tych »odkryć« niewiele jest takich, których by częściowo przynajmniej nie wyprzedził ten najbardziej staroświecki z artystów i najnowocześniejszy z powieściopisarzy, niektóre zaś z nich doprowadził do najbardziej poetycznych rezultatów".


Aleksander Gierymski „Na tarasie w Łazienkach"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Niestety, nie poznali się na tych walorach „Lalki" współcześni, i to tacy krytycy jak Piotr Chmielowski, Aleksander Świętochowski, Józef Kotarbiński czy Antoni Lange. „Nie rozpoznali w niej nowej odmiany gatunkowej, a historycy literatury zaproponowali kilka kwalifikacji – wylicza Edward Pieścikowski – romans epok (pokoleń) albo powieść-synteza (zespalająca powieść-przekrój społeczny z powieścią-kroniką), albo jeszcze – powieść panoramiczna, o głębokiej perspektywie historycznej (rola szczególna »Pamiętnika starego subiekta«) i rozległej wizji środowiskowej".

Głucha walka z otoczeniem

Dzisiaj „Lalka" zajmuje w naszym piśmiennictwie miejsce wyjątkowe, a eseje jej poświęcone mają w swoim dorobku wszyscy liczący się polscy autorzy, włącznie z Olgą Tokarczuk („Lalka i perła", 2001). W nowych interpretacjach utworu odchodzi się jednak i to nagminnie – na co zwraca uwagę Edward Pieścikowski – „od zgłębiania realizmu społecznego, historycznego, nawet psychologicznego powieści jako atrybutów niewystarczających już dzisiejszemu czytelnikowi. Zmierza się natomiast ku odczytaniom uniwersalizującym, symbolicznym, parabolicznym, wykazując w tym względzie inwencję nieokiełznaną. Swoistą karierę robi ostatnio interpretacja egzystencjalna i metafizyczna".

Dopóki jednak trzymamy się słów napisanych ręką Bolesława Prusa, dopóty możemy się spierać, polemizować ze sobą, szermować argumentami. Kiedy jednak arcydzieło Prusa służy jedynie za przykrywkę hucpiarskiej opowiastki, w której chamstwo rywalizuje z umysłową tandetą, jak w głośnym seria-

eprasa.pl 6f4955209e

lu Netflixa, można jedynie, nazywając rzeczy po imieniu, umieścić ten poroniony twór tam, gdzie jego miejsce – na śmietniku.

„Lalka" niczym nie zasłużyła sobie na takie potraktowanie. Ta najbardziej gorzka powieść ówczesnej doby „najdobitniej – co podkreślał Józef Bachórz – mówi o tragizmie istnienia, o egzystencjalnej samotności, o niespełnionej miłości, która każe bohaterowi stanąć wobec tajemnicy własnego człowieczeństwa – w świecie i we wszechświecie". „Pod rozgwieżdżonym niebem – czytamy – odbywa Wokulski swoją drogę wzdłuż toru kolejowego, gotując się do chwili ostatniej, tej, w której miłość ma się przemienić w śmierć. Gdy przystaje na rubieży wśród kamieni – jakby tych kamieni biblijnych, które wołać będą – posłyszy w halucynacyjnej wizji ich pytania – a są to przecież jego własne pytania: Co to jest człowiek? Co to jest czuć? Po co jest człowiek – ten najwspanialszy cud natury i zarazem najstraszliwsze jej cierpienie, jej szaleństwo, jej zbuntowane wyzwanie? Po co jest śmierć? Wokulski nie posłyszy odpowiedzi. Pozostaje z pytaniami. Aż do końca".

Jak pisał Zygmunt Szweykowski, Wokulski to „jednostka ze wszystkich postaci »Lalki« najbliższa Prusowi, człowiek, w którym on zespolił znaczną część swych poglądów, swych aspiracji i cierpień, nie zachodzi jednak tutaj stosunek identyczności. Wokulski to nie Prus. Różnice idą przy tym w dwóch kierunkach: 1) Prus zgrupował w tej postaci szereg cech, które sam pragnął mieć, a których nie mógł zdobyć dzięki najróżniejszym okolicznościom, 2) dał mu mniejszą świadomość od tej, którą sam posiadał, a którą Wokulski będzie musiał zdobywać krok za krokiem, zdobywać przez cierpienia i zawody, z których się składało tragiczne pasmo jego życia".

Stanisław Wokulski to w pojęciu Prusa jednostka wybitna, „która – cytuję Szweykowskiego – przy odpowiednich okolicznościach mogłaby dać ogółowi bardzo wiele. Chodzi tylko o te okoliczności, o to, co społeczeństwo takiej jednostce da, jak ją wykształci i czy i jak będzie chciało skorzystać z tych zalet, które ona posiada.

Otóż możemy stwierdzić od razu, że stosunek społeczeństwa do Wokulskiego był wprost haniebny, że od niego dostał tylko to, co mu mogło życie utrudnić, i że kierunek, w jakim go ogół popychał, był zawsze naigrywaniem się z tych wartości, które Wokulski mógł i chciał społeczeństwu dać. Za winy, błędy, cierpienia i przegrane Wokulskiego odpowiedzialne jest społeczeństwo. Konflikt jednostki wybitnej z ogółem, jakkolwiek istniał dla grupy idealistów epoki romantycznej, był łagodzony przez rezygnację, poddanie się dobrowolnie koniecznościom zewnętrznym, natomiast o ile chodzi o Wokulskiego, który tej cechy nie będzie posiadał, dojdzie on do silnej jaskrawości, do głuchej walki z otoczeniem. Konflikt ten przeżywał również Prus i wiemy, jakie przyczyny go spowodowały. Tragedia Wokulskiego jest tragedią Prusa i pod tym właśnie względem zachodzi główne podobieństwo między autorem i jego bohaterem".

Zmienia się postać świata

A swoją drogą, czy wiedzą czytelnicy „Lalki", że Stanisław Wokulski nie popełnił samobójstwa, nie zginął w ruinach Zasławskich, a Izabela Łęcka ani nie schroniła się w klasztornej celi, ani nie rzuciła w wir nowych romansów i flirtów? Wiadomo nam o tym z najpewniejszego źródła, odnaleziony został bowiem rękopis Piotra S. Wirskiego, dawnego rządcy w kamienicy kupionej przez Wokulskiego.

To, oczywiście, literacki żart, poprzedzający rzekomo napisany przez Kazimierza Węgrowicza (znów nazwisko znaczące) wstęp do wydanej w 1997 r. książki „Stanisław i Izabela. Epilog »Lalki«. „Wirski – czytamy we wstępie – zmarł nagle w 1910 roku w Warszawie, jako 81-letni, do końca krzepki staruszek. W ostatnich latach życia zbliżył się do dawnych kompanów Ignacego Rzeckiego, też już bardzo zaawansowanych wiekiem: emerytowanego radcy Węgrowicza i byłego ajenta handlowego Szprota. Razem zdążyli opróżnić jeszcze niejeden kufelek, choć Węgrowicz – tak się składa, że przodek niżej podpisanego – prawił, iż gdyby Wirski więcej pijał radzika, dożyłby stu lat. Czytelnicy »Lalki« pamiętają zapewne, że w ten sam, przyznaję – nader specyficzny sposób – żegnał pan radca udającego się w swoją ostatnią ziemską podróż, śp. Ignacego Rzeckiego".

Podobnych „epilogów" było pewnie więcej. Podobnie jak dopisywanych po latach „uzupełnień" sienkiewiczowskiej „Trylogii". To także dowód na to, że „Lalka" weszła do skarbnicy polskiego piśmiennictwa i kształtuje naszą narodową wyobraźnię. I że wciąż jest czytana, o czym świadczy wydany kilka tygodni temu „Wokulski" Bogumiła Wójcika.



Ksawery Pillati „Corso w Warszawie"

FOT. DOMENA PUBLICZNA

A Jacek Kaczmarski swój utwór „Lalka (polski pozytywizm)" kończył strofą:

Prosty kolejarz nie chce pojąć,
Że można z życiem chcieć się rozstać.
Figurki w oknie sklepu stoją,
Sklep zmienia pana, a świat – postać,
W powietrze wylatuje zamek
Stając się marzeń rozpadliną –
Rzecki umiera weteranem,
Wokulski – znika pod ruiną.

I tu nasz narodowy bard się pomylił. Nie zniknął i nie zniknie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f4955209e

1870–1912 / Miasto polskie, rosyjskie i żydowskie



Pałac Staszica po przebudowie w stylu bizantyjsko-rosyjskim

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS

Zaginiona Warszawa Prusa



Tomasz Stańczyk

Pisarz walczył o poprawę życia mieszkańców miasta, w którym umieścił akcję „Lalki” – pochylał się nad losem biednych dzieci i wspierał inicjatywy dobroczynne

Dwudziestotrzyletni Bolesław Prus zamieszkał na stałe w Warszawie w końcu 1870 r. i żył tu ponad 40 lat. Przez ten czas miasto rozwinęło się ogromnie, dynamicznie wzrosła liczba mieszkańców, przybyły tysiące domów. Ale Warszawa Prusa już nie istnieje. Zagładę jego miastu przyniosły niemieckie bombardowania we wrześniu 1939 r. i podczas powstania warszawskiego, a także metodyczne wysadzanie budynków przez nazistowskiego okupanta. Dzieła zniszczenia dopełniły rozbiórki prowadzone przez Biuro Odbudowy Stolicy, w których rezultacie zniknęło wiele charakterystycznych budynków, mimo że nadawały się one do odbudowy. Między innymi imponująca, luksusowa Kamienica Spokornego przy Alejach Ujazdowskich oraz Pałac Kronenberga.

Prus nie poznałby więc dzisiejszej Warszawy i gdyby przywołać jego ducha z zaświatów, trzeba by było go zaprowadzić na Krakowskie Przedmieście, by nie doznał szoku. Ta ulica nie zmieniła się aż tak bardzo od jego czasów. To właśnie na Krakowskim Przedmieściu pisarz umieścił sklep Wokulskiego, a wczytując się w „Lalkę”, pisarz Stefan Godlewski ustalił, że znajdował się on w neorenesansowej kamienicy przy Krakowskim Przedmieściu 7. W dwudziestoleciu międzywojennym wmurowano tam tablicę upamiętniającą Ignacego Rzeckiego, który mieszkał w oficynie. Po wojnie zaś umieszczono w kamienicy Główną Księgarnię Naukową, imienia – jakżeby inaczej – Bolesława Prusa.

Pisarz nie znalazłby ani kamienicy Łęckich, którą umieścił przy ulicy Kruczej, ani stojącej vis-à-vis kamienicy pod numerem 25; to tam pisał „Lalkę”. Rozebrano ten dom po drugiej wojnie światowej w związku z poszerzaniem Kruczej, na której przymusowo powstały ścieżki rowerowe. Nawiasem mówiąc, Prus byłby nimi zachwycony – mniej spalinami z samochodów stojących w korkach na zwężonych ulicach – bo należał do Warszawskiego Towarzystwa Cyklistów, założonego w 1886 r. Początkowo właściciele welocypedów nie mogli się na nich poruszać w mieście, później tylko na wyznaczonych ulicach. Cykliści mieli natomiast do dyspozycji wybudowany w latach 90. tor na Dynasach, gdzie mogli się wyszaleć.

Na początku swego istnienia WTC było organizacją ekskluzywną; jej preze-

eprasa.pl 6f4955209e



Generał Sokrates Starynkiewicz, prezydent Warszawy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MAZOWIECKA BIBLIOTEKA CYFROWA

sem był hrabia August Potocki. Rowery były dostępne tylko dla bogatszych. Prus, zastanawiający się nad kupnem bicykla na raty, nad tym ubolewał. Podczas uroczystości wręczenia mu dyplomu honorowego członka WTC powiedział: „Bodajbyśmy doczekali w zdrowiu: Takich tanich rowerów, aby nawet najskromniejszy pracownik mógł zdobyć się na kupno tej szacownej machiny. Takich dróg bocznych, ażeby nawet po najgorszej z nich mogli jeździć (8 wiorst na godzinę), nawet honorowi członkowie Towarzystwa".

Pisarz należał też do Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego, zalegalizowanego w 1882 r. Organizacji tej zawdzięczamy imprezę Wianki na Wiśle. Pierwsze Wianki Prus oceniał jako „bardzo przyzwoitą zabawę ludową", w dodatku darmową, a miało w niej wziąć udział ok. 60 tys. mieszkańców, przypatrując się z Mostu Kierbedzia dziewczętom puszczającym na wodę wianki. WTW stało się, jak stwierdzał Stefan Kieniewicz, „elitarną organizacją panów w średnim wieku, którzy więcej aniżeli za wiosłem przesiadywali przy zielonym stoliku, a niechętnie też dopuszczali młodzież do swego kosztownego sprzętu" (S. Kieniewicz, „Warszawa w latach 1795–1914").

Cerkwie i koszary

Gdybyśmy przenieśli się w czasy Prusa, zobaczylibyśmy to, co w „Lalce" pisarz celowo pominął: obecność Rosjan i zmieniane przez nich oblicze miasta. Sklepy, restauracje, punkty usługowe miały dwujęzyczne, polsko-rosyjskie szyldy, a litery w języku rosyjskim nie mogły być mniejsze niż polskie. Nakaz ich umieszczania wydano przed powstaniem styczniowym, ale zaczęto go surowo egzekwować po jego upadku. Pojawiły się nadawane przez Rosjan nazwy nowo wytyczanych ulic: Berga (pierwszy namiestnik Królestwa Polskiego – dziś Traugutta), Kotzebuego (generał gubernator warszawski – dziś Fredry), Włodzimierska (dziś Czackiego). Na mapie miasta pojawiły się Rondo Keksholmskie (Plac Unii Lubelskiej) i Erywańska (Kredytowa), a na prawym brzegu Warszawy – ulice Moskiewska i Petersburska.

Obecność rosyjskich urzędników i wojska spowodowała pojawienie się w krajobrazie miasta cerkwi. Niedługo po powstaniu listopadowym kościół pijarów przy ulicy Długiej został zamieniony na Sobór św. Trójcy, a wiązało się to z przebudową fasady, na której pojawiło się pięć złoconych cebulastych kopułek. Niewiele brakowało, by w 1892 r., podczas uroczystości galowej z udziałem rosyjskich dygnitarzy, soborem wstrząsnął potężny wybuch spowodowany przez młodego terrorystę samobójcę. Na szczęście dla nauki polskiej niedoszły zamachowiec, zagrożony aresztowaniem, uciekł za granicę. Nazywał się Ignacy Mościcki.

Kilka lat po powstaniu styczniowym wybudowano na Pradze okazałą cerkiew, nie tylko z myślą o oficerach i żołnierzach z koszar w tej części miasta. Znajdowała się ona w sąsiedztwie Dworca Petersburskiego (później Wileńskiego) i zlokalizowano ją właśnie tam, by Rosjanin przybywający ze stolicy imperium do gubernialnego miasta nad Wisłą mógł czuć się po wyjściu z pociągu jak u siebie.



„Wianki na Wiśle". Grafika Ksawerego Pillatiego

FOT. MAZOWIECKA BIBLIOTEKA CYFROWA

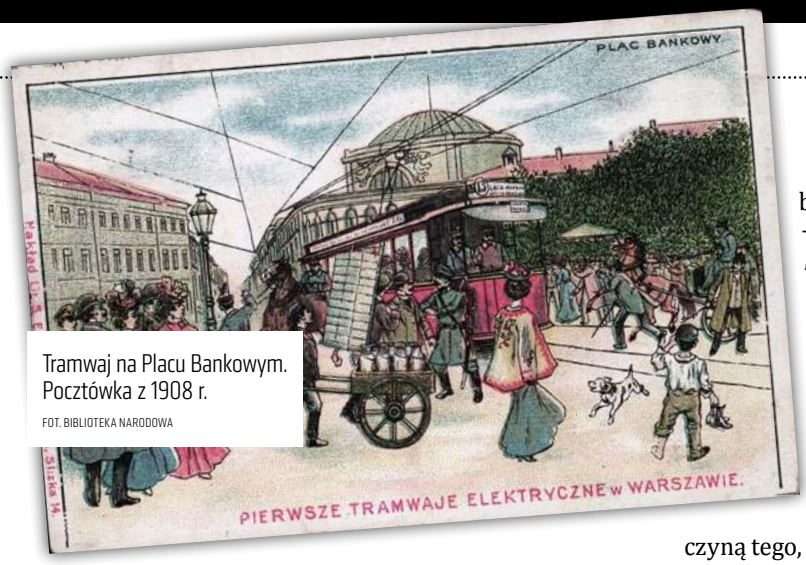
Cerkwie znajdowały się też na terenie koszar i w szkołach. W sumie było ich ok. 20. Generał gubernator Josif Hurko uznał jednak, że trzeba w centrum miasta wystawić ogromną cerkiew z wysoką dzwonnicą, dla zaznaczenia trwałej rosyjskiej – także religijnej – dominacji w dawnej stolicy Rzeczypospolitej. Hurko tak pisał o Warszawie w liście do Aleksandra III: „Znajdujące się w niej cerkwie nasuwają myśli, że należą do wyznania ledwo znoszonego, bynajmniej nie panującego, państwowego. Wewnętrzne ich urządzenie również nie odpowiada pojęciu o potędze i wielkości religii prawosławnej" (P. Paszkiewicz, „Pod berłem Romanowów. Sztuka rosyjska w Warszawie 1815–1915").

Budowę Soboru św. Aleksandra Newskiego na Placu Saskim rozpoczęto w końcu XIX w., ale prace ślimaczyły się przez kilkanaście lat. Na jego poświęcenie w 1912 r. przybył słynny prawosławny duchowny Jan Kronsztadzki, zaproszony zapewne ze względu na jego mocno nacjonalistyczne poglądy. Otaczała go sława człowieka przepowiadającego przyszłość, a miał ponoć powiedzieć, że sobór nie przetrwa długo po tym, gdy skończy się władza rosyjska nad Wisłą. Było to oczywiste: jako symbol zaborów sobór został rozebrany po odzyskaniu niepodległości.

Klasycystyczny Pałac Staszica, mieszczący gimnazjum rosyjskie, został ubrany w latach 90. w bizantyjsko-rosyjski kostium, a całość zwieńczono cerkiewną kopułką. Była to inicjatywa zaciekłego rusyfikatora Aleksandra Apuchtina, kuratora Warszawskiego Okręgu Szkolnego. Dla Rosjan miejsce to niezbyt dobrze się kojarzyło. Pod pałacem kryły się bowiem fundamenty Kaplicy Moskiewskiej, w której pochowano zdetronizowanego cara Wasyla Szujskiego, zmarłego w 1612 r. w polskiej niewoli.

Poza Cytadelą w Warszawie znajdują się pozostałości po rosyjskich koszarach. Duży zespół takich obiektów – dla huzarów, kirasjerów i ułanów – był zlokalizowany w sąsiedztwie Łazienek. Obecny Gmach Kancelarii Preze-

eprasa.pl 6f4955209e



Tramwaj na Placu Bankowym. Pocztówka z 1908 r.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

sa Rady Ministrów należał do powstałego w pierwszych latach XX w. kompleksu budynków Korpusu Kadetów im. Suworowa, rosyjskiego dowódcy, który dokonał rzezi Pragi w 1794 r.

Przy ulicy Wiejskiej znajdował się Instytut Aleksandryjsko-Maryjski Wychowania Panien, siedmioklasowa szkoła dla dziewcząt. Po odzyskaniu niepodległości jadalnia w budynku głównym została przerobiona na salę obrad Sejmu.

Demograficzny skok

Rosjan w Warszawie, nie licząc wojska, było niewielu. Zaraz po powstaniu styczniowym stanowili ok. 1,5 proc. mieszkańców, a tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej ich odsetek wzrósł do 4,3 proc. Był to wyraźny wzrost, ale też szybko powiększała się ogólna liczba mieszkańców. Gdy kończyło się powstanie styczniowe, Warszawa liczyła ok. 250 tys. mieszkańców, w 1883 r. było ich 400 tys., dziewięć lat później już pół miliona, a w pierwszym roku XX w. – 712 tys. Stefan Kieniewicz podawał, że w latach koniunktury gospodarczej (ostatnia dekada XIX w.) napływało do miasta 20 tys. ludzi każdego roku.

Przed pierwszą wojną światową Żydzi stanowili 38 proc. mieszkańców i byli właścicielami co trzeciej nieruchomości w Warszawie. Dominowali w handlu, co Prus skomentował w jednej z kronik: „W razie konkurencji z chrześcijanami nie robią sobie ceremonii, to jest nie dopuszczają do współzawodnictwa, bojkotują, doprowadzają do bankructwa, a jeszcze wniebogłosy narzekają na ucisk!".

Wzrostowi demograficznemu miasta towarzyszył wzmożony ruch budowlany. Apogeum nastąpiło w roku 1875. Wybudowano wtedy rekordową liczbę 901 domów. Drugi szczyt budownictwa przypadał na lata 90. – powstawało wówczas 400–500 domów rocznie. Rosyjskimi inwestycjami były m.in. gmach poczty przy Placu Wareckim (dziś Powstańców Warszawy) i Bank Państwa przy ulicy Bielańskiej. Staraniem władz miasta powstały m.in. Hale Mirowskie i Hala na Koszykach oraz gazownia na Woli.

Z polskich funduszy wzniesiono w epoce Prusa m.in. gmach Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, Filharmonię, Bibliotekę Publiczną oraz Teatr Polski. W Śródmieściu powstał Kościół Najświętszego Zbawiciela, nie bez powodu zbudowany w stylu nawiązującym do polskiej architektury od średniowiecza do baroku. Na Pradze wzniesiono natomiast Kościół śś. Michała i Floriana, wzorowany na gotyku nadwiślańskim, jako kontrapunkt dla pobliskiej Cerkwi św. Marii Magdaleny. Jego wieże dominowały nad kopułami wieńczącymi prawosławną świątynię.

Ku kanalizacji

Warszawa modernizowała się także za rządów rosyjskiego generała Sokratesa Starynkiewicza, postaci szanowanej przez Polaków, który był prezydentem miasta w latach 1875–1892. Autor kryjący się pod pseudonimem Baronowa XYZ pisał wówczas: „Człowiek to uczciwy, porządny […]. Czysty, nieposzlakowany, grosza miejskiego jak Cerber strzeże […]. Uczynny, a co ważniejsze, odczuwający nędzę Warszawy i jej ubogich potrzeby" (Baronowa XYZ, „Towarzystwo warszawskie").

Starynkiewiczowi zawdzięczała Warszawa znaczny wzrost dochodów miasta i przede wszystkim nowoczesne, rozbudowane wodociągi oraz kanalizację. Potrzeba wybudowana wodociągów była nagląca, ponieważ – jak pisał Prus w 1876 r. – „woda wiślana, którą pod wszelkimi formami pochłaniamy, dobra jest do pławienia bydła, prania, mycia szaflików i podłóg, ale nigdy do picia". Brudna, nieuzdatniona woda była wylęgarnią przeróżnych chorób. Pisarz uważał, że główną przyczyną tego, że mieszkańcy Warszawy żyją aż o 10 lat krócej niż Londyńczycy i Paryżanie, jest brak higieny, a to z kolei było związane z brakiem kanalizacji i rozbudowanych wodociągów.

Starynkiewicz przeforsował w Petersburgu zgodę na budowę wodociągów i kanalizacji, wydaną nie bez oporów, gdyż sama stolica Rosji nie miała takiej infrastruktury. Plany inwestycji wodociągowej i kanalizacyjnej Starynkiewicz poddał pod publiczną dyskusję. Nie obyło się bez krytyki i oporów ze strony właścicieli nieruchomości, niechcących płacić kosztów przyłączenia do sieci. Zupełnym kuriozum był atak kryjącego się pod pseudonimem autora broszury, której tytuł mówił za siebie: „Kanalizacja miasta Warszawy jako narzędzie judaizmu i szarlatanerii w celu zniszczenia rolnictwa polskiego oraz wytępienia ludności słowiańskiej". Mimo protestów budowę udało się sfinalizować, uzdatniona i przefiltrowana woda popłynęła do warszawskich mieszkań w lipcu 1886 r.

Realizację wspomnianych projektów wspierał Prus w „Kronikach Tygodniowych". Nie tyle chodziło mu o wygodę mieszkańców, ile o ich zdrowie i zapobieżenie epidemiom. Prus był gorącym orędownikiem propagowania higieny i został członkiem założonego w 1898 r. Warszawskiego Towarzystwa Higienicznego. Jego statut przewidywał działania „w celu zmniejszenia wśród mieszkańców skłonności do chorób i śmiertelności".

Z oporami władz w Petersburgu spotkał się także plan wybudowania trzeciego mostu w Warszawie (dziś Most Poniatowskiego). Jak pisał Kieniewicz: „Dopiero w 1901 r. przyszło pozwolenie z Petersburga, opłacone ponoć krociową łapówką". Co jest bardzo prawdopodobne, gdyż Rosja była „Imperium korupcji"

eprasa.pl 6f4955209e

– tak zatytułował swą książkę Andrzej Chwalba – i pozostała nim do dziś.

Oceniając wysiłek inwestycyjny władz miejskich w ciągu 50 lat, Kieniewicz pisał, że zrobiono wiele dla zbliżenia warunków życia w Warszawie do europejskiego standardu, nierzadko jednak przepłacano za realizowane projekty.

Tramwaje dla analfabetów

Warszawa stała się za czasów Bolesława Prusa wielkim ośrodkiem przemysłowym. W 1866 r. powstały zakłady Lilpop, Rau, Loewenstein, w których krótko pracował młody Prus. Niemal 10 lat później rozpoczęła działalność Fabryka Maszyn i Odlewów Orthwein i Karasiński. W przemyśle metalurgicznym oraz maszynowym działały również firmy Bormann i Szwede, Gerlach i Pulst, Rohn i Zieliński. W tamtych czasach tylko co trzeci przedstawiciel burżuazji warszawskiej – mowa również o przemysłowcach – był Polakiem. Pozostali to Niemcy i Żydzi.

Jednak to Polacy opanowali transport tramwajowy. W 1880 r. władze miasta zawarły umowę z belgijską firmą La Société Générale de Tramways na uruchomienie tramwajów konnych. Osiem lat później magistrat wykupił koncesję i wydzierżawił ją grupie polskich arystokratów. „Ze względu na przewagę analfabetów w Warszawie wyróżniano tramwaje symbolami, przy pomocy lampy naftowej i kolorowej szybki, najczęściej posługując się kombinacją paru kolorów" – wyjaśniał Kieniewicz. W 1897 r. 55 proc. mieszkańców Warszawy nie umiało czytać. Pasażerów przewoziło ok. 300 wagonów, dwa razy więcej było koni pociągowych. Prus, czuły na los zwierząt, pisał w jednej z kronik: „Otóż zachodzi pytanie: czy dzisiejsza technika nie potrafiłaby wynaleźć przyrządu ułatwiającego koniowi ruszenie z miejsca tramwaju? […] Widocznie osoby kierujące przedsiębiorstwem nie znają położenia koni. Czyżby same nigdy nie jeździły tramwajem?".

Polacy nie wypuścili tramwajów z rąk, gdy przyszła pora na elektryfikację. Tramwaje elektryczne ruszyły w 1908 r., a napędzający je prąd popłynął z elektrowni zbudowanej na Woli. Dziś w jej murach mieści się Muzeum Powstania Warszawskiego. Pierwsza linia prowadziła od dzisiejszego Placu Unii Lubelskiej do Placu Krasińskich.

Pionierską próbę połączenia telefonicznego w mieście, podczas którego transmitowano muzykę, wykonano w Warszawie w 1878 r. Prus zachwycał się: „Boże mój! Cóż to za cudowny instrument. Wyobraźcie sobie kawałek drutu i rurkę nie grubszą od butelkowej szyjki. To telefon". Centrala telefoniczna została uruchomiona w 1882 r., a pierwszymi wśród 105 abonentów „mogącymi rozmawiać ze sobą o każdej porze dnia i nocy" byli m.in. bankierzy Mieczysław Epstein, Jan Bloch i Stanisław Kronenberg. Telefony zainstalowano w redakcji „Kuriera Warszawskiego", cukierni Lourse'a, składzie win i towarów kolonialnych Simon i Stecki, czterech hotelach, m.in. w Europejskim. W 1908 r. władze miasta zawarły umowę ze szwedzką spółką Cedergren na rozwój sieci telefonicznej. A wtedy Warszawa „roztelefonowała się" – (określenie Prusa) na dobre. Centralę umieszczono w wybudowanym w tym celu budynku przy ulicy Zielnej, najwyższym (51,5 m) wówczas w Warszawie.

Serce dla dzieci

W 1898 r. odsłonięto Pomnik Adama Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu, jednak władze rosyjskie zakazały jakichkolwiek przemówień. Zbiórce na pomnik patronował Henryk Sienkiewicz, natomiast Prus w „Kronikach Tygodniowych" oddawał hołd poecie, zaznaczając jednak, że wznoszenie tego i innych pomników „nie harmonizuje z naszym położeniem ekonomicznym i społecznym". Podawał przykłady: 1,2 mln dzieci jest pozbawionych oświaty, nie chodzą do szkoły, w szpitalach jest 4,5 tys. łóżek, a powinno być cztery razy więcej. I retorycznie pytał: „Czy kraj mający tego rodzaju nie tylko potrzeby, ale – nędzę, może wydawać krocie na przyozdabianie swoich miast pomnikami?".

Pisarz działał aktywnie w Warszawskim Towarzystwie Dobroczynności (WTD). W „Kronice" wydrukowanej pierwszego dnia XX w. pisał: „Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności składa się ze stu dziesięciu przeszło instytucji, które – pielęgnując tysiąc trzystu starców, kalek i sierot, opiekują się w ochronach, salach zajęć i szwalniach sześć tysięcy ośmiuset dziećmi, udzielają rozmaitej pomocy w pieniądzach i naturze sześciu tysiącom osób, przygarniają dwa tysiące rekonwalescentów […], wydają trzysta sześćdziesiąt tysięcy tanich obiadów i obsługują trzynaście tysięcy bezpłatnych czytelników rocznie".

Prus szczególnie angażował się w poprawę losu i zdrowia dzieci. Na dwa lata został opiekunem sierot, które na naukę zawodu posyłano do majstrów pracujących w warsztatach WTD. Przyłączył się do inicjatywy dr. Stanisława Markiewicza i wszedł do komitetu organizacyjnego Towarzystwa Kolonii Letnich – sekcji WTD – organizując wyjazdy na wieś dla dzieci wątłych i chorowitych, na świeże powietrze i po mleko. Dochód z odczytu „O szczęściu" przeznaczył na wsparcie Domu Opieki dla najuboższych dzieci Powiśla. W jednej z kronik pisał o sprawie opuszczonych niemowląt i konieczności zakładania domów dla podrzutków.

Bolesław Prus zmarł w 1912 r. i został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim. Autor nagrobka, Stanisław Jackowski, umieścił na nim rzeźbę przestawiającą dziecko z rozłożonymi, wyciągniętymi rękoma, przytulające się do kamiennej ściany nagrobka i patrzące na inskrypcję: „Serce serc".

© Wszelkie prawa zastrzeżone



„Otwarcie letniego sezonu Warszawskiego Towarzystwa Cyklistów". Grafika Ksawerego Pillatiego

FOT. MAZOWIECKA BIBLIOTEKA CYFROWA

eprasa.pl 6f4955209e



Berlińska ulica po alianckim bombardowaniu, luty 1945 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

Książka miesiąca / Stolica III Rzeszy 1939–1945

Kto zgotował taki los Berlińczykom?

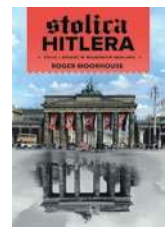
Pod koniec sierpnia 1940 r. mieszkańcy Berlina coraz częściej spoglądali w niebo. Niektórzy szukali na nim gwiazd, lecz większość w napięciu wypatrywała oznak zbliżającego się bombardowania. Oczywiście niczego nie dało się zawczasu dostrzec. O nadciągających samolotach wroga informowały dopiero syreny, a wtedy ludzie zaczynali gorączkowo szukać schronienia. W drugiej połowie 1940 r. Berlińczycy wiedzieli, że naloty „bandyckich Brytyjczyków" są faktem, a syreny wyją bynajmniej nie z powodu przeprowadzanych przez wojsko ćwiczeń.

Ale nie zawsze tak było. Przez ok. rok od wybuchu drugiej wojny światowej mieszkańcy stolicy „Tysiącletniej Rzeszy" żyli w pełnym przekonaniu o niezwyciężonej sile Wehrmachtu, który prze od zwycięstwa do zwycięstwa, chroniąc jednocześnie same Niemcy przed wszelkimi wrogami. Wojna? Słyszano o niej w radiu, czytano w gazetach. Czasem ktoś otrzymał informację o bohaterskiej śmierci w obronie ojczyzny jednego ze swoich krewnych. Lecz wojna nie dotykała samych Niemiec, a już na pewno nie Berlina. Stolica miała opierać się wszelkim zagrożeniom. Jakież musiało być zdziwienie mieszkańców, gdy nad głowami ujrzeli brytyjskie samoloty. Jeszcze większe, kiedy na rozkaz władz Berlin pogrążał się w ciemnościach i z biegiem czasu zaczynało brakować jedzenia, a ludzie nierzadko desperacko musieli walczyć o przetrwanie kolejnego dnia. A sytuację pogarszali bandyci grasujący w zaułkach, mordercy i złodzieje, wykorzystujący wojenny chaos.

Roger Moorhouse zagląda do berlińskich domów, wyłuskując z zachowanych wspomnień historie zwykłych ludzi mieszkających w Berlinie podczas drugiej wojny światowej. Tworzy opowieść, którą czyta się niemal z zapartym tchem, prawie jak intrygującą powieść obyczajową, a momentami nawet wciągający kryminał. Autor opisuje m.in. reakcje Niemców na wybuch wojny: obojętność, niedowierzanie, strach, a czasem współczucie, szczególnie wobec Żydów. Informacje o pomocy udzielanej Żydom ukrywającym się w wojennym Berlinie pojawiają się wiele razy, lecz wydają się aż niewspółmierne do faktycznej skali zjawiska. W czasie lektury może nawet uderzać to, jak empatyczni wydają się Berlińczycy wobec, notabene, swych ofiar.

Historia społeczna, a w tym wypadku nawet mikrohistoria, jest obiektem zainteresowań coraz szerszego grona odbiorców, dlatego po tę pracę Moorhouse'a od dawna sięga wiele osób. To drugie wydanie w języku polskim, w zmienionej szacie graficznej, przyciągnie zapewne kolejnych czytelników. I słusznie, gdyż praca jest rzeczywiście godna polecenia, choć z perspektywy przede wszystkim Polaka pewne szczegóły mogą wydawać się rażące. Choć bez wątpienia książka Moorhouse'a jest wyjątkowo wciągająca, to trudno oprzeć się wrażeniu, że autor zatracał chwilami perspektywę bezstronnego dziejopisa. Zbyt często chce sprawić, żebyśmy współczuli Berlińczykom. Owszem, nie wszyscy byli zdeklarowanymi nazistami, jednak czytamy przecież nie o znajdującej się pod okupacją Warszawie czy choćby Paryżu, lecz o Berlinie, sercu III Rzeszy. Mimo pewnych wad książka ta pozostaje propozycją pionierską i ważną dla poznania dziejów Niemiec pod władzą NSDAP. Czytać ją jednak należy ostrożnie, zachowując odpowiedni dystans. Sami bowiem Niemcy zgotowali sobie – i światu – ciężki los. ©℗

Anna Szczepańska



ROGER MOORHOUSE
„STOLICA HITLERA. ŻYCIE I ŚMIERĆ W WOJENNYM BERLINIE"
ZNAK HORYZONT

eprasa.pl 6f4955209e

Kolorowe średniowiecze

Ludzie żyjący w średniowieczu znali się na estetyce i sztuce oraz otaczali się pięknymi przedmiotami. To wniosek, który bodaj jako pierwszy przychodzi na myśl po lekturze książek prof. Anny Marciniak-Kajzer z serii o „Rzeczach średniowiecza".

Wydaje się, że mit ciemnych, brudnych i ponurych wieków średnich został już dawno obalony, a jednak wciąż pojawiają się (widzimy to szczególnie w kinematografii) kolejne filmy osadzone w realiach średniowiecznych, które pokazują nam szare krajobrazy, umorusanych ludzi ubranych w nijakie, bure odzienie oraz dostojnych rycerzy mieszkających w wysokich, niedostępnych, zimnych zamkach. Wiele jednak wody upłynie, zanim zaczniemy wyobrażać sobie średniowiecze tak, jak choćby pokazywał je Jean Froissart w „Kronice Francji, Anglii, Szkocji, Hiszpanii, Bretonii, Gaskonii, Flandrii i krajów sąsiednich". Oglądając miniatury w jego dziele, zobaczymy, że ludzie średniowiecza naprawdę uwielbiali kolory, zabawę i otaczali się pięknem! A to przecież tylko jeden z wielu przykładów.

W książkach badaczki z Uniwersytetu Łódzkiego, noszących podtytuły: „W domu" i „Dla ciała i duszy", znajdziemy setki przykładów na to, jak kunsztowne i niezwykłe było otoczenie ludzi wieków średnich. Oczywiście zupełnie inaczej wyglądała wiejska chałupa niż zamek, a także innymi przedmiotami posługiwał się prosty chłop oraz królewski dostojnik, jednak bez wątpienia wszyscy oni, bez względu na materialny status, używali przedmiotów nie tylko przydatnych, ale także ładnych. Informacji o rzeczach ludzi średniowiecza dostarczają przede wszystkim wykopaliska archeologiczne. Z ziemi wydobywa się głównie przedmioty codziennego użytku, tych bowiem było po prostu najwięcej, a więc najłatwiej na nie trafić. Wśród nich zdarzają się też i perełki, które tylko utwierdzają w przekonaniu o często finezyjnych upodobaniach dawnych mieszkańców naszego kontynentu.

Autorka zwraca uwagę na setki przedmiotów (czasem bardzo zaskakujących) otaczających ludzi średniowiecza. Profesor Marciniak-Kajzer wykonała tytaniczną pracę, gromadząc w dwóch tomach ogromną ilość materiału. Książki wydane są bardzo starannie i zawierają wiele ilustracji, które pomagają lepiej wyobrazić sobie kolorowe wieki średnie. ©℗

Anna Szczepańska



ANNA MARCINIAK-KAJZER
SERIA „RZECZY LUDZI ŚREDNIOWIECZA": „W DOMU", „DLA CIAŁA I DUSZY"
WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

W zielonym piekle

Druga część egzotycznego komiksu o wojowniczej dziewczynie z Jukatanu nie zawodzi. W żyłach Cataliny miesza się krew konkwistadora i rdzennej mieszkanki Jukatanu, co daje o sobie znać na każdym kroku. Walka o życie wśród dzikich plemion zamieszkujących gęstą dżunglę trzyma w napięciu do samego końca. „Nie wiedziałem, że zielony kolor może mieć aż tyle odcieni!" – mówi jeden z członków ekspedycji. I choć komiks jest czarno-biały, to opowieść o Catalinie jest tak sugestywna, że doskonale widzimy tę piekielną zieleń. ©℗ ***(p.w.)***



KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI, SŁAWOMIR ZAJĄCZKOWSKI
„IXBUNIETA. 2. SERCE DŻUNGLI"
HONES MAŁGORZATA ZAJĄCZKOWSKA

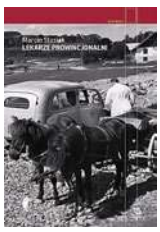
Judymowie w PRL

Najnowsza książka Marcina Stasiaka przywraca pamięć o ludziach, którzy po drugiej wojnie światowej starali się od podstaw zbudować polską medycynę wiejską. Władze PRL obiecały obywatelom powszechny dostęp do opieki medycznej, deklarując, że dotrze ona także do najmniejszych wsi. Aby sprostać temu zadaniu, na prowincje przymusowo wysyłano medyków, nie zapewniając im jednak żadnego zaplecza logistycznego, wyposażenia czy leków.

Autor opisuje przede wszystkim losy czworga lekarzy: Aleksandra Bałasza, Konstantego Muraszki, Stanisława Bayera i Krystyny Modrzewskiej, którzy mierzyli się z nieufną wiejską społecznością, a przede wszystkim zadbać o jej zdrowie.

Ich heroiczna praca została przedstawiona na tle realiów prowincji, gdzie gabinetem bywała chata bez prądu i bieżącej wody, a dotrzeć do pacjenta można było jedynie wozem konnym grzęznącym w błocie. Medycy musieli wdrażać obowiązkowe szczepienia, walcząc z panicznym strachem rodziców, którzy potrafili chować dzieci w szafach. Codziennością stało się zwalczanie h zabobonów i rywalizacja ze znachorami oraz „babkami", którzy mieli status nieomylnych guru.

Materiał źródłowy stanowią pamiętniki i dzienniki medyków, ich wspomnienia, a także materiały archiwalne i antropologiczne. To fascynujący traktat socjologiczny o zderzeniu kultur, triumfie nad chorobami, a także o samotności, frustracji i bezsilności lekarzy wobec absurdów PRL. ©℗ ***Anna Zalewska***



MARCIN STASIAK
„LEKARZE PROWINCJONALNI"
CZARNE

eprasa.pl 6f4955209e

/ Felieton



Rafał A. Ziemkiewicz

Księżniczki i chochoły

Napisałem swego czasu w tej rubryce, że mający w polskiej historiografii fatalną opinię Michał Korybut Wiśniowiecki był pierwszym w naszej historii „PiS-owcem". Owa fatalna opinia wzięła się bowiem z bezrefleksyjnego przepisania przez Konopczyńskiego propagandy „malkontentów", tępiących króla Wiśniowieckiego z taką samą zajadłością, z jaką dziś establishment tępi współczesnych „populistów". I – dodajmy – z tych samych przyczyn.

Żeby mógł się pojawić w naszej historii pierwszy „PiS-owiec", musiała się pojawić jakaś prefiguracja „PO-wców". Stało się to, w moim przekonaniu, za sprawką Ludwiki Marii Gonzagi, żony króla Jana Kazimierza Wazy. Skupiła ona wokół siebie stronnictwo magnackie, które miało przeforsować plan elekcji „vivente rege", i tym samym umocnić na tronie jej dynastię.

Jak sobie to wyobrażała energiczna małżonka nieudolnego króla? Poprzez współpracę rodzimej magnaterii z bliską jej sercu Francją (dlatego właśnie zbudowane przez nią stronnictwo nazwała szlachta „malkontentami"). Kaptowała stronników rozdawaniem nie tylko królewszczyzn, buław hetmańskich, senatorskich krzeseł i innych zaszczytów, lecz także francuskich pieniędzy. Co jednak najciekawsze, a czego, przyznam, nie wiedziałem i dowiedziałem się dopiero od Jacka Komudy (polecam rozmowę, którą odbyliśmy o jego najnowszej książce „Rozbiory", jest na stronach Fundacji im. XBW Ignacego Krasickiego), swatała polskim magnatom francuskie księżniczki. I to na dużą skalę. Księżniczki przeważnie pochodziły z podupadłych rodów i były bez kasy, ale kasę mieli właśnie polscy magnaci. One zaś miały to, czego Polakom brakowało i na co byli szczególnie łasi: prestiż francuskich księżniczek.

> Tak zaczęło się reformowanie Polski według obcych jej wzorów, **wbrew samym Polakom, w oparciu o obce ośrodki, przez gardzące „polską hołotą" i zapatrzone w Zachód „elity"**

Czy więc nie mam racji, widząc w malkontentach prefigurację dzisiejszej Platformy Obywatelskiej i innych, wcześniejszych politycznych emanacji michnikowszczyzny? Po pierwsze – reformy. Tak, chcieli reform i z tego powodu właśnie cieszą się w dzisiejszej historiografii wspaniałą opinią, w przeciwieństwie do „Piasta" Wiśniowieckiego, którego wybór na tron, dokonany głosami drobnej szlachty, odebrali jako policzek dla siebie i swego stanu (było to bardzo w duchu tyrady, którą w „Potopie" wygłasza Kmicicowi zdrajca Bogusław Radziwiłł, wściekły, że w „tym kraju" szlachta może sobie posadzić na tronie „jakiegoś waćpana Piegłasiewicza z Psiej Wólki", i on, Radziwiłł, musiałby takiego króla całować w dłoń; otóż Michał Korybut był dla malkontentów tym właśnie Piegłasiewiczem).

Ale jakich chcieli reform? Po prostu narzucenia Polsce francuskiego absolutyzmu. Nie chcieli więc tak naprawdę zreformować kulejącej szlacheckiej demokracji, tylko ją zniszczyć i zastąpić „absolutum dominium". Oczywiście wiedzieli, że poza własnym kręgiem magnatów, połączonych bogactwem i poczuciem lepszości (świeżo umocnionym mariażami z prawdziwymi francuskimi księżniczkami!) oraz ich klientelą, nie znajdą dla takiego zamiaru zwolenników. Więc na kim zamierzali oprzeć swe reformatorskie działania? Na Francji.

Tak zaczęło się reformowanie Polski według obcych jej wzorów, wbrew samym Polakom, w oparciu o obce ośrodki, przez gardzące „polską hołotą" i zapatrzone w Zachód „elity". Tak się zaczął ten chocholi taniec, który tak nas skołował w ostatnim 35-leciu. Od nieszczęsnej Ludwiki Marii. ©℗

eprasa.pl 6f4955209e



Piotr Semka

/ Felieton

Marszałek

Koniew w Dolinie Śmierci

W październiku 2026 r. we wsi Kružlová w północno-wschodniej Słowacji odsłonięto pomnik sowieckiego marszałka Iwana Koniewa. Każdy, kto pamięta polskie boje o usunięcie z Krakowa monumentu ku czci tego krasnoarmiejskiego dowódcy, będzie tą wiadomością zdumiony. Kto jednak zna specyfikę naszego południowego sąsiada, wie, że ta uroczystość doskonale wpisuje się w tamtejsze obyczaje.

O uczczeniu sowieckiego marszałka zadecydowano w czasie wizyty Roberta Ficy w Moskwie 8–9 maja 2025 r. Premier Słowacji jako jedyny przedstawiciel krajów UE i NATO przyjął zaproszenie Rosjan świętujących 80. rocznicę zwycięstwa nad III Rzeszą. Niemal półtora roku później pomnik był gotowy do odsłonięcia.

Sam Fico dyplomatycznie nie pojawił się na uroczystości, podobnie jak słowacki prezydent Peter Pellegrini. Jednak Rosjan nie spotkał żaden despekt, bo pomnik odsłaniał wiceprzewodniczący rządzącej partii SMER Ľuboš Blaha. Nie zabrakło też, oczywiście, ambasadora Rosji Siergieja Andriejewa (do zeszłego roku pełnił on tę funkcję przez wiele lat w Polsce).

Skąd bierze się ta nieustająca miłość sporej części obywateli Słowacji do rosyjskich „wyzwolicieli"? Po pierwsze, Słowacy zawsze byli rusofilscy. Kiedy w 1849 r., w ramach pacyfikowania powstania Węgrów, wojska rosyjskie pod wodzą feldmarszałka Iwana Paskiewicza przetaczały się przez te ziemie, słowaccy chłopi, którzy dotychczas znali jedynie władzę węgierską, odkryli, że carscy żołnierze mówią bardzo podobnym językiem. Ten epizod wzmocnił słowackie poczucie odrębności narodowej.

Po drugie, tereny wokół Kružlovej zamieszkane są przez ludność rusińską, która od początku XIX w. pielęgnuje prorosyjskie sympatie. Po trzecie, kiedy w 1945 r. 1. Front Ukraiński pod dowództwem Iwana Koniewa wypierał Niemców ze Słowacji, kraj ten miał za sobą wiele miesięcy brutalnej hitlerowskiej okupacji, wywołanej przegranym słowackim powstaniem narodowym.

I wreszcie ostatni element, na który zwrócili uwagę sąsiedni Węgrzy, Koniew brutalnie stłumił w 1956 r. zryw wolnościowy Madziarów. A u części Słowaków każdy, kto choćby uprzykrzy życie węgierskim sąsiadom, będzie pozytywnie oceniany.

Kult sowieckich marszałków wyzwolicieli był kiedyś oficjalnym „wyznaniem" komunistycznej Czechosłowacji. Tyle że w Czechach przez ostatnie 20 lat usunięto większość pamiątek po paladynach Stalina. Ostatnie pozostałości nijak się mają do sposobu upamiętniania Armii Czerwonej na terenie Słowacji, szczególnie w jej wschodniej części. W co drugiej wsi można tam zobaczyć pomniczek czczący sowieckie wyzwolenie. Monumenty są zadbane i dekorowane świeżymi kwiatami. Równie częste są pomniki w postaci sowieckich czołgów, które w większości zniknęły już z polskich miast. Na Słowacji, gdzie rządzi postkomunista Fico, miejscowe władze pilnują, by nic się tym poststalinowskim pamiątkom nie stało. Dlatego dziwi wręcz, że premier nie pofatygował się na odsłonięcie pomnika w Kružlovej.

I wreszcie ostatni ciekawy akcent. Monument ku czci Koniewa stanął na terenie nazywanym przez Czechów i Słowaków „Údolie smrti" („Doliną Śmierci"). Właśnie przez tę przełęcz, niedaleko polskiej Dukli, we wrześniu i w październiku 1944 r. przebijała się armia czechosłowacka stworzona w Związku Sowieckim. Niemcy tak doskonale wykorzystali ukształtowanie terenu, że kolejne fale atakujących ścinane były przez gniazda niemieckich karabinów maszynowych.

Co charakterystyczne, część czeskich, ale nie słowackich historyków zadaje pytanie: Czy Stalin specjalnie nie ograniczył sowieckiego wsparcia dla Czechów i Słowaków w ich walkach o przełęcz dukielską w ramach perfidnej intrygi? Z jednej strony zachęcał te oddziały, by pokazały, co umieją, i wyzwoliły swoją ojczyznę, a z drugiej strony mógł zakładać, że jeśli armia czechosłowacka wykrwawi się w Dolinie Śmierci, to nie będzie w stanie sama wyzwolić swojej ojczyzny i pełna chwała przypadnie Armii Czerwonej.

Jeśli przyjmiemy, że to prawda, to stawianie pomnika marszałkowi Stalina akurat w tym miejscu jest wyjątkową perwersją. ©℗

eprasa.pl 6f4955209e

XVI w / Nieudana zemsta Elżbiety I

Angielska kontrarmada wstydu



Grzegorz Janiszewski

W 1588 r. wielka hiszpańska armada została rozgromiona u brzegów Wysp Brytyjskich. Rok później podbudowani zwycięstwem Anglicy postanowili wysłać swoją flotę przeciw Hiszpanom. Poniosła ona jednak klęskę tak druzgocącą, że do dzisiaj milczą o niej angielskie podręczniki do historii

Wysyłając swoją flotę na Półwysep Iberyjski, Anglicy zamierzali upiec kilka pieczeni na jednym ogniu. Skarbiec królewski w Londynie by ogołocony przez wojnę z Hiszpanią. Zapełnić miały go złoto i srebro zdobyte po przejęciu na Azorach hiszpańskiej floty skarbów, płynącej z kolonii w Nowym Świecie. Najpierw trzeba było jednak zniszczyć okręty ocalałe po klęsce Wielkiej Armady. Były one remontowane w porcie w Santander, na północnym wybrzeżu Hiszpanii. Zapobiegłoby to przyjściu na odsiecz flocie skarbów, a przede wszystkim dalszym atakom na Wyspy Brytyjskie. Akcja miała też cel polityczny. Na lizbońskim tronie miał zostać osadzony dom António de Crato, portugalski król, który w 1580 r., po podboju kraju przez Hiszpanów, zbiegł do Londynu. Anglia uzyskałaby w ten sposób dostęp do lukratywnych portugalskich szlaków handlowych. Przede wszystkim jednak ofensywna akcja miała rzucić wyzwanie światowej potędze w walce o panowanie na morzach i oceanach. Anglia w porównaniu do Hiszpanii była przecież państwem ubogim, choć z wielkimi aspiracjami. Dobrze oddała je Elżbieta I, przemawiając do żołnierzy zebranych do walki z Hiszpanami w Tilbury w 1588 r.: „Wiem, że mam wątłe ciało słabej kobiety, ale serce i żołądek mam królewskie, króla Anglii".

Korsarz na czele

Przygotowania zaczęły się na wiosnę 1589 r. W Plymouth Anglicy zbierali zapasy i rekrutów do piechoty morskiej. Oczekiwano na niemieckich, holenderskich i angielskich najemników, którzy mieli przybyć z Niderlandów. Angielski skarbiec świecił pustkami, więc wyprawa wyruszyła jako prywatne przedsięwzięcie, finansowane przez królową Elżbietę, Holendrów i dom Antónia. Na ten cel wyłożył on portugalskie klejnoty królewskie, które zabrał ze sobą na wygnanie. Wspierało go grono portugalskich marranów, Żydów przechrzczonych na chrześcijaństwo. Był wśród nich osobisty lekarz Elżbiety Rodrigo López, snujący wraz z nimi plany powrotu do



Maria Pita. Pomnik w A Coruña

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JOSE LUIS CERNANDAS IGLESIAS

WWW.DOBRZECZY.PL

eprasa.pl 6f4955209e

Portugalii i objęcia kluczowych stanowisk w państwie.

Na czele floty stanął Francis Drake, opromieniony sławą pogromcy Hiszpanów korsarz w służbie królowej. Drake od lat walczył z Hiszpanami, łupiąc ich wypełnione srebrem i złotem statki wracające z Nowego Świata. Jako drugi żeglarz opłynął kulę ziemską. Był też świetnym taktykiem, który znacząco przyczynił się do pokonania Wielkiej Armady. Załadowaną na okręty piechotą dowodził John Norris. Ten weteran wojen religijnych we Francji, wojny osiemdziesięcioletniej i konfliktu z Hiszpanią, służył angielskiej koronie od 19. roku życia, będąc jednocześnie zaufanym przyjacielem królowej Elżbiety.

Ekspedycja złożona ze 150 okrętów wypłynęła w kwietniu 1589 r. z niewielkim zapasem prowiantu (czekając na spóźniających się najemników z Niderlandów, rekruci ogołocili magazyny z zapasów). Na pokładach płynęło zaledwie 1,8 tys. weteranów i aż 19 tys. słabo wyszkolonych nowicjuszy. Nie było ani kawalerii, ani dział oblężniczych. Dwa tysiące żołnierzy zdezerterowało, odpływając na mniejszych okrętach, jeszcze zanim zobaczyli wybrzeże Hiszpanii.

Nie chcąc ryzykować okrążenia przez Hiszpanów w Zatoce Biskajskiej, Drake podjął decyzję, że ominą Santander. Liczył, że w magazynach hiszpańskiej floty w portowej La Coruñii znajdzie spore zapasy. Obrońców miasta nie było zbyt wielu, zaledwie 1,5 tys. Wsparcia udzielało im kilka okrętów wojennych. Na nieszczęście Anglików, wśród obrońców znalazło się jednak obok niedoświadczonej miejskiej milicji i miejscowej szlachty również siedem kompanii zawodowych tercios, którzy stacjonowali na leżach w miasteczku.

Arkebuzy i amazonki

Kiedy 4 maja 8 tys. Anglików lądowało na plaży w pobliżu La Coruñii, przywitał ich ogień 150 arkebuzerów.



António de Crato FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BRITISH MUSEUM

Dowodzący nimi Álvaro de Troncoso y Ulloa dobrze znał miejscowy teren i sprawnie przemieszczał swoich tercios, sprawiając wrażenie, że jest ich znacznie więcej niż w rzeczywistości. Nieopierzeni angielscy rekruci, pod wpływem niespodziewanego ognia padającego z różnych stron szybko, zaczęli uciekać na okręty. Norrisowi – przy pomocy doświadczonych żołnierzy – w końcu udało się zagonić Hiszpanów z powrotem w obręb miejskich murów. Jednak pozostali obrońcy, widząc przebieg starcia, nabrali ducha walki. W okolice miasta zaczęły też ściągać posiłki, zaalarmowane ogniem rozpalonym na pobliskiej latarni morskiej.

Anglicy zaczęli ostrzeliwać miasto z okrętowych dział wyciągniętych na brzeg, a potem wysadzili desant, który ruszył na przedmieścia. Hiszpańscy obrońcy wycofali się za mury górnego miasta. W zdobytym dolnym mieście urządzono rzeź ludności. Znaleziono tam sporo żywności, ale też beczek z winem. Żołnierze upili się i nie byli już w stanie zdobywać murów. Walki trwały przez następne dni. Obrońcy organizowali wypady, wspierani przez docierające z okolicy posiłki, które atakowały, a potem kryły się w gęstych lasach. Dopiero 14 maja Anglicy uszkodzili mury miasta, wysadzając podłożoną pod nie minę. Drugą dziurę wybiła w nich angielska artyleria. Ludzie Norrisa wdarli się do środka, wypierając obrońców i podchodząc pod najwyższą część murów. Sytuację niespodziewanie uratowały dwie kobiety pałające chęcią zemsty za śmierć swoich mężów. María Pita wyrwała angielskiemu dowódcy (według legendy bratu adm. Drake'a) pikę, na której powiewał sztandar i przebiła go, zabijając na miejscu. Potem wskoczyła na blanki i krzyknęła: „Kto ma honor, za mną!", pociągając obrońców do ataku na Anglików. Przy drugim wyłomie dowodzenie przejęła Inés de Ben, wypierając wrogów za mury. Następnego dnia zagrożony przez nadchodzące z Santander posiłki Norris nakazał odwrót na morze. Anglicy stracili w walce 1,5 tys. ludzi, 3 duże okręty i 4 barki desantowe. Kolejne 3 tys. zmarło w drodze z chorób albo zdezerterowało. Morale wśród pobitych przez kobiety żołnierzy upadło.

Następnie ekspedycja skierowała się ku Portugalii. U jej wybrzeży dołączył do nich hrabia Essex, Robert Devereux, znany z gorącego temperamentu poszukiwacz przygód i faworyt królowej. Elżbieta zabroniła mu brać udziału w wyprawie, ale Devereux jej nie posłuchał. Teraz szukał bitewnej chwały, licząc na przebaczenie u królowej. 26 maja wyprawa zbliżyła się do Peniche. Drake i Norris popełnili wtedy fatalny błąd, rozdzielając siły. Pierwszy popłynął dalej na południe, chcąc dopłynąć Tagiem do Lizbony. Drugi z piechotą miał dotrzeć tam lądem. Podczas desantu kilkanaście łodzi prowadzonych przez Essexa, który chciał pierwszy dotrzeć na brzeg, rozbiło się o skały na nierozpoznanym wybrzeżu.



Galeon „Ark Royal", zbudowany w 1587 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 6f4955209e



Stocznia w Sewilli

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM AMERYKI W MADRYCIE

Zginęło 80 żołnierzy. On sam wyskoczył za burtę, nie czekając, aż statek dobije do brzegu. Za nim w pełnym rynsztunku wyskoczyło kilkunastu rycerzy, którzy potopili się w przybrzeżnych falach.

Niechciany król

Anglicy ruszyli w drogę 28 maja, nie biorąc ani zapasów, ani nawet dział. Liczyli na to, że miejscowa ludność po drodze dołączy do orszaku idącego z królem. Dom António na jego czele miał triumfalnie wkroczyć do stolicy, która podda się bez walki, i objąć tron. Tak przynajmniej zapewniał przyszły król. Tymczasem miejscowi, słysząc o nadchodzącym wojsku, zaczęli uciekać ze swoich domów wraz z dobytkiem. W tym czasie Hiszpanie, korzystając ze zwłoki spowodowanej walkami pod La Coruñą, zdążyli już wymordować wielu prawdziwych i domniemanych zwolenników dom Antónia, odstraszając innych.

Po dwóch dniach marszu w upalnym słońcu zmęczone, głodne i spragnione oddziały dotarły pod Lizbonę i rozbiły tam obóz. Jednak Hiszpanie nie próżnowali. Przenieśli żywność z magazynów pod Lizboną do miasta, a 1 czerwca o świcie, w Boże Ciało, do obozu podeszła grupa 200 najlepszych arkebuzerów. Udając stronników dom Antónia i krzycząc na jego cześć, zostali wpuszczeni do obozu. Arkebuzerzy natychmiast po wejściu zabili strażników, a potem zaczęli ostrzeliwać namioty, w których spali Anglicy. Ci stawili opór dopiero po długiej chwili. Wtedy Hiszpanie wycofali się do miasta.

Tego samego dnia Anglicy, ciągnąc ze sobą wielu rannych, chorych i zmęczonych upałem i głodem, podeszli pod miasto, przygotowując atak. Hiszpanie wycofali się za mury i zaczęli ostrzał z kolubryn, rozmieszczonych w górującym nad miastem zamku São Jorge. Na Tagu pojawiły się hiszpańskie galeony, które też zaczęły strzelać ze swoich dział do Anglików. Ci w końcu znaleźli miejsce na przedmieściu, gdzie mogli się ukryć przed armatnimi kulami.

Pozbawieni oblężniczych dział, a nawet drabin, Anglicy i Portugalczycy zaczęli snuć plany, jak dostać się do miasta. Nawiązali kontakt ze zwolennikiem dom Antónia z Lizbony, Ruim Diasem Lobo. Ten miał skłonić zakonników z Klasztoru św. Trójcy, przylegającego do murów, żeby zrobili w nich wyłom, przez który wpuszczą oblegających. Zakonnicy wiedząc, jak protestanci traktowali katolików w Niderlandach, donieśli o wszystkim Hiszpanom. Nie powiodła się też próba skaptowania kapitana dowodzącego jedną z miejskich bram. Dom António próbował też przez swoich stronników w mieście wywołać powstanie mieszkańców, ale i te próby spełzły na niczym. Zniecierpliwiony lord Essex podszedł nawet pod miejską bramę i wbił w nią włócznię, żeby zachęcić Hiszpanów do walki. W odpowiedzi z murów poniósł się tylko gromki śmiech.



Francis Drake

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUCKLAND ABBEY, DEVON

Angielskie szeregi topniały z każdym dniem z powodu wyczerpania, głodu i chorób. O świcie 3 czerwca Norris postanowił przypuścić decydujący atak. Hiszpanie byli przygotowani. Rozmieścili strzelców wyborowych na dachach kościołów i podpalili przedmieścia od strony bramy św. Cataliny po zachodniej stronie murów, gdzie spodziewali się ataku. Widząc to Norris skierował oddziały na południe, ale tam Hiszpanie również podpalili domy. Na brzegu Tagu czekały galeony, gotowe do ostrzału atakujących. Norris zrozumiał, że sprawa jest przegrana. W dodatku doszły do niego informacje o kilkutysięcznych hiszpańskich posiłkach zmierzających w kierunku Lizbony. Jedyną szansą na ocalenie było połączenie się z Drake'em i ucieczka morzem. Ten, jak na korsarza przystało, zajmował się łupieniem hiszpańskich statków przy ujściu Tagu.

Nocą 4 czerwca Anglicy rozpalili w swoim obozie wiele ognisk, żeby zmylić Hiszpanów. Pod osłoną nocy pojedyncze oddziały wymykały się bocznymi drogami z obozu w kierunku portowego Cascais. Od świtu rzeką podążały za nimi hiszpańskie galeony, prowadząc ostrzał z pokładowych dział. Podczas marszu zginęło przynajmniej 500 Anglików. Główne hiszpańskie siły ruszyły w pościg z Lizbony i dotarły pod Cascais 7 czerwca. Przed całkowitą zagładą ludzi Norrisa ocaliły okrętowe działa Drake'a, pod których ochroną się znaleźli.

Hrabia Essex w fanfarońskim geście wysłał do Hiszpanów posłańca, żądając bitwy w otwartym polu, ale został on odesłany z nieotwartym listem. Wkrótce do Lizbony przybył najważniejszy portugalski arystokrata, dom Teodósio II, książę Braganzy, wspierając Hiszpanów. W tym momencie wszelkie dalsze próby osadzenia na tronie dom Antónia nie miały już sensu.

Wściekła królowa

Sytuacja Anglików stawała się coraz bardziej rozpaczliwa. Hiszpanie spalili młyny wokół Cascais, przez co ludzie Drake'a i Norrisa musieli gotować ziarno

eprasa.pl 6f4955209e

na wodnistą zupę. Przybywało też coraz więcej hiszpańskich oddziałów. Nie tylko lądem. 14 czerwca pod miasto przypłynął z 15 galonami adelantado Kastylii Martín de Padilla, zamykając oblężenie od strony morza. Szturm generalny zaplanowany był dwa dni później, ale przeszkodziła pogoda.

W tym samym czasie do portu przedarły się dwa małe angielskie statki, przywożąc listy od królowej. Elżbieta nakazywała w nich natychmiastowy powrót lorda Essexa i ostro łajała Drake'a i Norrisa za sposób prowadzenia ekspedycji. Drake dostał też wieści, że płyną mu na pomoc statki z zaopatrzeniem, ale nie będzie żadnych posiłków wojskowych. Admirał postanowił natychmiast opuścić port. Dwa dni czekał na sprzyjający wiatr, aż w końcu 18 czerwca halsując, opuścił Cascais z flotą liczącą 210 jednostek. Chcąc zadowolić królową, próbował płynąć w stronę Azorów, żeby złupić flotę skarbów, ale wiatr kierował go na południowy zachód, wzdłuż portugalskiego wybrzeża.

Hiszpanie ruszyli w pościg następnego dnia i wkrótce doszło do potyczki, w której Anglicy stracili 10 statków. Ich flota rozproszyła się. Jeńcy wzięci przez Hiszpanów zdradzili, że na statkach nie ma zapasów, więc rejs na Azory jest niemożliwy. Wobec tego Hiszpanie skupili się na zlikwidowaniu garnizonu w Peniche, który zostawił tam Norris. Drake również się tam skierował, ale kiedy przybył na miejsce 23 czerwca, przywitały go salwy z dział. Hiszpanie byli szybsi.

Drake pozbierał swoje okręty i skierował je na północ, halsując przy przeciwnym wietrze. 29 czerwca kontrarmada rzuciła kotwicę w zatoce portowego miasta Vigo. Hiszpanie obserwując ruchy Anglików, ewakuowali wcześniej miasto, zabierając zapasy i kosztowności. Ludzie Drake'a i Norrisa zaczęli przemierzać opustoszałe ulice, w złości podpalając domy, niszcząc pozostawiony dobytek i bezczeszcząc kościoły.

Dwa dni później do miasta przybyli Hiszpanie, zaskakując Anglików i biorąc kilkudziesięciu z nich do niewoli. Reszta załadowała się na okręty. Drake zaoferował hiszpańskiemu dowódcy Luisowi Sarmiento, że odpłynie natychmiast, jeżeli wyda mu jeńców. Sarmiento, wstrząśnięty zniszczeniami dokonanymi przez Anglików, kazał ich natychmiast powiesić na oczach ich kompanów na statkach, wzywając Drake'a, żeby przysłał ich więcej.



Pozostałości murów obronnych w A Coruña FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FIRKINCAT

Admirał opuścił port 2 lipca, zostawiając okręty Norrisa, które nie zdążyły wypłynąć z zatoki przed przypływem. Ostanie okręty odpłynęły z Vigo dwa dni później, kierując się do Anglii. Ścigane przez Hiszpanów, zaczęły wpływać do portu w Plymouth tydzień później. Na wielu z nich pozostało kilkunastu albo i zaledwie kilku zdolnych do służby marynarzy. Reszta zginęła albo zmarła z powodu chorób i z wycieńczenia. W dodatku załogi przyniosły do Anglii zarazę. W ciągu kilku tygodni ponad 400 mieszkańców Plymouth padło jej ofiarą.

Armada zwycięskiej propagandy

Norris z hrabią Essex korzystając ze swoich znajomości, zaczęli montować narrację o wielkim sukcesie kontrarmady. W sprawozdaniu dla królowej wyolbrzymiano zwycięstwa i pomniejszano porażki, rozpuszczając też plotki i wydając druki o przywiezionych skarbach. Królowa pod wpływem fałszywych raportów wydała na cześć organizatorów list pochwalny.

W rzeczywistości zdobycze ograniczały się do 150 zdobytych dział i 30 tys. funtów zrabowanego dobytku. Koszty ekspedycji pochłonęły tymczasem ponad 100 tys. funtów. Część wydatków trzeba było pokryć ze skarbu państwa. Spośród ponad 27 tys. żołnierzy i marynarzy, którzy wyruszyli do Hiszpanii i Portugalii, do ojczyzny wróciło od 3 do 5 tys. Stracono od 15 do 40 okrętów i statków. Hiszpanie wkrótce odtworzyli swoją flotę i już w 1590 r. założyli bazę wypadową na Anglię w Bretanii. Żaden z głównych celów wyprawy nie został osiągnięty. Hiszpania dominowała w Europie jeszcze kilka dekad.

Jednak kara, jaka spotkała w końcu Drake'a i Norrisa nie była zbyt wielka. Wypadli tylko z łask Elżbiety i przez kilka lat nie powierzano im poważniejszych zadań. Hiszpanie jeszcze kilka razy wysyłali armady przeciw Anglii, ale wszystkie kończyły się niepowodzeniami. W końcu w 1604 r. zawarto w Londynie traktat kończący wojnę. Anglicy zyskali dzięki niemu swobodę żeglugi, w zamian za zaprzestanie wspierania Holendrów. Europa na kilkanaście lat, aż do wybuchu wojny trzydziestoletniej, zaznała niespotykanego spokoju.

Wyprawa kontrarmady do dzisiaj pozostaje wstydliwą i przemilczaną kartą w angielskiej historii. Na nieudanych wyprawach hiszpańskiej armady i angielskiej kontrarmady bodaj najwięcej zyskała Holandia, której nienaruszona flota przez cały XVII w. królowała na morzach i oceanach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f4955209e



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie



Muzeum w Zante. Fragment ekspozycji z amunicją artyleryjską
FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

Kurlandia, pole bitwy

Walki o Kurlandię od jesieni 1944 r. do wiosny 1945 r. należały do najbardziej zaciętych w drugiej wojnie światowej. Pamiątki z pobojowisk można oglądać w prywatnym muzeum w Zante, jednym z najniezwyklejszych i najciekawszych w regionie bałtyckim

Kurlandia to historyczna kraina położona na Łotwie, która szczyci się wspaniałą przyrodą i cudownymi krajobrazami. Dodatkowego kolorytu dodają jej urokliwe miasta i senne miasteczka z licznymi zabytkami, wśród których są kościoły i zamki pamiętające czasy świetności Zakonu Kawalerów Mieczowych. Polskie akcenty są tu dość liczne, wszak Księstwo Kurlandii i Semigalii było przez ponad 230 lat lennem Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Szczęśliwie wciąż niezadeptana masowym ruchem turystycznym Kurlandia wydaje się dzisiaj oazą spokoju, jednak niegdyś była areną licznych wojen i konfliktów, w których uczestniczyli: Bałtowie, Polacy i Litwini, Moskale, Szwedzi, Finowie oraz Niemcy. Po 1918 r. Łotysze stawili w Kurlandii heroiczny i skuteczny opór bolszewikom.

Niemiecki przyczółek

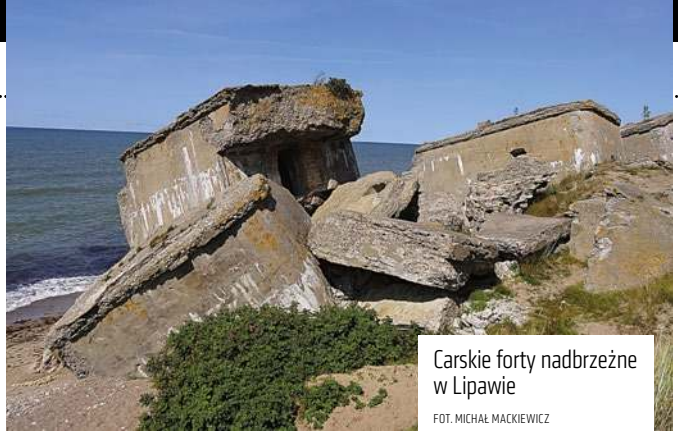
Jednak wszystkie te zmagania bledną pod względem skali i intensywności z walkami stoczonymi pod koniec drugiej wojny światowej. Ponad 30 dywizji niemieckich i jedna łotewska broniły się tutaj przed Armią Czerwoną przez siedem miesięcy. Sowieci starali się zlikwidować niemiecki przyczółek, nazywany „Twierdzą Kurlandia", i zająć dwa strategiczne porty na bałtyckim wybrzeżu: Lipawę i Windawę. Wiele sowieckich szturmów nie miało powodzenia, nacierający walili głową w mur, płacąc za to straszliwą cenę liczoną w setki tysięcy zabitych, rannych i zaginionych. Obrońcy skapitulowali dopiero w maju 1945 r. w związku z ogólnym zawieszeniem broni w Europie. Historycy po dziś dzień spierają się o sens tamtej kampanii i upór Stalina, aby zlikwidować kurlandzkie zgrupowanie Wehrmachtu. Cel tamtych walk nie był oczywisty także dla ich uczestników: Kto tak naprawdę kogo wiązał? – wspominał jeden z niemieckich oficerów – Czy na przyczółku w Kurlandii wiązaliśmy radzieckie siły i tym samym nie mogły one uczestniczyć w zdobywaniu krok po kroku ziemi niemieckiej w Prusach Wschodnich? Czy to właśnie Rosjanie wiązali nas? Może przypuszczając kolejne ataki, chcieli nas oszukać, że uważają nas za zagrożenie dla swojego głębokiego wschodniego skrzydła i dlatego muszą nas wyeliminować za wszelką cenę? […] Walki w Kurlandii nie dawały nam czasu na roztrząsanie takich wątpliwości.

Efektem zmagań były liczne pobojowiska usiane zniszczonym lub porzuconym sprzętem oraz niezliczone groby i cmentarze polowe. Po 1945 r. Sowieci starali się zatrzeć te militarne ślady, zbierając uzbrojenie z pól, bagien i lasów oraz zrównując z ziemią nekropolie przeciwnika. Dopiero w latach 90. Łotysze w porozumieniu z Niemcami zaczęli prace ekshumacyjne. Prochy poległych żołnierzy Wehrmachtu i Waffen-SS złożono na wielkim cmentarzu wojennym w Saldus, dziś jest tam przeszło 25 tys. grobów, przy czym na wielu widnieją polskie imiona i nazwiska. To smutne memento losów ludzi rzuconych w wir wojny wbrew ich woli.

W Zante

Materialne świadectwa bitwy można zobaczyć w Zante, niewielkiej miejscowości położonej w samym środku Kurlandii. Do Zante wiodą wąskie szutrowe drogi wytyczone pośród gęstych i – zdawałoby się – nieprzebytych lasów. Trafić tu niełatwo, ale na pewno warto. Podczas

eprasa.pl 6f4955209e



Carskie forty nadbrzeżne w Lipawie

FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

końcowej fazy zmagań w Zante przebiegał front, a w miejscowym dworze kapitulację podpisywała niemiecka 24. Dywizja Piechoty. Muzeum znajduje się w szkole. To tak naprawdę duża izba pamięci stworzona własnym sumptem, pozbawiona nowoczesnych środków przekazu i profesjonalnych gablot, ale za to z imponującą ilością militariów, z których większość ma historyczny kontekst. Inicjatorem i założycielem placówki jest były żołnierz Armii Sowieckiej, saper, który po odejściu ze służby zajął się, wraz z grupą entuzjastów, gromadzeniem pamiątek przeszłości. W muzeum nie zabrakło sali poświęconej przedwojennej armii łotewskiej, jest też bardzo urokliwy kącik etnograficzny, jednak zasadniczą ekspozycję stanowią militaria z bitwy o Kurlandię. Znaczna część muzealiów została wydobyta z ziemi, inne zebrano ze starych chałup, stodół, wiele przekazali też ludzie, którzy pomimo sowieckich represji zachowali nie tylko pamięć o walkach z lat 1944–1945 r., lecz także ich świadectwa. Dla Łotyszy mają one szczególne znaczenie. To właśnie tutaj skrwawiła się jedna z ich jednostek, ochotnicza 19. Dywizja Grenadierów Waffen-SS (jedna z dwóch łotewskich dywizji). Dla Polaków Waffen-SS jest ikoną znienawidzonego i zbrodniczego nazizmu, jednak dla Łotyszy to przede wszystkim symbol oporu przeciwko Sowietom. Nie może więc dziwić duża ilość pamiątek w postaci oryginalnych zdjęć i dokumentów, a także odznak i odznaczeń, znaków tożsamości, tarcz naramiennych, klamer do pasów czy przedmiotów osobistych żołnierzy z 19. Dywizji. Jako unikatowe należy ocenić wyposażenie szpitala polowego, cudem ocalałe po 1945 r.

Muzeum w Zante to jednak przede wszystkim zbrojownia, a w oczy rzuca się duża rozmaitość uzbrojenia i wyposażenia, ponieważ wielu obrońców dysponowało sprzętem pochodzącym z niemal całej podbitej Europy. Jest tu pełen przegląd uzbrojenia strzeleckiego (indywidualnego i zespołowego), granatów ręcznych, bagnetów, hełmów. Bardzo ciekawie prezentuje się kolekcja pocisków artyleryjskich (także rakietowych) oraz min, będących „konikiem" założyciela muzeum. Całości dopełniają wyposażenie, przedmioty osobiste i mundury, w tym oryginalne elementy niemieckich strojów maskujących.

Oczywiście muzeum prezentuje obie strony konfliktu, a sprzęt używany przez Armię Czerwoną wydaje się nie mniej reprezentatywny. W gablotach zgromadzono m.in. sporo wyposażenia pochodzącego z dostaw Lend-Lease, które bez wątpienia miało istotne znaczenie dla utrzymania sprawności bojowej Armii Czerwonej. Są też polskie akcenty: erkaem Browning z warszawskiej Fabryki Karabinów, pistolet Vis, amunicja karabinowa z zakładów „Pocisk" oraz świetnie zachowane granaty – obronny i zaczepny. Pochodzą one z odnalezionego niedawno depozytu przeznaczonego pierwotnie dla grup dywersyjnych mających walczyć z Sowietami po przejściu frontu.

Miłośnicy sprzętu ciężkiego również będą usatysfakcjonowani. Zarówno w budynku, jak też w plenerowej części muzeum wyeksponowano wiele fragmentów samolotów bojowych i pojazdów pancernych, a także działa. Można tu m.in. zobaczyć stanowisko strzeleckie z niemieckiego bombowca Ju-188 i szczątki słynnego Iła-2 „szturmowika". Dużą ciekawostkę stanowi kompletna wieża amerykańskiego czołgu M3 General Grant (wozy te dostarczano w ramach Lend-Lease). Odtworzone okopy, schrony i transzeje „upstrzone" są licznymi destruktami militariów, co daje wrażenie autentycznego pobojowiska.



Skrzynka na konserwy mięsne z USA z dostaw Lend-Lease dla Armii Czerwonej

FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

Ryskie Muzeum Wojska

Entuzjaści turystyki militarno-historycznej znajdą też coś dla siebie poza Kurlandią. Punktem obowiązkowym jest z pewnością Muzeum Wojska w Rydze, szczycące się, podobnie jak nasze warszawskie, tradycją przedwojenną. Chyba najciekawszą jego częścią jest ta poświęcona pierwszej wojnie światowej. Broń, mundury oraz wyposażenie, liczne i świetnie wyeksponowane, obrazują zacięte walki toczone na Łotwie w latach 1915–1917. Dość efektownie zaprezentowana jest druga wojna. Co godne odnotowania, Łotysze bardzo mądrze poradzili sobie z narracją, połowę ekspozycji zajmują muzealia związane z formacjami utworzonymi pod egidą Niemców, drugą natomiast pamiątki po Armii Czerwonej, w której służyło wielu Łotyszy (zapewne nie wszyscy dobrowolnie…).

Warto też wspomnieć o architekturze militarnej, ponieważ sporo ciekawych jej przykładów można na Łotwie wciąż podziwiać. To przede wszystkim średniowieczne zamki, a najczęściej tylko ich ruiny), o które kopie kruszyli m.in. żołnierze Rzeczypospolitej podczas zmagań z Moskalami i Szwedami (fenomenalnie prezentują się Kieś i Bauska). Ale i nowszych przykładów także nie brakuje. Na przykład w Lipawie znajdują się carskie umocnienia nadbrzeżne chroniące jeden z najważniejszych rosyjskich portów wojennych. Forty zostały wysadzone, ale ich ruiny są fenomenalnie wtopione w morski pejzaż.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prasa.pl 6749552



Grafika z dzieła Camille'a Flammariona „L'atmosphère"
FOT. EN, WIKIPEDIA

Propaganda i fakty / Wbrew stereotypom

Krzyż i szkiełko



Tymoteusz Pawłowski

„Kościół katolicki hamował rozwój naukowy". Powyższego stwierdzenia nie da się obronić metodami naukowymi. Kościół był największym wydawcą średniowiecznej Europy i jednocześnie jej największym instytutem naukowym i badawczym

W 1888 r. francuski naukowiec Camille Flammarion opublikował podręcznik meteorologii, ozdobiony ryciną przedstawiającą średniowiecznego wędrowca, który na krańcu płaskiej Ziemi przebija głową sferę niebieską i widzi świat takim, jaki jest w rzeczywistości. Od tego czasu rycina Flammariona wykorzystywana jest jako ilustracja średniowiecznego podejścia do nauki. Rzecz w tym, że obrazek ten pokazuje co najwyżej, jak stereotypowo patrzono na to zagadnienie pod koniec XIX w.

Ludzie wiedzieli od zawsze, że Ziemia jest okrągła, a starożytni Grecy policzyli nawet wielkość kuli ziemskiej. Pomysł, że Kościół katolicki uważał, iż Ziemia jest płaska, narodził się w głowie pisarza Washingtona Irvinga, którego znaczenie dla amerykańskiej kultury można porównać ze znaczeniem Lelewela, Mickiewicza i Sienkiewicza dla Polaków. W 1828 r. napisał on fabularyzowaną biografię Krzysztofa Kolumba, według której przyszły odkrywca Ameryki musiał przekonywać hiszpańskich biskupów, że Ziemia nie jest płaska, tylko okrągła…

Kościół doskonale zdawał sobie z tego sprawę, chociażby przy okazji wyznaczania Niedzieli Wielkanocnej. Była to poważna sprawa, która zadecydowała o reformie kalendarza: w 1582 r. ominięto 10 dat dziennych i niedokładny kalendarz juliański zastąpiono precyzyjnym gregoriańskim. Zmiana nie była czysto administracyjna, ponieważ poprzedził ją program badań naukowych trwający niemal 40 lat. Jednym z kościelnych naukowców biorących udział w tym programie był Mikołaj Kopernik, ale ostatecznie przyjęto propozycję Luigiego Giglia. Teoria Kopernika była bowiem błędna; zakładała, że Ziemia krąży wokół Słońca, a jej orbita jest kołowa. O tym, że jest to nieprawda, Ziemia i Słońce krążą wokół środka masy całego układu, a ich orbity są mocno wydłużone, dzieci uczą się w siódmej klasie podstawówki.

Astronomowie szybko zauważyli, że planety krążą w zupełnie inny sposób, niż chciałby tego Kopernik i jego teoria trafiłaby na śmietnik historii, gdyby – kilkadziesiąt lat po śmierci astronoma – nie użył jej do walki z papieżem Galileo Galilei. Uważał się on za największego na-

eprasa.pl 6f4955209e



Washington Irving

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HISTORIC HUDSON VALLEY

ukowca świata i chociaż miał bardzo duże osiągnięcia, to wiele z jego teorii było błędnych. Ze swoimi naukowymi przeciwnikami walczył, stosując różne brzydkie chwyty, m.in. nazwał papieża „tępakiem" („simplicius"), który odrzuca teorię Kopernika. Galileusz został skazany na areszt domowy, ale nie za herezję ani za zbyt śmiałe teorie naukowe, tylko za znieważenie głowy państwa. W sprawie Galileusza brała oczywiście udział inkwizycja.

Przeciw nadużyciom

Główną bronią inkwizycji nie była bynajmniej groźba, lecz nauka. Średniowieczny Kościół nie prześladował heretyków; czynili to świeccy władcy. Królowie i książęta twierdzili bowiem, że ich władza pochodzi od Boga, więc jeśli ktoś podawał istnienie Boga w wątpliwość, podkopywał fundamenty władzy i trafiał do więzienia albo na stos.

Inkwizycja została założona w 1182 r. i jej zadaniem było zmniejszenie nadużyć władzy świeckiej. Jeśli inkwizytorzy brali udział w procesie wytoczonym przez świeckiego władcę rzekomemu heretykowi, proces zazwyczaj kończył się uniewinnieniem z braku dowodów herezji. Najczęściej jednak inkwizytorzy przybywali na dany teren, aby zweryfikować pracę innych księży oraz nauczać wiernych. W tym czasie brakowało ksiąg, wierni wiedzieli o podstawach wiary to, co zrozumieli na kazaniach u proboszcza. Nie zawsze zrozumieli dobrze i nie zawsze dobrze uczył proboszcz.

Ksiąg w średniowieczu brakowało nie dlatego, że zakazywał ich drukować papież. Problem polegał na czymś innym: nie było nowoczesnego systemu drukarskiego, nie było papieru, a ponadto swoje zrobili pogańscy barbarzyńcy, którzy palili bezcenne manuskrypty. Nie było ich również dlatego, że taki był po prostu klimat: w wilgotnej Europie książki z papirusu gniły w błyskawicznym tempie. W suchym klimacie lepiej się konserwowały, ale w krajach o suchym klimacie rządzili muzułmanie... Kościół zajmował się więc na potęgę przepisywaniem ksiąg z papirusów na pergamin. Przepisywano oczywiście teksty religijne, a także świeckie, nie tylko Cycerona, lecz także Plauta, którego komedie trzymały poziom serialu „Moda na sukces".

Kościół był największym wydawcą średniowiecznej Europy i jednocześnie jej największym instytutem naukowym i badawczym. Bywali oczywiście świeccy władcy, którzy łożyli na badania naukowe, ale po pierwsze – czynili to jedynie wówczas, gdy mieli pieniądze, a po drugie – nie zapewniali ciągłości badań. Fundusze kończyły się wraz ze zmianą sytuacji politycznej lub śmiercią mecenasa. Kościół stać było na finansowanie największego obserwatorium astronomicznego świata (w Rzymie), największej biblioteki (w Rzymie) i największego inżynieryjnego ośrodka badawczo-rozwojowego (w Rzymie). Zapomina się często, jak wielki postęp naukowo-techniczny przyniosło budowanie katedr: nie tylko w dziedzinie architektury i murarstwa, lecz także hydrologii, wytrzymałości materiałów czy matematyce.

Angielskie uprzedzenia

Główną bronią hiszpańskiej inkwizycji nie była groźba, lecz nauka. A także skuteczność w zwalczaniu... angielskich szpiegów. W XVI w. rozpoczęły się wielowiekowe zmagania pomiędzy katolicką Hiszpanią i protestancką Anglią. Prowadzono walkę zbrojną, ale również wojnę propagandową i wywiadowczą. O ile walka zbrojna miała zmienny przebieg – w 1588 r. klęski doznała hiszpańska Wielka Armada próbująca podbić Anglię, a w 1589 r. jeszcze większą klęskę poniosła angielska Kontrarmada próbująca podbić Hiszpanię – to wojnę propagandową i wywiadowczą przez długi czas wygrywali Hiszpanie. Między innymi dzięki zaangażowaniu do niej wykwalifikowanych specjalistów z inkwizycji. Anglicy nauczyli się jej bać i nienawidzić.

Inkwizycja, szczególnie hiszpańska, była w angielskiej sztuce negatywnym bohaterem. W XIX w. straszył nią Walter Scott, w XX w. wyśmiewał ją Monty Python, a w XXI w. Wielki Inkwizytor jest czarnym charakterem w uniwersum „Gwiezdnych wojen". Angielska literatura stała się podstawą hollywoodzkiego kina, a dzisiaj to głównie dzięki niemu świat poznaje historię. I nie jest to historia oddająca sprawiedliwość Kościołowi.

Im bliżej Oświecenia, tym więcej było przeciwników Kościoła: najpierw ewangelicy od Marcina Lutra i Jana Kalwina, a później jakobini od Maksymiliana Robespierre'a. To właśnie na przełomie XVIII i XIX stulecia propaganda oświeceniowa zaczęła zwalczać Kościół, głównie dlatego, że sprzeciwiał się postulowanym zmianom społecznym. I to wtedy narodził się mit o tym, że Kościół hamował rozwój naukowy, a cała machina propagandowa doprowadziła do powstania ryciny Flammariona i twórczości Washingtona Irvinga.

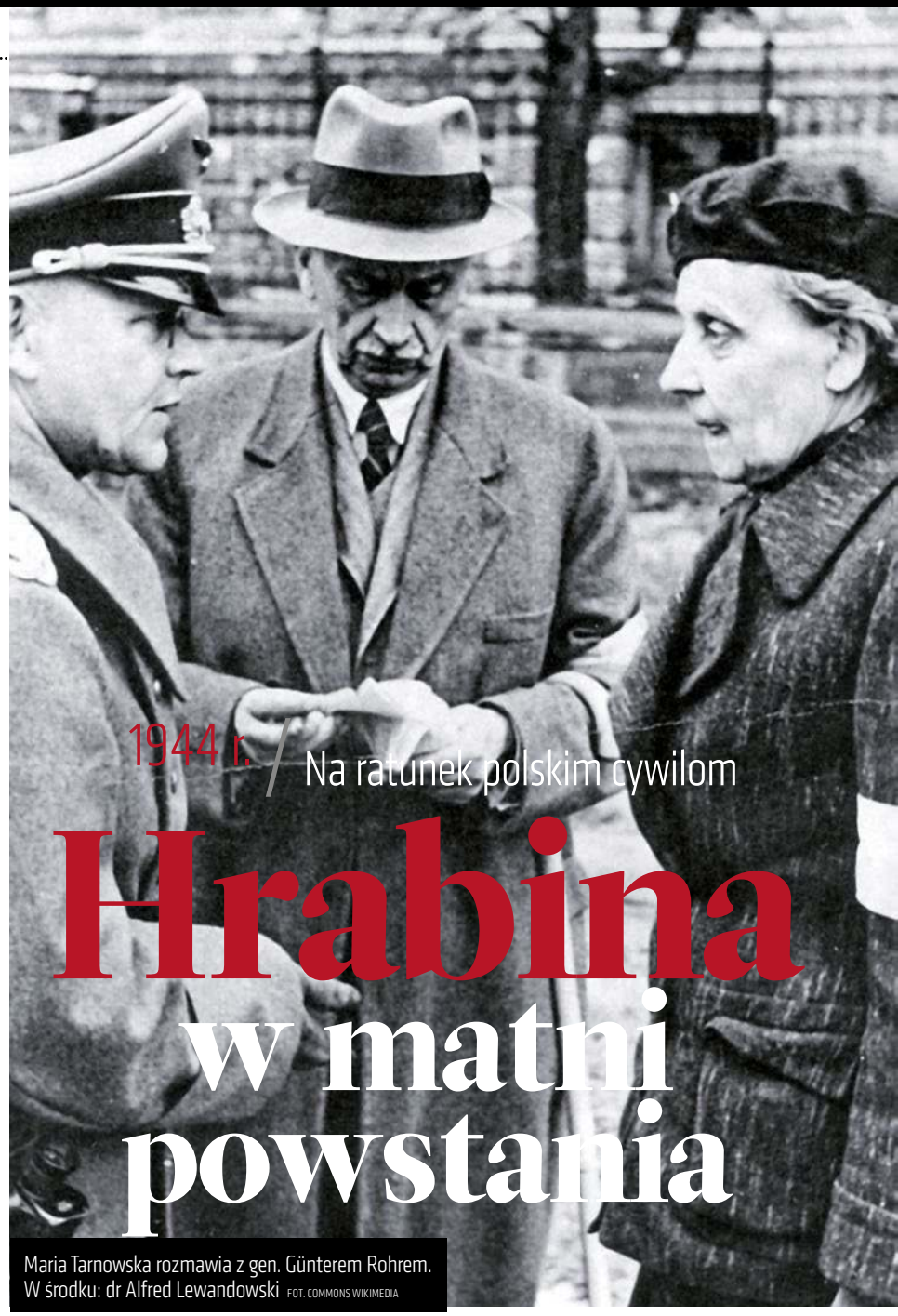
Mit ten został przejęty przez ewangelików, którzy – jak sama nazwa wskazuje – rozumieli świat dosłownie – tak, jak jest on opisany w Ewangelii. To wśród ewangelików było najwięcej przeciwników naukowego postępu: katolicy dość swobodnie interpretują Biblię i nawet papieżowi nie przeszkadzają różne teorie ewolucji, ponieważ nie są one sprzeczne z teoriami kreacjonizmu. To przecież katolicki ksiądz – Georges Lemaître, późniejszy prezes Papieskiej Akademii Nauk – jest autorem hipotezy Wielkiego Wybuchu.



Przyjęcie kalendarza gregoriańskiego FOT. COMMONS WIKIMEDIA RSUESSBR

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f4955209e



1944 r. / Na ratunek polskim cywilom

Hrabina w matni powstania

Maria Tarnowska rozmawia z gen. Günterem Rohrem. W środku: dr Alfred Lewandowski FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Piotr Zychowicz

Czy gehenna powstania warszawskiego mogła trwać kilka tygodni krócej? Próbę uratowania dziesiątek tysięcy Polaków podjęła dzielna polska arystokratka

Podobno Polska jest krajem bohaterskich mężczyzn i ofiarnych kobiet. Czasami jednak zdarzają się kobiety, które łączą w sobie obie te cechy. Doskonałym przykładem może być hrabina Maria Tarnowska z domu Czetwertyńska, autorka wspomnień „Przyszłość pokaże…" (LTW).

Czytając tę wspaniałą książkę, trudno nie czuć podziwu dla arystokratki, która podczas drugiej wojny światowej zamiast skorzystać z przywilejów swojego wysokiego urodzenia, wydała prywatną wojnę Hitlerowi i Stalinowi.

Mogła przecież użyć swoich światowych koneksji i wyemigrować albo zaszyć się w jakiejś wiejskiej posiadłości. Uważała jednak, że jako przedstawicielska polskiej elity ponosi szczególną odpowiedzialność za swój naród. Naród, który znalazł się w sytuacji tragicznej. Tarnowska weszła w skład zarządu działającego na terenie okupacji niemieckiej Polskiego Czerwonego Krzyża i w skrajnie niekorzystnych warunkach starała się nieść pomoc najbardziej potrzebującym. Przez cały ten czas utrzymywała kontakty z podziemiem. W efekcie pod koniec 1942 r. hrabina trafiła na Pawiak.

Niemcy nie mieli żadnych względów ani na jej status społeczny, ani na wiek (rocznik 1880) i traktowali ją w sposób niezwykle brutalny. „Przez dwie godziny siedziałyśmy [z innymi więźniarkami] na drewnianych ławkach, obserwowane przez niemieckich strażników i gestapowców. Przechadzali się, rzucając przykre i obraźliwe uwagi lub śmiejąc się ze starszych pań. To była jedna z metod upokarzania aresztowanych zalecana przez Himmlera" – wspominała.

Na Pawiaku była trzymana w celi (teoretycznie ośmioosobowej) w towarzystwie... 24 towarzyszek niedoli. Kobiety spały pokotem na podłodze. W więzieniu Tarnowska była świadkiem bestialstw niemieckich strażników, sama była poddawana uciążliwemu śledztwu. Wreszcie zwolniono ją po kilku tygodniach. Jeżeli intencją gestapo było zastraszenie polskiej hrabiny, to Niemcy ponieśli fiasko. Wkrótce po wyjściu z więzienia Tarnowska wstąpiła do AK i została zaprzysiężona w stopniu porucznika…

Kobiety na Tygrysach

Przed najcięższą próbą hrabina Maria Tarnowska stanęła w czasie powstania warszawskiego. Podczas tej tragicznej

eprasa.pl 6f4955209e

bitwy skala cierpień ludności cywilnej była gigantyczna. W bombardowanym przez Niemców mieście grasowała nie tylko śmierć, lecz także głód. Nie było podstawowych produktów, lekarstw, a nawet wody. Zasoby Polskiego Czerwonego Krzyża były kroplą w morzu potrzeb, mimo to hrabina przez całe powstanie starała się ulżyć cierpieniom Warszawiaków.

Podczas powstania była świadkiem dramatycznych scen, nieprawdopodobnego bestialstwa Niemców:

„Barykadowaliśmy właśnie bramę zerwanymi nocą płytami chodnikowymi i workami z piaskiem, kiedy w ulicę skręciły dwa Tygrysy – ogromne niemieckie czołgi – wspominała. – Oburzył nas i zdumiał widok kobiet siedzących na pancerzach i błotnikach. Część z nich płakała, inne machały białymi chusteczkami, wyciągając ramiona w stronę barykady. Początkowo nie rozumieliśmy, o co chodzi, ale po chwili wszystko stało się jasne…".

I dalej:

„Zgotowano nam prawdziwe piekło. Byliśmy pod ciągłym ostrzałem. Domy waliły się z łoskotem, kościoły były w ruinie, ludzie znikali bez śladu, nie wiadomo, gdzie i kiedy spotkała ich śmierć. Podwórka i ogródki na tyłach kamienic szybko zmieniały wygląd, stając się cmentarzami. Na małych drewnianych krzyżach widniały nazwiska oraz wiek chłopców i dziewcząt: osiemnaście, dwadzieścia, dwadzieścia pięć, czasami czternaście albo szesnaście lat. Tragiczny los spotkał tę wspaniałą młodzież – pierwsze pokolenie urodzone pod wolnym niebem, pierwsze, które miało cieszyć się życiem w pokoju i pomyślności. Byli pełni entuzjazmu i planów na szczęśliwą przyszłość, ale ich młodzieńcze nadzieje zostały zniweczone, a oni sami wystawieni na straszliwe cierpienia".

Warszawa wykrwawiała się w beznadziejnej walce. Niemcy po początkowym zaskoczeniu przeszli do natarcia i metodycznie obracali w gruzy kolejne części miasta, masakrując cywilów i fatalnie uzbrojonych powstańców. Pomoc ze strony zachodnich „sojuszników" nie nadchodziła, a bolszewicy stali po drugiej stronie Wisły i z satysfakcją patrzyli, jak



Rodzina opuszczająca Warszawę podczas zawieszenia broni 7 września 1944 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Hitler wykonuje za nich brudną robotę i niszczy polskich patriotów.

W tej sytuacji po miesiącu od wybuchu powstania hrabina Tarnowska zdecydowała się – za zgodą gen. Bora-Komorowskiego – na podjęcie rozmów z niemieckim dowództwem w sprawie ewakuacji z miasta ludności cywilnej. W pierwszych dniach września wraz z dwojgiem innych parlamentariuszy przekroczyła powstańczą barykadę na Placu Politechniki. Po niemieckiej stronie od razu dało się zauważyć zupełnie inne nastawienie ze strony Wehrmachtu i SS.

O ile wojskowi strzelali przed hrabiną obcasami, salutowali jej i wyrażali podziw dla heroicznej walki Armii Krajowej, to oficerowie SS okazywali jej pogardę i butę. – Jesteście wysłannikami bandytów? – przywitał ich wysoki rangą esesman. Negocjacje toczyły się jednak z gen. Güntherem Rohrem. Oficer ten zgodził się na przepuszczenie cywilów i w efekcie w dniach 8–10 września płonące miasto opuściły tysiące ludzi. Wielu z nich uratowało to życie.

Prowokacja Stalina

Na marginesie tych negocjacji Rohr złożył – za pośrednictwem hrabiny Tarnowskiej – gen. Borowi-Komorowskiemu ofertę kapitulacyjną. Zapewnił, że powstańcy w niewoli będą traktowani jak żołnierze. „Czy wasi przywódcy nie pojmują, jak wielkiej straty doznaje Polska, kiedy ginie tyle wspaniałej młodzieży? Czyżby nie rozumieli, że komunistyczna Rosja jest dla was większym od Niemiec zagrożeniem" – mówił niemiecki oficer polskiej arystokratce.

Jego dalsze słowa pokazywały, jak oderwane od rzeczywistości były wówczas niemieckie sfery przywódcze i jak słabo Niemcy rozumieli psychikę Polaków. „Sojusznicy zdradzili Polskę, wydali ją na łaskę i niełaskę Sowietów. Chyba zdajecie sobie sprawę, co to oznacza na przyszłość" – mówił. I przekonywał, że dla Polaków „jedyne rozsądne wyjście to przyłączyć się do Niemców i walczyć ze wspólnym wrogiem: komunistyczną Rosją".

O antysowieckim porozumieniu po tym, gdy Niemcy przelali w Warszawie tyle polskiej krwi, oczywiście mowy być nie mogło. Na coś takiego było stanowczo za późno. Ale rozmowy kapitulacyjne – o czym mało kto w Polsce wie – rzeczywiście zostały wówczas podjęte. Bór-Komorowski zerwał je jednak lekkomyślnie 11 września. Tego dnia bowiem Stalin zgodził się na lądowanie na swoich lotniskach alianckich samolotów niosących pomoc powstaniu.

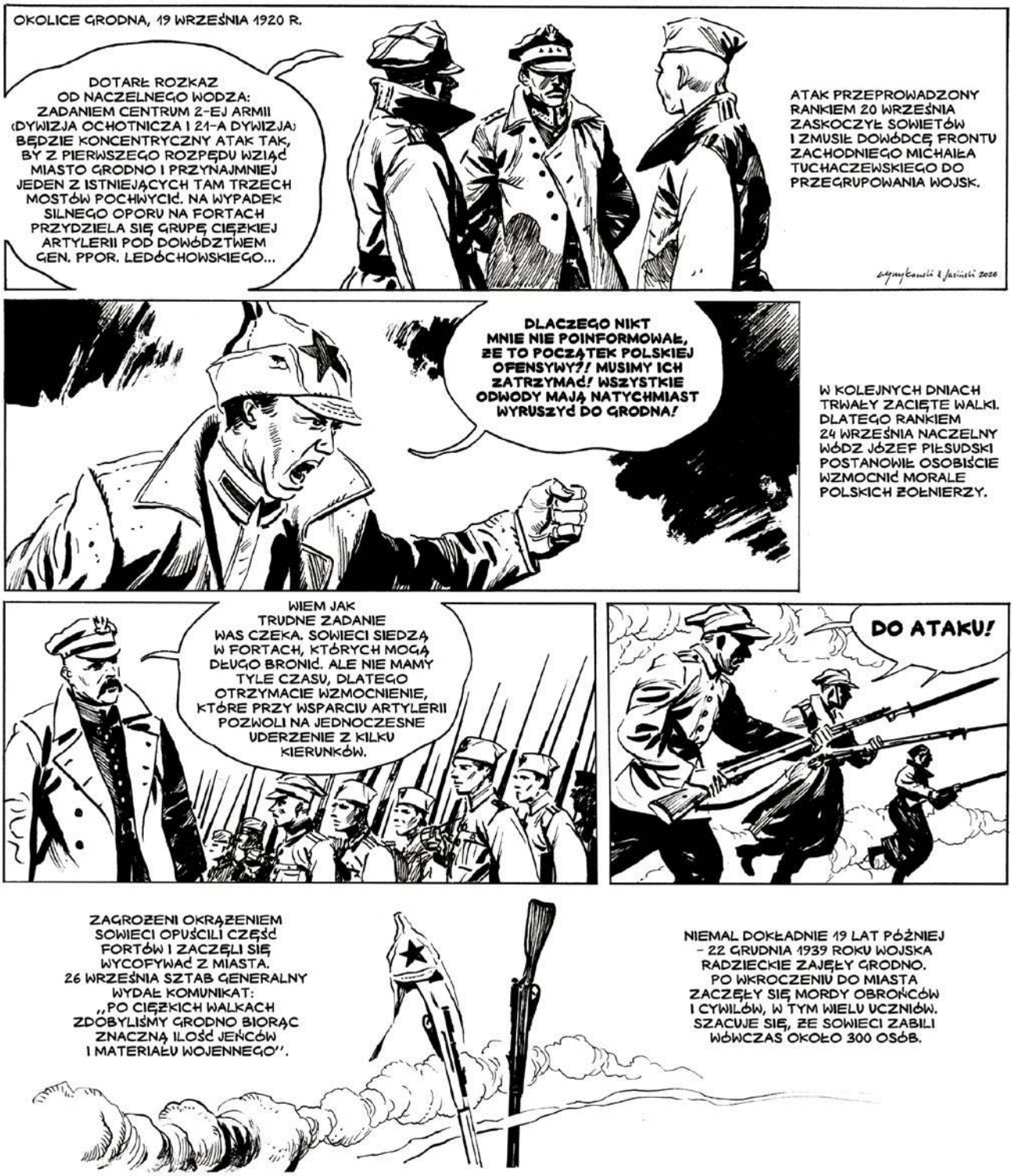
Na niebie nad Warszawą pojawiły się wkrótce sowieckie maszyny. Rozpoczęły się zrzuty, a Armia Czerwona zaczęła tworzyć pozory, że szykuje się do forsowania Wisły. Dało to Komendzie Głównej AK złudną nadzieję, że Sowiety przyjdą jej na pomoc. Według części badaczy była to prowokacja Stalina, który dowiedział się o negocjacjach kapitulacyjnych i postanowił zrobić wszystko, aby przeciągnąć gehennę Warszawy.

Starania dzielnej hrabiny na nic się nie zdały. Powstanie zostało bezsensownie przedłużone. Kolejne dziesiątki tysięcy Polaków straciły życie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f4955209e

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński



eprasa.pl 6f4955209e

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

HISTORIA DO RZECZY

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA JERZY PTAKOWSKI: „AUSCHWITZ. BEZ CENZURY I BEZ LEGEND"

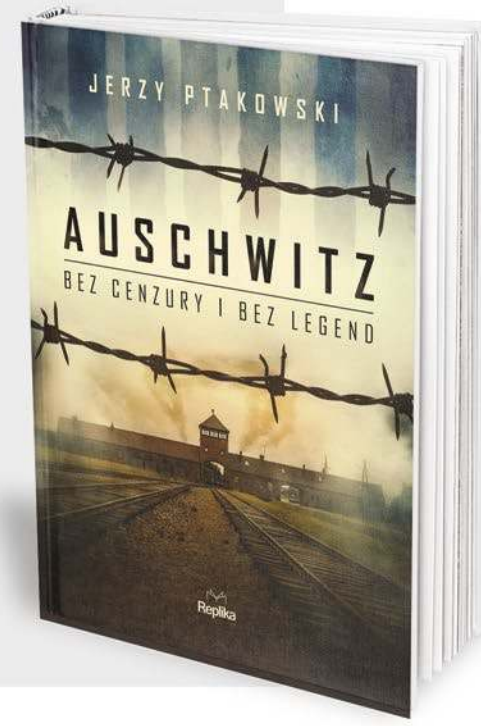
Niezwykłe wspomnienia z czterech lat spędzonych w kl Auschwitz. Obozowy ruch oporu w nowym świetle.

Jerzy Ptakowski mierzy się z mitami o Auschwitz narosłymi wskutek oddziaływania wieloletniej propagandy i tarć interesów rozbieżnych frakcji politycznych.

Opowiada o bohaterach: o Witoldzie i Janie Pileckich, o. Maksymilianie Kolbem i Janie Mosdorfie; o obozowym ruchu oporu i relacjach pomiędzy różnymi narodowościami. Wskazuje na nierozliczone po wojnie zbrodnie oraz zdarzenia, za sprawą których dziś głosi się, że „nie tylko Niemcy ponoszą odpowiedzialność", bo „w Auschwitz mordowali także Polacy".

Jako członek władz Stronnictwa Narodowego Ptakowski uwypukla obozową działalność narodowców z SN i ONR. Nie jest jednak stronniczy. Jego wspomnienia mają uzupełniać literaturę i nadrobić występujące w niej luki. Sam również uczestniczył we władzach podziemnych struktur. Podkreśla, że w dramatycznych warunkach obozowych nad partykularyzmem przeważało poczucie narodowej solidarności i wspólnoty bądź też zwyczajne zrozumienie dla ludzkiej niedoli. Pragnienie pokonania wspólnego wroga przełamywało lody i skłaniało do współpracy najzagorzalszych przedwojennych politycznych oponentów.

Taki obraz oraz spojrzenie przez pryzmat ugrupowań narodowych czynią książkę Ptakowskiego wręcz unikatową. O narodowcach w Auschwitz mówi się bowiem mało, niechętnie. Jakby wręcz „nie wypada".



Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

171 zł

oszczędność 58 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 6f4955209e

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY

Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**



WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 6f4955209e